JERZY HULEWICZ

DZIEJE UTANA

DZIURA W PRÓŻNI
LALITA-LIANA

WARSZAWA — 1928
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

DZIEJE UTANA

JERZY HULEWICZ

DZIEJE UTANA

DZIURA W PRÓŻNI
LALITA-LIANA

WARSZAWA 1928
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ W KRAKOWIE
pod zarządem Henryka Schiffa

DZIEJE UTANA

Z bijącem sercem zadzwoniła.

Za drzwiami męskie kroki... przekręcenie klucza... drzwi otwarto.

Nie miała odwagi podnieść oczu, spojrzeć mu w twarz... Nigdy nie zaznana trwoga owładnęła nią, że wydało się jej, iż z miejsca ruszyć się nie będzie zdolna.

On zapraszał, pytał... nie otrzymawszy odpowiedzi, znów zapraszał.

Weszła.

Znalazła się w bogatym gabinecie, zasłanym kobiercami i skórami.

Jeszcze na niego nie spojrzała; zdawało jej się, że on — on do niej przemawia, że się zbliża, że twarz jego niemal dotyka jej twarzy...

Oczu swych przepastnych, pełnych oceanowej głębi, szmaragdowych oczu podnieść na niego nie mogła. Lękała się pierwszego spojrzenia.

Lecz w tejże chwili zwyciężyła w niej kobieta. Nagły bunt wewnętrzny przywiódł ją do opamiętania; konieczność panowania stała się jej w tej chwili przykazem. Lęk ją opuścił; poczuła swą moc ujarzmiania, poczuła się silną.

Wiedziała przecież, że od pierwszego spojrzenia mu w oczy wszystko zależeć może. Świadomość ta była jej bronią w tej chwili.

Spojrzała — — —

On — — — to on! — — — mężczyzna młody, silny, barczysty... Twarz pełna przyczajonej dumy, oczy ruchliwe, szukające, ciekawe... szczęka wysunięta, a czoło w tył podane... Zagadkowy grymas na ustach, otoczonych dziwnemi zmarszczkami, ni to uśmiech, ni skrzywienie...

Niezwykle długą ręką, poruszającą się miękko, wykwintnie, wskazał jej fotel, sam zaś rozsiadł się niedbale w drugim, przyczem wykonał ruch tak zgoła inny od widywanych w naszych salonach, że dama mimowoli cofnęła się w głąb fotelu, jakby tam czuła się bardziej bezpieczną.

Spostrzegła, że niezwykły gospodarz z upodobaniem na nią patrzy; to dodało jej odwagi. Chciała odezwać się wreszcie, lecz młodzieniec nagle zerwał się z fotelu, przystąpił, pochylił się nad nią i jął obwąchiwać jej selskinowe futro — wąchał rękawy, kołnierz, zatrzymał twarz przy róży, upiętej na piersi, poczem, wciągnąwszy w nozdrza wonne powietrze, najspokojniej zawrócił i siadłszy ociężale w fotelu, westchnął:

— Rajski zapach!... Jakież rozkosze!

Dama uśmiechnęła się już całkowicie opanowana:

— To pierwsze, co pana uderzyło we mnie?

— Tak! nie ujmując pani piękności... Uwielbiam woń, którą pani wniosła do mego domu. Nozdrza mam nad wyraz wysubtelnione... Powonienie zdradza mi wartość istot, z któremi się stykam.

— Wartość ludzi, prawda?... Czy też o kobietach pan mówi?...

Gospodarz skrzywił się:

— Ludzi? — czemu to pani tak podkreśla w stosunku do mnie właśnie?... To mnie drażni.

Dama poczuła, że grunt usuwa się jej pod nogami. Pierwsze słowa już były nieszczęśliwe. Próbowała rzecz naprawić:

— Nie zrozumiał mnie pan. Pytałam, czy powonieniem kieruje się pan wogóle, czy specjalnie względem kobiet? Jeżeli to ostatnie, to szczęśliwa jestem, że moje perfumy tak się panu spodobały.

Gospodarz już był udobruchany. Powoli przystąpił znów do damy i ponownie jął wodzić twarzą po puszystem, miękkiem futrze, a gładzić je ręką. Gdy tak się rozkoszował, ona z lubym uśmieszkiem i zaciekawieniem przyglądała się tej jego dziwnej czynności. Miała ochotę zatopić palce w przygładzonych kudłach młodzieńca, rozwichrzyć je i...

Odczekała aż odstąpił o krok i zagadnęła:

— Czy pan w ten sposób wszystkich gości wita? To mi się podoba.

— Witam każdego według tego, co z sobą przynosi... Czasem nie witam wcale... Powitanie pani trwać może bardzo długo i — bardzo...

— Tak wiele wniosłam tu z sobą?

— Tak wiele, że to może być dla pani niebezpieczne.

Uśmiechnęła się figlarnie:

— Nie lękam się.

— Pani mnie nie zna, pani nie wie...

— To nic — zawołała z słodkim uśmiechem. — Nie lękam się, bo pan mi się — — — podoba.

— Zaciekawiam panią, oczywiście, to pani chciała powiedzieć.

— Nie! — zaprzeczyła pouczona pierwszą porażką. — Pan mi się tylko — podoba.

Złożył w dziwny sposób swe długie ręce i jął niemi wyprawiać osobliwe ruchy ukontentowania:

— O! jakże pani zachwycająca! Pani jest pierwszą istotą, która nie z ciekawości do mnie przyszła... Bo — przyznam się — ci ciekawi drażnią mnie niewymownie. Ich ciekawość ma tem dobitniej podkreślać ich odrębność w stosunku do mnie — to mnie właśnie drażni... Pani jednak przyszła do mnie z upodo-

bania... Ha! wiem, że to upodobanie spadło na panią tak, ot — bez przyczyny, prawda?

— Zapewne.

— A może raczej też z ciekawości? Niech pani nie zaprzecza. W każdym razie ciekawością swą nie kłuje mnie pani w oczy; a że przyszła pani do mnie z upodobania, powiedzmy: z afektu, rad jestem i afektem się odwdzięczę, jeno na to trzeba trochę czasu, trochę przysposobienia, aby nasza miłość nie wypadła tak sobie pospolicie — po ludzku czy po zwierzęcemu — a czy ja wiem... czy ja cośkolwiek wiem, skoro mąci mi się w głowie, gdy patrzę na panią, tak cudowną, tak gorejącą, tak... aa!

Nie dokończywszy swych zachwytów, przyskoczył, chciał ująć jej kibić, lecz ona wstała wyprostowana, dumna i zimne spojrzenie wświdrowała w jego rozognione oczy.

Zawahał się. Stał przez chwilę i czekał. Jej królewski uśmiech pokonał go; cofnął się i niespodzianie, gwałtownym a wesołym ruchem otworzył szafkę, z której dobył pudełko z czekoladkami. Spojrzał na damę chytrze, wsunął do ust czekoladkę, po chwili drugą i milcząc, starannie pudełko schował, a kluczyk włożył uważnie do kieszeni kamizelki.

Dama, siadając w fotelu, uśmiechnęła się dowcipnie.

— Na wszystko potrzeba czasu — westchnęła. — To słowa pańskie. Czas sprzyjać może, lub się sprzeciwić — prawda?

Gospodarz językiem mlaskał, połykając ślinę z resztką czekolady:

— Lubię czas ubiec... Zresztą... czy pani do mnie przyszła dla wypróbowania czasu? Nie! pani przyszła spróbować miłości, jakiej pani jeszcze nie zaznała.

— Skąd ta pewność?! Zresztą gdyby tak było, to dlaczego właśnie pan miałby zaspokoić te moje nadzwyczajne pożądania? Czemu właśnie pan?

— Ponieważ... Wie to pani lepiej ode mnie... Małoż to pani nasłuchała się o mnie? małoż to dreszczyków budzę w kobietach, ja legendarny typ wśród mężczyzn? A więc — właśnie ja! nikt inny! Zapewniam panią... Wszystkie o mnie legendy nie dają w przybliżeniu nawet przeczucia rzeczywistości... Och! ja umiem kochać!...

— Taak?... Gdyby nawet tak było i gdybym i ja zapragnęła pańskiej miłości, jakże mówić mam do kochanka, którego imienia nawet nie znam, jakże on mnie pieścić ma, nie wiedząc, jakiem imieniem do się przywoływać...

— Tę trudność możemy usunąć bardzo prędko: imię moje Utan, a nazwisko moje...

—Wiem: Stroptop... Imienia tylko nie znałam.

Dama zamyśliła się na chwilę: Utan! nie miała żadnych już wątpliwości... Utan!

— A jak nazwano piękną moją damę? — spytał gospodarz.

Ocknęła się:

— Utan Stroptop! to zachwycające! Mnie na imię Roma. Słyszysz pan: Utan i Roma!... Tak! ale to dopiero sparowane imiona... jakże daleko jesteśmy od celu, prawda panie Utanie?

— Nie sądzę — skrzywił się gospodarz i uśmiechnął niemal równocześnie.

Spojrzał chytrze na szafkę:

— Romo lubisz czekoladki?

— Nie lubię — odparła z przekorą.

Zmartwił się i podumał. Nagle wyszedł do przyległego pokoju. Dama spojrzała za nim z niedowierzaniem. Błysnęła jej myśl, aby skorzystać z chwili i wymknąć się z tego domu, a uznać wizytę za chybioną. Uciec? dlaczego? czy bez przyczyny miałaby zerwać co dopiero nawiązaną z nim styczność, wyrzec się zbliżenia, o którem tak długo marzyła? Myśl niedorzeczna! Ten potwornie brzydki mężczyzna przecież jest taki ciekawy, taki pociągający! On miał rację: skosztować dreszczów niezaznanych...

Utan! Utan! — powtarzała bezwiednie. — Poczekaj! wyśpiewasz wszystko, niczego nie

zataisz przede mną... Nie zwiedziesz mnie... Tak! więc to ty! Utan! W tobie dwa światy z sobą zmieszane, czyżby prawdziwe były opowiadania o twem pochodzeniu?... Utan! Utan!

Wtem zjawił się gospodarz w przebraniu. Miał na sobie coś w rodzaju jedwabnej pyjamy o niezwykle jaskrawych barwach; na szyi biały szalik, spięty pod brodą brylantową szpilką, którą przytrzymywał jeszcze palcem, jakby dla podkreślenia tej ozdoby.

Z kieszeni dobywszy kryształowy flakonik, przykucnął u stóp damy i podał jej do powąchania płyn woniejący. Dama ostrożnie przyzbliżyła zgrabny nosek do flakonu, poczem wciągnęła w nozdrza zapach odurzający.

— Cóż to? daj mi to, Utanie! Jak to ślicznie pachnie, jak odurza!

Stroptop przysunął się do jej kolan:

— Oddam, oddam, ale nie teraz, gdy jeszcze w futrze, w toczku, jakby na odejściu... a ja do pieszczot sposobny, klęczę u twych kolan...

To mówiąc, jął rozpinać jej futro, które następnie zrzuciła z ramion, odkładając równocześnie kapelusz, a przygładzając ciemnolniane, krótko obcięte włosy. Chciała coś rzec, lecz nagle ogarnął ją lęk. Niespodzianie odepchnęła Stroptopa i zerwała się z fotelu, aby poskromić raz jeszcze zuchwalca ostrością

spojrzenia, wyniosłością giestu. Czy umiała to jednak wykonać, jak przed pół godziną?

Jakże, kiedy on, przysiadłszy na podłodze roześmiał się tak uszczęśliwiony, tak pewny siebie, iż zdało się, że nic nie może stanąć mu na przeszkodzie, gdy zechce sięgnąć po dojrzały owoc... gdy tylko zechce...

Stroptop tarzał się z radości po kobiercu. Dama oniemiała. Czuła, że słabnie; pojąć nie mogła, dlaczego tu jeszcze stoi, czemu nie ucieka, gdy on, brutal podstępny szydzi z niej i triumfuje?!

Wielkim wysiłkiem woli postąpiła ku drzwiom; on jej nie bronił; dlaczegoż nie ucieka? Coraz wyraźniej czuła zawrót w głowie i uczucie niewysłowionej błogości w całem ciele. Próbowała myśleć; próbowała zrozumieć, co czynić, aby móc odejść. Ujrzała na stoliku swój kapelusz, na fotelu porzucone futro. Zrozumiała, że należy po to sięgnąć, ubrać się... tak! ubrać się!... ale czemu to futro tak daleko, gdy ona ledwie trzyma się na nogach?... A jednak trzeba ubrać się, trzeba — ubrać się...

Posuwała się ostrożnie w stronę futra, a on tam na ziemi śmiał się tak serdecznie!...

Dziwne, nieokreślone uczucie stopniowo jęło ogarniać całą istotę Romy. To jedno tylko czuła, że chwieją się pod nią kolana, że chwyta

poręczy fotelu z jednem tylko pragnieniem: spocząć, usnąć...

On śmiać się przestał; czuła, że jego oczy obnażają jej ciało i rozkoszują się pięknemi jego kształtami. Czuła, że Utan przywłaszcza sobie jej ciało. To ostatnia świadomość jej w chwili, gdy całym swym ciężarem bezwładna padła na sofę.

I już nie wiedziała, że nieprzytomnym głosem wołała imię Utana, że usta jej szukały ust jego, że ramionami oplotła jego szyję, a przyciskała go do piersi, rzucając się jak ryba w sieci, obezwładniona żelaznem ramieniem, zniewolona rozkosznym ciężarem. — — — Poczuła się kwiatem, co to otwiera się słońcu, dając ofiarnie swą woń i krasę upalnego dnia promieniom. W łonie poczuła ich żar, co spala wszystką kwiatu miłość i spopieleniem smęci się już tylko w westchnieniu i w śnie.

— — — — — — — — — — — —

Lubego snu stłumione oddechy cichły wraz z ustępującym mrokiem; wschodzące słońce różowym uśmiechem przepełniało sypialnię, zcicha całując powieki uśpionej Romy, aby niebawem w bieli dnia ujrzała serca swego rzeczywistość.

Dziesiątego dnia pobytu w domu Utana Stroptopa Roma zaczęła rozważać swą sytuację. Pierwszem spostrzeżeniem była okoliczność niezaprzeczona, że jej kochanek poprostu ją więził w swym domu.

Więzienie to nie ciążyło jej, ani przygniatało; przeciwnie — nad wszelkie oczekiwanie dziwny a niepospolity kochanek umiał zapełnić chwile z nim spędzone tak niezwykłym urokiem i taką siłą sugestji, że wciąż nowe w Romie budził ciekawości, nowe wywoływał dreszcze i pragnienia. Za tę nieoczekiwaną rozkosz umiała się odwzajemnić, a jedyną jej troską była obawa, czy Utan z nią jest szczęśliwy, czy tylko nie zapragnie wkrótce innej, czy do niej rzeczywiście się przywiąże.

Widziała i przekonywała się na każdym kroku, że Utan kocha ją całą swą istotą, zdawała sobie jednak sprawę, iż stan szału miłosnego trwać nie może długo w równem wciąż napięciu, że miłości trzeba dać podwaliny trwałe w postaci głębokiego, obopólnego przywiązania. W tym jednak celu należy poznać się wzajemnie, a tu nie można ominąć roz-

mów o jego przeszłości i o jego pochodzeniu. Wiedziała o nim przecież więcej, niż on o niej, a jednak jakże mgliste, jakże niepewne były te wszystkie wiadomości przybarwiane ludzką plotką. Utan zaś o niej wie tem mniej... O! gdyby wiedział! Cóż to będzie, gdy się dowie?... A może on?... Może to, co ona mu wreszcie wyjawi, będzie mu zgoła obojętne?

O! jakże pragnęła z ust jego usłyszeć wyznania, jakże chciała, by potwierdził wszystkie te fantastyczne wieści, krążące między mieszkańcami miasta, ba! niemal całego kraju, jakże w duszy modliła się o to, aby tym wieściom kłam zadał, lub je potwierdził!... Czekała cierpliwie, bo czuła dobrze, iż on sam, z własnej woli musi o tem zacząć mówić, że zaś ona nie może nawet zdradzić mu swojej w tym względzie ciekawości.

Wśród rozmyślań wnikała w wnętrzną istotę Utana. Zjawisko, które pomyśleć się da jedynie żywem w mitologji zamierzchłych czasów, jest rzeczywistością, ba jest w jej posiadaniu!... Czasem niepokoiła się Roma w myśli, gdy sobie uświadomiła, że, o ile w nim znajdzie potwierdzenie domysłów i ludzkich opowiadań, kocha istotę, która ją przywiodła aż na kraniec człowieczeństwa i wprowadziła w życie już poza ludzkie, a jednak tak bezgranicznie człowiecze...

O! gdyby umiała sobie rozumowo ułożyć te wielkie zdobycze wiedzy z dziedziny filozofji, z dziedziny psychologji, z dziedziny praw przyrodzonych i nadprzyrodzonych — do jakich niezwykłych wniosków dojśćby mogła, rozumując razem z nim przy szczerości nieograniczonej! Ale nie trzeba! ona go kocha całą duszą, on ją kocha z siłą niemniejszą! pocóż jej rozbierać obcęgami, skalpelem i nożem wszystkie niezwykłe zjawiska i przyczyny ich wielkiej miłości?

Odpędzała te myśli ku analizie wiodące, chciała oddychać tylko miłością.

Niekiedy ogarniały Romę najprzeróżniejsze wątpliwości, gdy jednak rozumowała logicznie i czyniła spostrzeżenia, z ich codziennego życia wzięte, dochodziła do wniosków, które ją pocieszały. Umysł tak bystry a wszechstronnie wykształcony, o wielkiej kulturze i subtelnem odczuciu, jak umysł Utana, nie mógł nie pociągać go do rozważań nad samym sobą i nie doprowadzić go do pewnych niewątpliwych wniosków.

Czy jednak Stroptop zdaje sobie sprawę z swego pochodzenia? czy wie o niem coś pewnego? czy posiada jakie dane niezbite? A jeśli tak, to czy zechce tem z nią się podzielić?

Roma ustaliła w sobie przekonanie, że ich

wzajemny stosunek dopóty nie będzie pełny i całkowicie szczęśliwy, dopóki on jej nie wyjawi szczerze całej prawdy i tem samem umożliwi jej również tajemnicę, którą w sobie nosi, odsłonić i podać mu w ofierze.

Myśli Romy wracały uporczywie do mglistej przeszłości Utana. Niepokoiła się na myśl, że gdy on wreszcie obdarzy ją jedną wielkiem zaufaniem (bo wierzyła, iż dotąd nikomu swej tajemnicy nie zdradził) i pocznie jej odsłaniać dzieje swego życia, to ona, słuchając go, może popaść w niedowierzanie. Domagać się zaś dowodów, choćby je nawet mógł złożyć, byłoby wyrażeniem mu swej nieufności. Za wszelką cenę chciała przecież uniknąć nawet cienia zadraśnięć między nimi. Postanowiła więc czekać, bacznie śledząc szczegóły codziennego życia kochanka.

Po pewnym czasie zapragnęła zbadać, czy więzienie jej jest prostym wynikiem okoliczności, czy też świadomie narzucone przez Stroptopa.

Konieczności jej toalety i z niemi połączone zakupy nie mogły służyć jej za pozór, bo Utan wprost zasypywał ją codziennemi darami, a posłańcy najwybredniejszych domów handlowych co dnia niemal przynosili towaru do wyboru więcej, niż zapragnąć mogła. Wpadła na pomysł: oświadczyła „Utasiowi", że umy-

śliła sobie dla niego niespodziankę i chciałaby ją poszukać na mieście. Wtedy Stroptop przystąpił do niej z niezwykłą czułością, a równocześnie z powagą, której dotąd w nim jeszcze nie była widziała.

— Romo! — rzekł — nie puszczę cię z mego domu, aż poznasz mnie, a poznawszy, miłości dla mnie nie stracisz. Wtedy pozwolę ci chadzać po mieście, ile zechcesz, aby cię radośnie znów w domu witać. Albo — jeśli stracisz do mnie miłość na skutek poznania mej przeszłości i mojego urodzenia, wtedy zwolnię cię na zawsze — wtedy...

Nie pozwoliła mu dokończyć. Ustami zapieczętowała jego wargi.

— O tem nie wspominaj nawet, niedobry chłopaku mój...

Stroptop złożył w jej usta gorący, rzewny pocałunek, pociągnął za rękę i kazał usiąść obok:

— Posłuchaj więc...

Umilkł i zamyślił się, aż po dłuższej chwili, głaszcząc Romę po ręce, rzekł:

— Nie wiesz nawet, ile wdzięczności ci winienem za to, że do dnia dzisiejszego nie zagadnęłaś mnie ciekawie, kim jestem, skąd się wywodzę i jaka jest przeszłość moja...

Dzięki ci za to. W ten sposób umożliwiasz mi tę dzisiejszą rozmowę. Ty na nią zasługu-

jesz, ty jedna!... (dodał z naciskiem, jakby chciał siebie utwierdzić w tem przekonaniu). Tobie do nóg składam moją tajemnicę... poznaj ją. Usłysz, co ci powiem, a potem spójrz na mnie nowem okiem, ogarnij nowem uczuciem, a potem — kochaj, albo ze wstrętem odejdź.

Roma przytuliła się do piersi kochanka:

— Mów, mów...

Utan ujął drogie jej ramiona, ścisnął mocno, odsunął tak, iż mógł patrzeć Romie w oczy. Ze wzruszenia ręce jego drgały, a drżenie udzieliło się także Romie.

Rzekł z patosem:

— Romo! kochasz — — — nie-człowieka!

Patrzał jej w oczy, szukał wrażenia; a ona wyszepnęła tylko:

— Mów, mów...

— Tak, Romo! jedyna istoto, którą pokochałem, wiedz! — ciebie kocha...

— Mów, mów... ty jesteś...

W tej chwili Roma z przerażenia przysiadła, bo oto straszliwy ryk dobył się z piersi Stroptopa, a potem dziki śmiech i zawodzenie.

Nie wypuścił z swych mocnych dłoni ramion kochanki, a śmiejąc się i skowycząc potrząsał całem jej ciałem.

Uspokoił się przecież po chwili i umilkł, opuściwszy ręce bezwładnie.

Roma przyklęknąwszy, głaskała jego skro-

nie, nabrzmiałe pulsującemi żyłami. On patrzył przed siebie, gdzieś w dal i jął cyzelować słowa, jakoby im chciał nadać dużo wagi:

— Matka moja — małpa z rodu Orang-Utan... Ojciec niewiadomy.

Nastała wielka cisza, jeno z kąta odzywał się raz wraz tyk zegara, przytwierdzając wyrzeczone słowa.

Stroptop ujrzał załzawione, pełne miłości oczy kochanki i lekko poruszające się jej usta; przycisnął tę piękną, czułą i oddaną twarz do swojej i wyszeptał:

— Mówić mogę dalej, wiem — kochasz mnie...

— Kocham! — zawtórowała ledwie dosłyszalnym głosem.

— Siądź obok mnie — rzekł Stroptop nagle z zupełną swobodą. — Siądź, słuchaj, czytaj...

Sięgnął po srebrną skrzynkę, sięgnął do kieszeni po kluczyk, którym otworzył skomplikowany, dziwnie kunsztowny zamek i uroczyście wziął w ręce paczkę zwiniętych papierów. Z namysłem jął układać poszczególne dokumenty na stole; część papierów rozłożył na kolanach i począł objaśniać:

— Oto testament profesora Nico-Or-Strop-Top'a. Testamentem tym czyni mnie, wówczas szesnastoletniego chłopca, generalnym spadkobiercą. W szczególności zaś kładzie na-

cisk na wymienione w testamencie dokumenty, na zbiory naukowe i na szczątki mojej matki; poza tem zapisuje mi dość pokaźną fortunę w gotówce i papierach wartościowych.

Jeśli zechcesz, przeczytam testament później; teraz obznajmię cię z głównemi dokumentami, abyśmy nie oddalili się od naszego tematu... Oto ten papier, to skrót naukowego traktatu o sztucznem zapłodnieniu małpy ludzkiem nasieniem. Tu stwierdza profesor Nico, że po wielu studjach i próbach z pośród dziewięciu samic-orangutangów, wybranych jako typy w rozwoju najbardziej udoskonalone, a przez niego sztucznie zapłodnionych człowieczą spermą, dwie doprowadził do poprawnej ciąży. Samice, które były już rodziły, a więc zapłodnione drogą naturalną przez samców orangutangów, nie mogły już reagować na zastrzyki spermy człowieczej. Obiedwie zaś samice, skutecznie sztucznie zapłodnione, przedtem nie rodziły, ani miały styczność z samcem. Obie dały potomstwo i to męskie; jedno dziecko, bardziej zbliżone do małpy, przyszło na świat nieżywe; dziecko drugiej, zbliżone bardziej do człowieka, odznaczało się wielką siłą życia i rokowało najlepsze nadzieje.

Tyle ten dokument... A oto następny, który przeczytam in extenso.

Pisze profesor Nico-Or-Strop-Top pod nagłówkiem „Homo-Pithecus Satyrus“, zaopatrując dokument w taką notatkę:

„Poniższe jest streszczeniem mojej pracy naukowej, która wyszła drukiem w r. 19** pod wzmiankowanym tytułem w czternastu tomach. Pomijam tu rozbiór naukowy zagadnienia, bo skrót ten przeznaczony jest nie tyle dla badań naukowych, ile dla życia, a składam go w ręce Utana Stroptop‘a dla jego użytku i dla informacji tych osób, które on uzna za odpowiednie.“

Sam zaś dokument brzmi:

— „Dnia 27 Januarii 19** roku urodzony z matki, wywodzącej się z roku „Pithecorum satyrorum“ i z ojca człowieka, którego nazwisko zataić jest moim obowiązkiem — „Homo-Pithecus satyrus“ otrzymał imię **Utan** dla przytwierdzenia krwi w żyłach jego płynącej. Cząstkę zaś własnego nazwiska dziecku nadawszy, nazwałem je Stroptop, z odmianą pisowni, iżby nie było ojcostwo dziecka mnie przypisywane.

„Utan Stroptop“!

Powołanie tego stworzenia do życia, to pierwszy etap mojej nauki, wychowanie i doprowadzenie do możliwie najwyższego stopnia rozwoju niech będzie celem reszty mojego życia. Zdobycz tę składam kornie u dostojnego

podnóża Nauki i jej powierzam dalsze losy dziecięcia, któremi obym pokierował jaknajszczęśliwiej!“

W tem miejscu Utan przerwał czytanie i jął mruczeć do siebie:

— Następują urywkowe notatki naukowe, przeważnie łacińskie...

A oto dalej:

— „Problem wychowania fizycznego, umysłowego i duchowego ciążył mi troską i nie mogłem zdecydować się na pierwszy krok bez światłej porady ludzi fachowych. Utan może wyróść zwierzęciem lub człowiekiem, albo istotą połowiczną. Poprzestawałem zrazu na nadziei, że wydobędę z małego stworzenia przebłyski znamion ludzkich. Tu upierałem się na tej pocieszającej okoliczności, że cechy ludzkie w budowie ciała Utana przeważają zdecydowanie. Przedewszystkiem kończyny, poza małpiemi proporcjami są bezwzględnie ludzkie.

Stopy! stopy miast rąk przy kończynach dolnych! Ujrzawszy u noworodka pierwszy raz stopy, triumfowałem. — Klatka piersiowa i budowa bioder zrazu najbardziej przypominały cechy małpie, a pomiary czaszki budziły we mnie poważne obawy. Jednakże z dnia na dzień znamiona ludzkie w kształtach zewnętrznych wywalczały sobie pierwszeństwo. Dziś

już, po latach dwóch nie żywię pod tym względem poważnych obaw; natomiast spostrzegam, że rysy i wyraz twarzy niestety zdradzają raczej małpę, niż człowieka. Owłosienie na całem ciele, jakkolwiek mniej zwarte niż pierwotnie, może w całem życiu Utana pozostawić piętno niezatarte. Czekam cierpliwie dalszego rozwoju dziecka".

Stroptop przerwał czytanie i spojrzał łagodnie a pytająco na Romę:

— Cóż ty na to? czy kochasz mnie mimo wszystko?

— Kocham, czytaj, czytaj!

Po chwili Utan czytał dalej:

— „Minęło ośm miesięcy od dnia urodzenia „Hominis-Pitheci". Mimo ostrzeżeń kolegów postanowiłem odłączyć dziecię od czułej matki. Argumenty przyjaciół upadały w mojem przeświadczeniu wobec jednego mojego argumentu, że dziecku dać trzeba maximum rozwoju, a więc wpływy, rozwój ten cofające, odeń oddalić. Obawiałem się, że decyzja moja może już jest nieco spóźniona; względy jednak odkarmiania malca mlekiem matczynem nie pozwalały mi prędzej przystąpić do tragicznego momentu odebrania matce jej dziecka.

Decyzja zapadła; dzień tragiczny nadszedł..."

— — — — — — — — — — —

Utan odłożył arkusz papieru, chwycił nowy, przerzucił oczyma.

— Posłuchaj dalej — rzekł i jął czytać:

— „Obronę dziecka małpa przypłaciła życiem. Gdybym był przeczuwał walkę tak rozpaczliwą, tak bezwzględną a tragiczną, możebym nie był się odważył na ten krok stanowczy. Dobrze się stało (mimo wszystko), że nie spodziewałem się wówczas tak daleko posuniętego macierzyństwa u mojej małpy, bo może byłbym się cofnął w pół drogi; a doświadczenie moje nie kończyło się przecież na powołaniu do życia „Hominis Pitheci", ale miało dać pełny wyraz wychowawczych możliwości.

Osierocona małpa zagrażała życiu wszystkich domowników, uwięzić jej nie było sposobu, a jej walka z każdym napotkanym przedmiotem, który łamała na drzazgi, tłukła na kawałki, oraz jej straszliwy ryk i skrzek nie mogły nie być słyszane przez jej dziecko; dość, że dnia trzeciego najwyraźniej zaczęło fizycznie i psychicznie podupadać. Mleko w minimalnej tylko ilości Utan wypijał, tak, iż począłem lękać się o jego życie. Zmieniło się to jednak w krótkim czasie, skoro tylko stracił choćby oddaloną styczność z matką. Tymczasem wszelkie próby obezwładnienia małpy i wywiezienia jej w klatce gdzieś daleko oka-

zały się zwodnicze. Dwóch śmiałków, którzy podjęli się poskromić zrozpaczone i rozwścieczone zwierzę, o mało nie przypłaciło to życiem; jeden, poturbowany musiał szukać poratowania zdrowia w szpitalu, drugi zaś uszedł cało tylko dzięki wystrzałowi z rewolweru, który wczas zdążył położyć dławiącą go za gardło małpę.

Trupa małpy kazałem odrzeć ze skóry; ciało poszło do prosectorium, skórę kazałem wypchać. I oto zachowałem sobie na pamiątkę nieszczęśliwą matkę mojego hominis-pitheci satyri.

Wypchana małpa patronuje mi w dalszej pracy ustawiona przy mojem biurku w kącie gabinetu. Utanowi nie pokazuję jej nigdy; a gdy dorośnie zdrowo i w myśl moich nadziei, oddam mu ją; wtedy zrozumie... i uszanuje szczątki swej matki.“

— — — — — — — — — — —

Utan czytać przestał; uczuł silny uścisk dłoni. Spojrzał Romie w oczy: dwie wielkie łzy spłynęły po jej bladych policzkach.

Uśmiechnął się. Roma nie wiedziała, czy uśmiech jego był pogardliwą na jej łzę odpowiedzią, czy zadowoleniem z jej wzruszenia, czy też obejmował jednym skurczem grymas całego rodu ludzkiego i małpiego pospołu. Nie

zdawała sobie sprawy, czy w tej chwili dokonuje się zacieśnienie ich wzajemnego stosunku, czy też przeciwnie, drogi ich zaczynają się rozchodzić. Na myśl tę ostatnią przeszedł ją dreszcz trwogi; przytuliła się do Utana, który właśnie wstał i chciał coś rzec.

Odpowiedział uściskiem, poczem powiódł ją do przyległego pokoju; tam odsunął ukrytą w schowku jednej z szaf zasówkę, otworzył szerokie oddrzwia i wskazał na szklaną szafę. Z poza szyby patrzała na nich wypchana małpa niemal ludzkich rozmiarów. Trupi wyrzut i grymas bólu, a rozpaczliwa nienawiść mięszały się w upiornem wejrzeniu.

Roma ogromnemi z przerażenia oczami patrzała przez chwilę w straszliwe zjawisko, przerzucała wzrok z małpy na Utana, jakby odruchowo szukając podobieństwa... poczem przycisnęła twarz do piersi kochanka, zasłaniając dłonią oczy. Usłyszała tylko miękki, cichy głos Utana:

— To matka moja.

Po wieczerzy uprosiła Roma Utana, aby jej pozwolił tej nocy być samej. Po dłuższych prośbach i tłomaczeniach pojął, że czytane dokumenty wywarły na wrażliwą kobietę wstrząsające wrażenie, a może widok jego matki...

Była chwila, że Utan począł żałować, iż już teraz powierzył Romie tajemnicę swego pochodzenia; wszelkich jednak wątpliwości pozbył się, gdy na dobranoc prosiła go, aby przyrzekł, iż nazajutrz od samego rana będzie czytał dalej dokumenty profesora Nico-Or-Strop-Top'a.

— — — Roma tej nocy długo zasnąć nie mogła. Myśli jej skakały zygzakami w czaszce, probując przekłuć zasłonę przyszłości, to znów uderzały wspomnienia minionego życia ostremi zakrętami... zahaczały jednak zawsze o jej ostatni postępek.

Przyszła do obcego człowieka... tak! bo mimo wszystko, mimo odległe wspomnienie, on Utan był obcym człowiekiem... Czy człowiekiem?... Któż rozróżnić zdoła?!

Przyszła do niewiadomego samca dobrowolnie, gnana żądzą ciekawości, w poszukiwaniu dreszczów nieludzkich. Znalazła je! Zaznała

rozkoszy pełniejszej, bardziej szalonej i bardziej upojnej, niż w najśmielszych oczekiwaniach spodziewać się mogła...

Tego nie wywróżyła jej pamiętna kukułka z przed lat dwunastu!...

Utana pokochała całą swą istotą, a on nie jest człowiekiem, nie jest zwierzęciem! Oddała mu bez zastrzeżeń swą wolność, przekreśliła tem samem całe dotychczasowe swe życie...

W pół-jawie, w pół-śnie widziała zdziwionych i zlęknionych krewnych i znajomych.

Urągliwie uśmiechnęła się do niewątpliwych potwarzy i obmawiań przyjaciółek... Odpowiedziała im uśmiechem triumfu — bo żadna nie ma i mieć nie będzie w życiu takiego kochanka!

Roma w gorączkowym półśnie ujrzała nagle przygnębioną twarz Ryszarda. Troska się o nią pewnie, szuka jej; wściekłość bezsilna na jego twarzy ledwie widocznej w cieniu ronda cylindra i podniesionego kołnierza palta.

Jak on spieszy przez ulicę!... jak spieszy!... Źle postąpiła, rzucając go bez słowa pożegnania. On gotów popełnić jakieś kapitalne, nieobliczalne głupstwo!...

Oto idzie! idzie tak pospiesznie... Przystanął... Ktoś zastąpił mu drogę. Któż to? — Tak! poznaje, dobrze przecież widzi, to twarz Utana

spokojna a groźna... już świecą jego kły małpie, już długie, długie ręce...

Wtem gwałtowny wstrząs rzucił na posłaniu ciałem Romy. Przetarła oczy, rozejrzała się po sypialni, blado oświetlonej błękitnem światełkiem nocnej lampki.

Roma spojrzała przed się i — zdrętwiała. Na krześle obok łóżka siedziała postać znana jej, a jednak niewiadoma. Przeraźliwy smutek wionął od tej postaci i przygniótł falujące piersi Romy. Dech w niej zamarł nagle; zesztywniałe ręce bezmocne drżały na pościeli. Poznała: to matka Utana! Widmo małpy jęło przybliżać twarz do twarzy Romy, a ona czuła wyraźnie, że podnoszą się jej włosy na głowie, że z śmiertelnej trwogi kurczy się jej skóra na czaszce... ale nie miała już sił, by wołać pomocy.

Bezwolnie poddała się; i oto skurcz skóry na całem ciele począł ustępować, a ziąb i zdrętwienie przemieniły się w strumień, który przepłynął życiodajnem ciepłem przez zmęczone ciało.

Roma czuła wyraźnie oddech małpy, a w jego fali usłyszała szept:

— Córko ty moja, nie lękaj się... dzisiaj już po latach tylu — nie lękaj się... Zemsta już zamarła we mnie... Nie trwóż się, jeno powiedz

mi — jeno prawdę mi powiedz: czemużcie mi go zabrali?...

Małpa wlepiła smutny wzrok w zastygłe oczy Romy, patrzała, milczała... Wreszcie przetarła długiemi palcami swą pomarszczoną twarz i wyciągnąwszy przed się wszystkie cztery ręce, dwudziestoma palcami jęła odliczać, poczem westchnęła:

— A więc w połowie maja...

Znów cisza, której towarzyszył wzrok małpy pełen zapowiedzi, pełen wróżby. Aż poczęła małpa oznajmiać:

— Przyszłam, aby ci spojrzeć w oczy, przyszłam, abyś w moje spojrzała... Chcę, byś się we mnie zapatrzyła, chcę, by moje wnuczę podobne było do babki... A teraz śpij i zapomnij o mnie.

— — — — — — — — — — —

Późnym rankiem zbudziła się Roma od nadmiernego łkania. Przetarłszy oczy stwierdziła, że twarz jej zalana była łzami. Zmęczona myślą próbowała odnaleźć wątek ulatującego w krainę niepamięci, przebytego snu.

Tegoż dnia nie mogła Roma nakłonić Utana do dalszego czytania dokumentów.

— Zbyt silnie odczułaś — mówił — los mojej matki. Niech to wszystko wpierw ułoży się w twym umyśle, niech to nie będzie dla ciebie czemś niezwykłem... Tak, Romo, musisz żyć mojem życiem, jak własnem... Dziś jeszcze mam wrażenie, że dusza twoja przewraca się i rzuca, jak ryba, wyjęta z wody i podana obcemu żywiołowi.

— Nie rzuca się moja dusza — odrzekła słodko — a że głęboko czuję te przeżycia, to tylko dlatego, że tak bardzo jestem z tobą złączona. Wiedz, nie trzeba, bym stopniowo poznawała twe życie, powinnam je wchłonąć w siebie całe odrazu, takie, jakie ono jest, jak się zrodziło i ukształtowało. Nie skąp mi, Utanie. Dzieciństwo twoje chcę poznać i dalszy rozwój.

Uległ. Jął się czytania tem chętniej, iż sam czuł potrzebę wypowiedzenia się po raz pierwszy w życiu.

Roma ku wielkiemu jego zadowoleniu przynaglała:

— Czytaj dalsze zapiski drogiego uczonego.

— Szanujesz jego pamięć?

— Czczę, uwielbiam! dał mi ciebie!

Ucałował Romę gorąco i powoli jął przewracać w papierach; czytał:

— „O dziecku małpy i człowieka rozeszła się fama lotem błyskawicy. Z początku interesowały mnie głosy prasy o mojem naukowem dokonaniu; jednak, choć komentarze były coraz liczniejsze i obszerniejsze, przestałem je czytywać. Ponownie bowiem utwierdziłem w sobie pogląd, że kto nie chce umysłowo wyjałowieć, ten niech nie czytuje gazet, a już zagadnienia nauki może najbardziej są poniewierane przez największych nieuków i zarozumialców, którzy skupili się w redakcjach. Żądza sensacji kłóci się tam z głupotą i to popierają wszystkie społeczeństwa. Odrzuciłem więc gazety, żadnych sprostowań nie posyłałem, bo mnie interesowały jedynie głosy kilku uczonych w pismach fachowych. Poza tem przychodzili do mnie zoologowie i antropolodzy na długie konferencje, oględziny i badania zarówno małpy (żywej i potem umarłej), jak mojego „hominem pithecum satyrum“. Pozwoliłem im czynić notatki, ważyć, brać pomiary, opukiwać... baczyłem jeno, by małego Utana te studja nie męczyły lub przerażały. (Małpa bowiem, póki żyła, sama dawała sobie radę z uśmierzaniem ciekawości uczonych).

Chłopiec rozwijał się fizycznie pod moją pieczą ku wielkiemu memu zadowoleniu. Obawy pierwotne okazały się zbyteczne. Oczekiwałem z niecierpliwością chwili pierwszego przemówienia niemowlęcia. Dobiegał do końca drugi rok jego życia, lecz pupil mój nie zdradzał żadnych chęci porozumiewania się za pomocą mowy. Z niemałą zresztą przykrością obserwowałem od samego początku, jak podczas płaczu dziecka lub jego śmiechu mimika twarzy niemal nie ulega zmianom. Płacz od śmiechu trudno było zrazu odróżnić, na to trzeba było pewnego doświadczenia obserwacji. Natomiast łzy zdradzały znów przybliżenie do człowieka (bo małpa nie płacze łzami). — Po pewnym czasie zauważyłem wciąż zmiany w rozwoju mimiki Utana. Gdy małpia twarzyczka jęła nabierać mimicznych odmian, nie traciłem nadziei, że również mowa stanie się zwolna udziałem dziecka. Długo kazał Utan czekać na tę radosną chwilę; w połowie trzeciego roku życia jął wydawać dźwięki coraz bardziej przypominające niektóre codzienne nasze wyrazy; a po pewnym czasie posiadł już umiejętność nazywania na swój sposób ściśle określonych przedmiotów lub czynności. (Szczegółowe studja na temat kształtowania się mowy przeprowadziłem w tomie II. dzieła „Homo Pithecus Satyrus").

Nim skończył Utan rok trzeci, już umiał dość biegle porozumieć się z nianią i ze mną.

Nawiasem dodam, że niania opłacana była potrójną pensją; nie było bowiem chętnych kandydatek do niańczenia „antychrysta“, jak mawiały powszechnie.

— Tu w moich ogólnikowych notatkach, które przeznaczam dla czytelnika fachowo z problemami „h o m i n i s p i t h e c i“ niewykształconego, a w szczególności dla samego Utana, nie rozważam licznych szczegółów pierwszego dzieciństwa, ale nie mogę powstrzymać się od upamiętnienia problemu, wszczętego przez pewnego duchownego; to problem chrztu.

Skoro tylko poruszono kwestję ochrzczenia Utana, już czterech duchownych różnych wyznań atakowało mnie o konieczność, względnie niedopuszczalność udzielenia „h o m i n i p i t h e c o“ sakramentu chrztu.

Choć w tym względzie miałem ustaloną opinję, rad byłem wysłuchać zdań teologów. Aby nie spotkać się z zarzutem stronniczości, nie wymienię tu, który z duchownych co twierdził lub czemu przeczył, ale dam obraz dysput ogólny, a czytelnik niechaj sam sobie ustali opinję.

Przedewszystkiem stwierdzić muszę, że tylko jeden z teologów nie potępił mego dokona-

nia naukowego; trzej pozostali dowodzili mi, że dopuściłem się najcięższego grzechu, bo zuchwalstwa osobistego w stosunku do Osoby Stwórcy. Odparłem skruszony, że dotąd nie zauważyłem, aby Stwórca zareagował nieprzyjemnie i obiecałem, że gdyby to nastąpić miało z pewnem opóźnieniem, nie omieszkam się wytłomaczyć, a napewno dojdziemy do porozumienia, bo Stwórca naukowych argumentów z pewnością nie zlekceważy.

Zanim jednak dojdzie do tego, należy mi się przygotować, abym nie był zaskoczony przed obliczem Najwyższego. A więc pytam teologów, czy owoc mego grzechu winienem unicestwić, t. j. zabić noworodka?

Jeden z duchownych bez namysłu zaprotestował, dowodząc, że bez względu, czy „homo pithecus" jest człowiekiem czy zwierzęciem, zabijać nie wolno. Inni teologowie dojść musieli do tegoż wniosku dopiero po długiej dyspucie i to z zgoła innych wychodząc założeń; uznali mianowicie, że Utana zabić nie należy dla ostrożności na ten wypadek, gdyby mimo wszystko delikwenta należało uznać człowiekiem; a poza tem zaopinjowali, iż choć powołanie do życia „hominem pithecum" jest ciężką obrazą Boga, a więc grzechem, to jednak nie należy dziecka zgładzić

tak samo, jak nie zgładza się dzieci nieprawego łoża, choć w grzechu są spłodzone.

Próbowałem dnia pewnego wciągnąć do dyskusji prawnika, lecz ten odparł krótko, iż paragrafy kodeksu nie przewidują kar za pozbawienie życia „h o m i n i s - p i t h e c i“, a precendensu prawo nie zna. Dość, że przeważyła opinja za utrzymaniem Utana przy życiu.

Dalsze problemy stawały się coraz zawilsze. Wypłynęło zagadnienie wychowania.

Opinje takie:

„H o m i n e m - p i t h e c u m“ należy utrzymać w stanie zwierzęcym; wolno co najwyżej wyzyskać dla doświadczenia naukowego lub innych poważnych względów jego ewentualnie wyższą od zwierzęcej inteligencję i t r e s o w a ć ; ale, broń Boże, nie stosować doń wychowania naszych dzieci. Primo: ponieważ to wysiłek próżny i — secundo: ponieważ można ewentualnie wytworzyć monstrum człowieczeństwa na urągowisko ludziom, Bogu na obrazę. Nie należy przedewszystkiem rozbudowywać, upiększać, uszlachetniać, a tem samem umacniać zła; nie należy to zło, które jest złem w swem założeniu, czynić zdolnem do życia wśród nas i do wywierania wpływu na ludzi. Zło staje się tem szkodliwsze, im w wyższe sfery rozwoju duchowego wprowadzone.

Teolog ów rozumował dalej: Przyjąć należy, że „homo-pithecus“, jak każde zwierzę czy człowiek, pozbawiony nie będzie popędu seksualnego, a raczej obawiać się trzeba, że popęd ten będzie silnie rozwinięty. Cóż stanie się, jeżeli ono zwierzę zwracać pocznie swe afekty nie w stronę małp, a w stronę naszych kobiet? Czy można sobie wyobrazić potworniejsze sytuacje i życiowe konflikty?

— W tem miejscu przerwałem duchownemu uwagą, że jeśliby te obawy miałyby się sprawdzić, w takim razie upadłby zarzut mojego grzechu, bo wtedy byłoby oczywiste, że nie zadałem gwałtu naturze, gdyż w dalszym całym rozwoju nie co innego, jeno natura znalazłaby pole działania.

— Usłyszałem wykrzyknik: „natura spaczona przez źle pojętą naukę człowieka“.

— Jak to „źle pojętą“, skoro w wynikach pozytywną?

— Tem gorzej!

Teologowie zgodnie obruszyli się na myśl wyprodukowania nowej rasy „hominum pithecorum“, a jeden z nich (ten najtwardszy) chwycił się za głowę na wspomnienie możliwego niebezpieczeństwa, jakieby mogło powstać dla ludzkości, a szczególnie dla kościoła bożego. Pocieszano się jedynie nadzieją, że taki mięszaniec może być niepłodnym, jak to widzimy

n. p. u mułów. Skoro tedy taki potwór już raz żyje, a zgładzić go nie można, należy go bezwzględnie izolować od społeczeństwa ludzkiego, a płciowo dla pewności uczynić nieszkodliwym; zdarzyć się mogą bowiem w przyszłości z jego strony pogwałcenia; a zresztą kobietom też dowierzać nie można, bo zachodzi podejrzenie, że taki właśnie małpolud na niektóre kobiety działałby podniecająco.“

Stroptop uśmiechnięty spojrzał na główkę Romy, opartą rozkosznie o jego ramię. Z ukontentowaniem spostrzegł filuterny uśmiech na ustach kochanki i rzekł:

— Nie dali nam rady, prawda? Poczekaj; jeszcze wiele sprawimy im kłopotu.

Nagle Utan aż podskoczył z radości:

— Wiesz co? Romo! Staniesz się drugą Ewą rodzaju ludzkiego!

Roma rozkosznemi ruchy jęła zamykać usta kochanka, a on bronił się rozbawiony:

— A co! nie ty mnie skusiłaś, jak Ewa?

— Co? — oburzyła się z udanym gniewem. — Kto częstował czekoladkami? Kto mi podał pachnący flakon? Dość już wymówek; czytaj dalej, to zaczyna być zabawne.

— Posłuchaj więc, co dalej prawią o nas teologowie.

Utan spoważniał i czytał dalej:

— „Izolować od społeczeństwa ludzkiego“ — prawił jeden z duchownych...

Na to rzuciłem pytanie, czy taka izolacja zgodnaby była z podstawowemi kanonami kościoła?

Na skutek mojej dalszej, nieśmiałej uwagi, że „homo-pithecus“ może być naszym bliźnim, duchowny począł czerwienieć na twarzy, to znów blednąć, a tamci najwyraźniej również poczęli się niepokoić na dobre. Ja zaś wywodziłem dalej:

Jeżeli uznaliście, panowie, możliwość człowieczeństwa „h o m i n i s - p i t h e c i“, a więc niedopuszczalność zgładzenia go ze świata, w takim razie należy pokierować nim tak, aby wyrósł Bogu na chwałę; należy więc przedewszystkiem nie pozbawiać go dobrodziejstw religji.

Pytam was tedy: które z wyznań jest najodpowiedniejsze dla mego Utana?

W obecnych uderzył grom.

Na ustach każdego z duchownych spoczywał okrzyk: moja religja oczywiście! Pod wpływem jednak całego szeregu wątpliwości, które równocześnie same się narzucały, okrzyk ten zamarł wczas na ustach teologów. Ja zaś tem natarczywiej nalegałem.

Duchowny, który przestał już blednąć, a natomiast ponsowiał coraz bardziej, spróbował ra-

tować sytuację: — Moje wyznanie, prawił niepewnym głosem, mogłoby tylko ucierpieć na wyznawcach takich, jak „homo-pithecus".

Odparłem: przecież chrzcicie niemowlęta, nie wiedząc, jaki pożytek mieć będzie kościół z tego nowego nabytku. Czemu więc w tym wypadku posuwać ostrożność aż do wyrzeczenia się jednej owieczki dlatego, że z niej może nie być pociechy dostatecznej? A zresztą czy kościół istnieje dla owieczek, czy owieczki dla kościoła? Sądzę, że chodzi o prowadzenie dusz ludzkich do zbawienia? a tego podjął się kościół; czy więc wolno zatracać choć jedną duszę dlatego, że jej rodowód jest bardziej wiadomy, niż wielu innych owieczek? albo że zachodzi wątpliwość co do całkowitości duszy tej owieczki?

Gdy dalej ciągnąłem moje wywody, teologowie prawili mi zgodnie, że mówię niedorzeczności, że zbytnia logika właśnie do takich niedorzeczności prowadzi i że nie mogą dalej rozpatrywać tej kwestji.

Zmieniłem taktykę: zgoda, ale co mam począć z wyborem wyznania dla mojego pupila; bo okoliczność, że ja bredzę, a teologowie nie umieją sporu rozstrzygnąć, czy Utana ochrzcić, czy go obrzezać, nie może być decydującym wyrokiem dla wewnętrznego jego życia.

Rozgniewali się na dobre.

Zadecydowali: teraz najdobitniej uwidocznia się potworność mojego czynu niezgodnego z wolą Pana Boga, że cała odpowiedzialność spada wyłącznie na mnie, że każdy z nich umywa ręce i t. d.

Pożegnałem teologów.

Rzecz jednak na tem nie była wyczerpana; bo oto nazajutrz przyszedł do mnie z własnej inicjatywy ów duchowny, który najbardziej czerwieniał w dyskusji.

Widocznem było, że w domu przestudjował spiesznie książki kościelne i przyszedł do mnie naładowany argumentami. Usprawiedliwiał długo swoje niezdecydowanie wczorajsze obecnością duchownych innych wyznań i brakiem przygotowania. Od czasu istnienia kościoła problem taki jeszcze nie był rozpatrywany, ani na którymkolwiek z soborów decydowany. Ta więc okoliczność daje mu, jako teologowi pewną swobodę rozumowania, a tylko kanony ustalające niezbicie istotę chrztu i t. d. są dlań wskazówkami, iżby nie przeciwił się dogmatom wiary.

Przydługa była przedmowa duchownego, poczem jął wykładać dość chaotycznie; mimo to tendencja była jasna.

Ochrzcić należy Utana bezwarunkowo i to według obrządku jedynego, który ma istotną

wartość. Duchowny sam zaofiarował swe usługi i określił kosztorys.

W dalszej rozmowie powstał problem ważności chrztu. Czy wolno chrzcić bez absolutnego przekonania, i czy w tym razie chrzest jest ważny?

Teolog odparł potakująco.

Wtedy zagadnąłem: pamiętam z czasów ławy szkolnej: wśród zabawy oblewaliśmy kolegów-żydów wodą, wymawiając słowa przepisane i nie bacząc na protesty chrzczonych kolegów. Czy ci żydzi są ochrzczeni? czy były to chrzty ważne?

Teolog z oburzeniem zaprzeczył, dowodząc, że chrzest przyjęty być musi dobrowolnie i świadomie, czego dopełniają właśnie rodzice chrzestni w imieniu chrzczonego niemowlęcia.

Odparłem: ależ i my wówczas przewidywaliśmy tę konieczność i w imieniu chrzczonych żydków zapewnialiśmy nieba o świadomem i dobrowolnem przyjmowaniu chrztu przez protestujących, jak niemowlęta koleżków. Czy ważny jest chrzest taki, dokonany wbrew świadomej woli chrzczonego? Czy tedy mogą być wątpliwości co do ważności chrztu, dokonanego na Utanie?

Odparł gniewnie teolog:

— Tu zachodzi obawa, że chrzest może być dokonany na zwierzęciu.

— Co nam wreszcie da pewność ważności chrztu Utana?

— Jego rozwój, który wykaże, iż ochrzciliśmy człowieka, nie zwierzę.

— Więc od rozwoju intelektualnego zależy ważność chrztu?

— W tym wypadku bezwątpienia.

— A jednak zdarzył się wypadek ochrzczenia całej gromady pingwinów — co wtedy?

— O tem nie wiem — rzekł zakłopotany a dobroduszny ksiądz. — W każdym razie pingwinów nie mamy w łonie kościoła.

— Anatol France może księdza bliżej poinformować o sporze, który wynikł na tle chrztu pingwinów. Ja zaś pytam, czy należy badać intelekt ochrzczonych pingwinów, aby uzyskać pewność ważności chrztu?

— W każdym razie na tle owego chrztu pingwinów mógł powstać tylko teoretyczny spór, gdyż ptaków tych z całą pewnością w poczet ludzi zaliczyć nie można; tymczasem inna jest sprawa „h o m i n i s p i t h e c i“. Skoro zachodzi możliwość człowieczeństwa Utana, należy zabezpieczyć jego ewentualnej duszy zbawienie.

— A więc asekuracja?

— Nazwijmy to asekuracją duszy.

— — — — — — — — — — — —

Z owym teologiem nie doszedłem do uzgodnienia poglądów i zakończyłem dyskusję oświadczeniem, iż wolę wpierw udoskonalić system asekuracyjny za pomocą wychowania, bo nie chcę Utanowi narzucać żadnego z towarzystw asekuracyjnych; niech on sam zadecyduje, którego towarzystwa ubezpieczeniowego chce być klientem.

— — — — — — — — — — — —

Po licznych jeszcze debatach z teologami doszedłem do wniosku, że mój czyn naukowy był zbrodnią nie tyle w stosunku do Stwórcy, ile w stosunku do teologji; bo poprzewracał cały szereg ustalonych dogmatów i narobił teologicznym głowom wiele kłopotu z ponownem ustawianiem niewzruszalnych kręgli. Tę winę — rad nie rad — muszę wziąć na siebie.

O ile problem duchowego wychowania Utana rozciągał się na dłuższe lata (a sam miałem zdecydowane w tym względzie wytyczne), to formalności z uobywatelnieniem mojego pupila, a więc zapisanie go w urzędzie stanu cywilnego, wymagały pośpiechu ze względu na istniejące przepisy (dotyczące ludzi), a zwłaszcza dlatego, aby Utan w przyszłości nie spotykał się na swej drodze z ustawicznemi trudnościami.

Z wszelkiemi więc poświadczeniami mojego instytutu położniczego udałem się krótko po urodzeniu Utana do urzędu stanu cywilnego.

Urzędnik, stwierdziwszy moje nazwisko i dalsze szczegóły, jął stawiać mi krótkie pytania, celem dalszego protokółowania:

— Ojciec dziecka?

— Niewiadomy.

— A więc dziecko nieślubne... a matka?

— Małpa — odparłem krótko.

Urzędnik odłożył pióro, pochylił głowę, a wzrok jego ogłupiały, ponad szkłami okularów idący, jął doszukiwać się w mej twarzy sensu mych odpowiedzi.

— Jak to małpa? — spytał nieśmiało.

— Małpa, z rodu „p i t h e c o r u m s a t y r o r u m“.

— Ah! rozumiem! — ucieszył się i zapisał pod rubrykę „imię matki“: małpa; pod rubrykę „nazwisko matki“: „Pitheca satyra“.

— To szczególne! — westchnął i indagował dalej:

— Wyznanie matki?

— Bezwyznaniowa.

Spojrzał niedowierzająco, lecz zapisał.

— Przynależność państwowa?

— Nigdzie nie meldowana.

— Narodowość? — pytał bez zapisania ostatniej odpowiedzi.

— Beznarodowościowa — odparłem ze spokojem.

Wtedy zerwał się urzędnik i jął krzyczeć:

— Nie, panie profesorze! takiego protokółu sporządzić nie mogę. Co to znaczy: małpa bezwyznaniowa, małpa międzynarodowa!? co to jest!? Czy pan profesor mówi poważnie?

— Jak można najpoważniej.

— Ależ taki protokół nie miałby najmniejszego sensu! — wołał urzędnik stanu cywilnego, nie wiedząc, co ze mną począć.

— Może w tem jest więcej sensu, aniżeli my wszyscy domyśleć się zdołamy — odparłem spokojnie i wyszedłem, nie załatwiwszy zgło-

szenia Utana do ksiąg obywateli państwa. Postanowiłem uczynić to za pomocą memorjału, wystosowanego do najwyższej instancji. (Traktat prawny wraz z szczegółami procesu patrz: „Homo-Pithecus-Satyrus. — Tom III.).

Po czteroletnim procesie uzyskałem dla Utana Stroptop'a „metrykę warunkową", która jednak w życiu mego pupila zrazu okazała się wystarczającą."

Utan odłożył arkusz i pokazał Romie przyczepiony doń dokument pochodzenia. Przeczytała z uwagą.

— Widzisz więc — rzekł po chwili, — swojem pojawieniem się na ziemskim padole wiele sprawiłem ludziom kłopotu... Tak bywa zawsze, gdy cośkolwiek zaskoczy człowieka w jego nazbyt urzędowem życiu. Im bardziej wszystko przewidziane w organizacji życia, tem przykrzejsze bywają niespodzianki... Hm — przewidywano, zda się, wszystko, co trzeba, jeno mnie nie przewidywano...

Nie można wszystkiego opierać na doświadczeniu, to zdradliwe.

— Tak, Utanie! ja z zamkniętemi oczami szłam do ciebie.

Uścisnął ją za te słowa.

— O! — wołała Roma — musisz mi jeszcze wiele opowiedzieć: jak rozwijałeś się, co stawało ci na przeszkodzie, z czem walczyłeś, jak

zawiązywał się stosunek do towarzyszów zabaw i nauki, czy nauka sprawiała ci trudności, jak ustosunkowywałeś się do profesora Nico-Or-Strop-Top'a, do innych ludzi — jak do kobiet?... to wszystko przecież niezmiernie ciekawe! Chcę wiedzieć, co było, zanim wziąłeś mnie...

— Opowiem, wyjaśnię wszystko. Nic nie ma być przed tobą zatajone. Teraz wiem, że mam ciebie, że ty mnie kochasz, o resztę nie dbam.

Roma, wyzwoliwszy się z uścisku Utana i poskromiwszy całunkiem nazbyt łakome jego usta, zaśmiała się wesoło; pragnęła jednak wrócić do tematu, więc zagadnęła:

— W rezultacie co stało się z wszelkiemi formalnościami i koniecznemi sprawami w stosunku do władz świeckich i kościelnych?

— Hm... długie to historje. Profesor Nico nie ustąpił; przed śmiercią przeprowadził, co chciał i zapewnił mi możność bytowania w ludzkiem społeczeństwie. Umarł, gdy kończyłem studja uniwersyteckie. Poza notatkami, które ci czytam, a które jakby wyłącznie dla ciebie przeznaczone, pozostawił profesor Nico czternasto-tomowy traktat naukowy p. t.: „Homo-Pithecus Satyrus". Z dzieła tego, które oczywiście mam w mej bibljotece, zrozumieć możemy, my niewtajemniczeni w arkana tej gałęzi nauki, tylko poszczególne

rozdziały. To jednak wiem, że te czternaście tomów, to poprostu rewolucyjne dzieło naukowe o człowieku, jako takim, o człowieku, jako indywiduum fizyczne i indywiduum duchowe, o człowieku - gromadzie, o gromadzie indywidualnej w zrzeszeniu ludzkiem... czego tam niema! aż trudno o tem mówić.

— O sobie mów — przerwała z przymileniem Roma. — Mów o swej młodości... Ostatecznie jak zapisano cię w urzędzie?

— Proponowano profesorowi Nico, aby zgodził się na zapisanie mnie jako podrzutka — „rodzice niewiadomi". Oczywiście odrzucił tę propozycję, jako niezgodną z prawdą i domagał się metryki odpowiedniej do istotnego stanu rzeczy; przeprowadził co chciał, i za to jestem mu wdzięczny.

— Tak? — zdziwiła się Roma nazbyt szczerze i naiwnie.

To zadrasnęło Utana. Roma spostrzegła się w mgnieniu oka i zanim Utan zdążył coś odpowiedzieć, jęła przymilać się, jak kotka a tłomaczyć:

— Utasiu mój jedyny, wybacz... Nieznośne nawyknienia; nigdy nie gniewaj się o nic. Nie tak myślałam... wiesz przecież...

Utan głaskał jej głowę z pieszczotą, ale spoważniał.

— Nie gniewam się — mówił; — przecież

do waszych ludzkich nawyknień zdołałem się już przyzwyczaić. Dobrze wiem, że swem pojawieniem się wniosłem w ludzką gromadę szereg pierwiastków, dotąd ludziom obcych — powiedzmy lepiej: zatartych. To jednak pewne, że z biegiem czasu ludzie będą musieli zrewidować swoje upodobania, przyzwyczajenia i przesądy, a stopniowo uzgadniać je — powiedzmy, nie tyle z mojemi, ile moich następców... na to zresztą potrzeba czasu. Przedewszystkiem będą musieli ludzie zmienić podstawy wzajemnego porozumiewania się i współżycia.

— Więcej prostoty, prawda?

— Bezwątpienia; głównie zaś zrewidować będą musieli wartościowanie jednostek ludzkich, będą musieli uczyć się tego, co nauczają małe dzieci, sami w to nie wierząc: wartość człowieka w nim jest, nie zaś w tem, czem go oblepiono: patenty, herby, pieniądz.

Pochodzenie? — owszem, ale nie tak pojęte. Niechby wartości atawistyczne zgłębiali tak, jak to się czyni przy wytwarzaniu szlachetnych ras zwierząt: koni, bydła, świń; jeśli zdołają nie tylko fizyczne wartości mieć na oku, ale przedewszystkiem wewnętrzne, te, które odróżniają właśnie człowieka od zwierzęcia, bo mowa, rzekomy rozum i t. d. — to za mało.

Gdyby kiedyś osiągnięto jakie wyniki na tem

polu, możeby tą drogą złamano wreszcie błędne założenia sądów człowieka o człowieku; możeby zbliżono ich wzajemnie?

Patrzę na te różne śmiesznostki ludzkie z pewnej perspektywy, dlatego sąd mój może być słuszniejszy, niż istoty, która ma być sądzoną i sądzącą równocześnie. Wiem, że los oszczędził mi wiele ludzkich atawizmów, bo jestem z małpy zrodzony. Nie sądź jednak, Romo, bym nie zdawał sobie sprawy z odziedziczonych znamion małpich i to wielu ujemnych i ze stanowiska ludzkiego śmiesznych może; zwalczam je, o ile spostrzegam. Badam znamiona moich rodziców, a te badania pomocne mi są w prostowaniu własnych usterek i błędów. Któż to czyni wśród was? Czy ojciec wychowuje swe dziecko pod kątem widzenia własnych błędów, które głównie w niem winien prostować? I odwrotnie: cześć, szacunek i miłość dla ojca i matki poza szlachetnym sentymentem daje wyniki dobre, ale połowiczne dlatego, że stosujecie przykazanie to bez żadnej myśli. Wam nie wolno widzieć stron ujemnych u rodziców, a tem mniej wyznać głośno: zwalczam w sobie instynkt złodziejski, bo wiem, że rodzic mój złodziejem był. To byłoby obrazą rodzica, bluźnierstwem, kaleczeniem obyczajów. A przecież złodzieje byli, są i będą, złodzieje nie są z reguły bezdzietni; zamykanie

oczu na wielkie ułomności u rodziców i u dzieci wlecze te niedomagania przez wszystkie pokolenia; niechby człowieczeństwo w tem się objawiało bardziej, niż to dzieje się i działo do tego czasu.

O! jakże inaczej patrzę ja na te sprawy!... może dlatego, że we mnie człowieczeństwo jest tak nowe, a więc tak doraźne.

— Wiem, Utanie... Spostrzegłam to i wysoko cenię to w tobie. Spostrzegałam i z początku raziło mnie to, gdy w szczegółach życia codziennego zjawiały się w tobie małpie objawy, ale też podziwiałam i podziwiam, jak starannie je analizujesz, rozdzielasz i w sobie układasz... Nie odrzucasz przecież wszystkich znamion małpy, a jedynie te, które uznajesz za ujemne, prawda?

— Zapewne. Staram się usuwać przedewszystkiem te znamiona małpie i ludzkie, które we mnie stwarzają sprzeczności; wciąż probuję oceniać bezstronnie. Zresztą czynię to w sposób wielce niedoskonały, choć odczuwam postępy. W każdym razie mam tu pewne prerogatywy, które dała mi natura. Łatwiej, niż komukolwiek z ludzi, sądzić mi zarówno ród małpi, jak ludzki, stąd też łatwiejszy samokrytycyzm. Jednak jest to praca wewnętrzna niełatwa, ale konieczna.

— Wiesz, Utanie — rzekła Roma po namy-

śle — przyznam się, że imponujesz mi tem, że wśród takich ludzi, jacy są, zdołasz się utrzymać na powierzchni, zdołasz im stawić czoło... za to cię admiruję.

— To nie powód do admiracji. Poprostu góruję pod wielu względami nad przeciętnym człowiekiem. Przekleństwem zaś ludzi jest to, że człowiek przeciętny nadaje ton zbiorowemu życiu. Prawda! natura wyposażyła mnie w zalety, których nie dostaje przeciętnemu człowiekowi; są to zalety pospolite, tem gorsze świadectwo dla ludzi. Wiem np., że żaden z ludzi nie dorówna mi myślą porównawczą i pamięcią: nie zapominam nigdy o niczem; co raz weszło w mój mózg, to czuwa nieustannie, to nie usypia; dalej żadna myśl moja nie uświadamia mi się sama sobie, oddzielnie, ale w kombinacji z wszystkiemi jej dopełnieniami i sprzecznościami; dlatego moje decyzje są szybkie. niezmienne i przeważnie trafne. Dalej: nikt mnie nie pobije w przenikliwości; dlatego nikt mnie nie oszuka, choć nie jestem podejrzliwy; ja zaś oszukam każdego, gdy zechcę. Na tle dóbr doczesnych nie miewam pokusy kogokolwiek oszukiwać, a czynię to jedynie dla sportu, dla gimnastyki swej przenikliwości i sprytu, przyczem nie krzywdzę nikogo, co najwyżej ośmieszę.

Przyznam, że niema takiego człowieka, któ-

regobym nie zdołał oszukać; wszyscy są mojemi ofiarami, gdy zechcę...

— I ja także? — szepnęła z uśmiechem Roma.

— Także... A ów flakon odurzający? Ale wtedy cię pożądałem jedynie, nie kochałem. Ot! znów różnica między mną a nimi. Oni oszukują także kochanych...

Mnie też żadne prawo nigdy nie sięgnie, choćbym je przekraczał, ile razy zechcę. Ja każde prawo przechytrzę; przecież pisali je ludzie mniej przenikliwi ode mnie! Otóż widzisz, jestem mocniejszy nad całe me ludzkie otoczenie, bo ono potrzebuje skomplikowanego aparatu dla regulowania współżycia, podczas gdy ja całą regułę noszę w sobie i każdy mój czyn z niej wynika.

Romę olśniła moc, idąca z postaci Utana. Skrzywiona tajemniczym grymasem twarz jego dodawała grozy. Toż moc tę jednego człowieka można użyć na rzecz ludzkości! O! jakżeby dumną była, gdyby jej umiłowany był tym wielkim, potężnym, hojnym...

— Toż mógłbyś być wodzem ludzkości! uszczęśliwić miljony!

— Nie! uszczęśliwienia możność kryje się wewnątrz tych, którzy mają w szczęściu brać udział. Nikt nie może nigdy nikogo uszczęśliwić, a jedynie może podać rękę.

— Mnie uszczęśliwiłeś! — zawołała z przekonaniem.

— Romo! spójrz mi w oczy.

Spojrzała; lecz po krótkiej chwili oczy spuściła i przytuliła twarz do jego piersi.

— Widzisz, Romo, oczy twoje same ci odpowiedziały. One odrazu posłały falę do tych komórek mózgowych, które ci przypomniały te wszystkie rozmyślania w samotności, pełne sprzeczności, pełne radosnych uniesień i zwątpień równocześnie. Przecież i dziś jeszcze nie pozbyłaś się ciężkich obaw. Szczęście twe obecne, to jedynie upojenie ciała i duszy i posunięte do ostateczności życiowe napięcie; ale to nie jest szczęście, to raczej droga do niego lub droga do upadku.

Słowa te miedzianem echem brzęknęły w przestrzeni, a Roma trwożnie przytuliła się do Utana, jakby szukając w nim ratunku.

— Ja ci szczęścia dać nie mogę — kończył Utan, ale ty możesz je wziąć ze mnie, jak ja z ciebie wziąłem.

Spojrzała mu w oczy radośnie:

— Jesteś szczęśliwy?

— Jestem szczęśliwy i chcę, abyś i ty ujęła szczęście w swe ręce... Niełatwo ci zdobyć szczęście... jesteś tylko — człowiekiem.

Roma zgłębiała się myślą w historję Utana. Z pochodzeniem jego zdołała się już oswoić; bywało jednak, że niezwykłość jej obecnego życia z połączeniem perspektywy na przyszłość przyprawiała ją o dziwny, choć przyjazny niepokój. Czuła wewnętrzną i życiową potrzebę zgłębienia istoty rozwoju i życia Utana, to też łakomie słuchała opowiadań jego o wczesnej i późniejszej młodości. Analizowała szczegóły słyszane, zestawiała je i starała się stworzyć w swej wyobraźni całokształt wartości uwielbianego, a jednak krytycznie obserwowanego mężczyzny.

Utan, przeczytawszy kilka jeszcze mniej istotnych dokumentów profesora Nico, odtąd całemi godzinami opowiadał Romie przeżycia swej młodości. Niebawem też widziała wyraźnie sylwetę duchową niezwykłego chłopca, podrastającego pod okiem profesora Nico.

Pierwsze nauki pobierał Utan u domowego nauczyciela. Zrazu był dość znacznie zacofany; snać rozwój jego umysłu dokonywał się odmiennem tempem, niż to się dzieje u przeciętnych naszych chłopców. Z 12-ym rokiem życia

jednak uległ Utan tak niezwykłemu przeobrażeniu, że zdolnościami olśniewał całe swe otoczenie. Wtedy profesor Nico uznał za wskazane, by jego pupil wychowywał się odtąd w gromadzie współuczniów dla zaznania życia koleżeńskiego. Oddał go więc do szkół w opiekę swego przyjaciela, nauczyciela matematyki, którego wtajemniczył we wszystko, co dotyczyło Utana.

Dzięki opiece matematyka uchroniony był Utan od wielu przykrości ze strony nauczycieli i współuczniów. Koledzy z ławy szkolnej nie wiedzieli o małpiem pochodzeniu Utana; jednak podświadomie wyczuwali obcość jego i niezwykłość. To też naogół zrazu nie był lubiany, do czego przyczyniała się także jego brzydota, podkreślona niespotykanem owłosieniem; gdy nadarzyła się sposobność, nie darowano mu żadnej śmiesznostki; przypinano łatki, gdzie tylko było można, a czyninoo to na dystans, z pewnym jednak respektem.

Wielu zaletami jednak Utan imponował szkolnym chłopakom. Umiał być cierpliwy; umiał odczekać, aż wszyscy odczują jego wyższość, w którą sam nie wątpił.

Niezwykła zręczność fizyczna zjednywała mu przyjaciół; w gimnastyce nikt mu nie dorównywał, a jeśli stopień w świadectwie nie był celujący, to tylko dlatego, że zwinny uczeń

nie umiał nigdy poprzestać na zadanym ruchu, zwrocie lub karkołomnym skoku, ale wykonywał to potrójnie lub więcej ku irytacji nauczyciela.

Mówiono: „skacze jak małpa, drapie się po drągu jak małpa, wywija kozły jak małpa".

Gdy zaś razu pewnego podczas wspólnej kąpieli nad brzegiem jeziora któryś z uczniów siedzącego Utana znienacka pochwycił za nogi i począł go wlec po ostrym żwirze, ten, mimo skrępowane w powietrzu nogi, odrzuciwszy się rękoma od ziemi, wykonał tak zręczną woltę w powietrzu, iż w mgnieniu oka znalazł się na grzbiecie swawolnego przeciwnika i jął go okładać kułakami, a targać za uszy. Zabawną tę scenę ujrzawszy chłopaki, podnieśli wrzask i śmiech; zwłaszcza, gdy spostrzegli do krwi starty o piasek, zaczerwieniony pośladek Utana, siedzącego na karku bitego kolegi. Ktoś wrzasknął: mandryl! mandryl! Od tej chwili nazwa ta przylgnęła na zawsze do Utana; już też inaczej go nie nazywano, jeno „mandryl".

Pierwotna solidarność kolegów, skierowana przeciw „mandrylowi", rozluźniała się stopniowo. Chłopcy potrzebowali go na każdym kroku. Z iluż to opresyj Utan wyratował kolegów poleczas lekcji, podpowiadając z niezwykłą zręcznością, lub w pomysłowy sposób unie-

szkodliwiając czujność i uwagę belfra. Zwolna zaskarbiał sobie „mandryl“ wdzięczność kolegów i podziw. Sam nigdy nie korzystając z usług, wszystkim służył na zawołanie z własnej inicjatywy. Nie znosił tylko, gdy go o te usługi proszono. To też dyskretne szukanie jego względów stało się wreszcie powszechnem.

Dzięki niezwykłym zdolnościom, a nadewszystko fenomenalnej pamięci uczył się „mandryl“ bardzo mało; posiadał zaś taką bystrość umysłu, że gdy był już w wyższych klasach, profesorowie udzielali nauki z największą ostrożnością i lękiem; bo który z profesorów był powolniejszego umysłu, ten musiał wysłuchiwać, jak niesforny „mandryl“ rozpoczęte przez niego zdanie wykładu z reguły kończył, nim on to zdołał uczynić; bywało też, że dowcipny uczeń nauczyciela poprawiał, lub tak przekręcał jego słowa, albo je dopełniał, że wywoływał tem wybuch śmiechu całej klasy. Gdy razu pewnego zniecierpliwił Utan w ten sposób wykładającego fizyka, ten, chcąc ucznia ukarać kompromitacją, kazał mu zająć swe miejsce na katedrze i wykładać, sam zaś usiadł w ławce uczniowskiej, choć udało mu się to z trudem tylko z racji rozmiarów jego brzucha. Wtedy „mandryl“ bez namysłu wykonał zlecenie.

Powszechnie uznano, że wykład Utana lepiej

rozświetlił temat w głowach słuchaczy, niż wykład profesora. Odtąd stał się Utan prawą ręką starego fizyka.

Tak oto opowiadał Stroptop wybranej serca dzieje swej młodości, a z słów jego biła szczerość i prawda. Roma wchłaniała w siebie łakomie wszystkie, nawet najdrobniejsze szczegóły opowiadania, a niekiedy rozweselała się i cieszyła, jak dziecko, słyszaną bajką, którą rade słyszeć po kilka razy. Rozbawiła się na dobre historją następującą:

— Pewien mój kolega — prawił Utan — z klasy czwartej, pasjonowany mechanik, zaniedbujący nauki wskutek ciągłego konstruowania aparatów odbiorczych radja, uskarżał się przede mną, iż radby pozakładał radja wielu przyjaciołom, lecz nie ma na to środków. Rodzice jego już nie żyli, a wychowywał go wuj, proboszcz odległej parafji na dalekiej prowincji. Do wuja tego jeździł tylko na wakacje, a otrzymywał pieniędzy niewiele ze względów wychowawczych.

Proboszcz miał ulubionego swego pieska, którego zwał „Bully"; poza nim, prócz codziennych swych obowiązków, świata nie widział. Jedynem zmartwieniem księdza była ta niedostateczność pieska, że nie można było się z nim dogadać, bo mówić nie umiał.

Poddałem koledze myśl, aby napisał do

wuja, że pojawił się w naszem mieście psi pedagog, który za niewielkiem wynagrodzeniem pod gwarancją uczy psy ludzkiej mowy. Niech ksiądz pieska przyśle wraz z pieniądzmi, potrzebnemi na jego edukację; pieniądze te wystarczą na zakładanie radja. Myśl ta spodobała się koledze. Zrazu propozycji przysłania pieska nie uczynił, a jeno opisał wujowi owego nauczyciela i mówiące psy, „z któremi przecież sam rozmawiał".

Zainteresowanie księdza rosło; miłość do „Bully'ego" zmogła wszelkie wątpliwości. Kolega mój, wróciwszy od księdza, gdzie spędził kilka dni świątecznych, przywiózł psa, a miał przytem minę triumfatora, bo i w pieniądze na edukację pieska był zaopatrzony.

Bully, uwiązany na sznurku w podwórzu kamienicy, uleżeć nie mógł spokojnie w swej skrzynce, skomlał i wył w dzień i w noc, mały zaś mechanik, majstrując nad aparatem radja, z ukontentowaniem dogadywał: „ot! Bully uczy się mówić; będzie rad z niego wujaszek".

Ksiądz słał list za listem, dopytując się o postępy pieska, a mój koleżka wyliczał w listach wyrazy, które Bully już był sobie przyswoił. Proboszcz był oczarowany i przysyła pieniądze, byle tylko nauka pieska postępowała raźniej.

Wreszcie wynikła z tego niemała awantura.

Mały mechanik wyłudzał pieniądze od wuja, Bully skomlał na podwórzu, a kilku kolegów pyszniło się aparatami radja.

Gdy jednak czas nauki pieska zbytnio się przedłużał, zaniepokojony ksiądz wreszcie zjechał do miasta. Na nic przydały się tłomaczenia i wykręty siostrzeńca, na nic zwalanie całej winy na tępość umysłową Bully'ego i krótką jego pamięć. Proboszcz poczuł się oszukanym, a co gorsza — ośmieszonym przez swego wychowanka... Jakoś niedobrze skończyła się cała afera, ale chłopak zdążył pozakładać siedem aparatów radja wraz z antenami i wszelkiemi połączeniami, a ksiądz srodze nadąsany uwolnił Bully'ego ze sznurka i zabrał nieuka na plebanję.

Roma cieszyła się tem opowiadaniem jak dziecko, a usłyszała podobnych anegdot więcej; miała wrażenie, że czytuje od pewnego czasu wesołe książki, żywo ją obchodzące. Przeżywała szczerze i radośnie te opowiadania.

— Iście małpie figle trzymały się mnie nieustannie — prawił Utan, zachęcony humorem Romy; — jednak w naukach postępowałem dobrze i wcześnie skończyłem szkoły średnie, poczem rozpocząłem studja uniwersyteckie.

Nauka wydawała mi się igraszką; nie pamiętam, abym kiedykolwiek walczył z trudno-

ściami, to też studjowałem równocześnie prawo, filozofję, logikę, matymatykę. Niemniej interesowała mnie przyroda, ale te studja były dorywcze. Sztuki piękne pociągały mnie bardzo od wczesnej młodości, jedynie nie czułem i nie czuję muzyki i śpiewu. Natomiast teatr jest moją pasją i czuję, że gdybym osobiście poświęcił się tej sztuce, zdołałbym ze sceny wykrzesać wiele dotąd nieznanych iskier, odsłaniając publiczności cały nowy świat złudzeń, czarowny smęt i krzywy grymas życia...

Tak, tak! — westchnął po chwili Utan — wy nie wiecie jeszcze, gdzie należy szukać rzeczywistość życia...

— — — Roma, wlepiwszy oczy w Utana, siedziała zasłuchana w jego opowiadanie, przerywane od czasu do czasu osobliwemi sentencjami; aż w pewnej chwili milczenia zagadnęła nagle:

— Powiedz mi też, jak ustosunkowałeś się do kobiet w swej młodości? Jakie były później twe przeżycia miłosne?

— Kobieta zawsze wypełniała ośm dziesiątych mego życia, mych pragnień, marzeń, aspiracyj. Kobieta i teatr, to moje dwie namiętności.

— Teatr? aż tak?

— To bardzo proste: kobieta i teatr w swej istocie bardzo pokrewne: odwrotność rzeczy-

wistości. Mówię tu o rzeczywistości w pojęciu przeciętnego naganiacza cieląt życia codziennego. Odwrotność jej, to właśnie rzeczywistość moja, a jej wyrazem pełnym — kobieta, cząstkowym — teatr. Pełnią nie można żyć ustawicznie; potrzeba nieraz także cząstkowego życia.

— Powiedz mi coś o kobiecie w najwcześniejszej twej młodości chłopięcej — nalegała Roma pieszczotliwie.

— Już jako dziecko tęskniłem do kobiety. Nie zaznawszy nigdy ciepła matczynego (pierwszych miesięcy życia nie mogłem pamiętać), tęskniłem do opieki kobiety, jej miękkiej ręki, jej przyjaznego uśmiechu. Zrazu lgnąłem całem sercem do niani; nieco później ona mi już nie wystarczała, choć malcem jeszcze byłem niedołężnym. Nie mogłem zrozumieć jej strofowania lub klapsa za to, że jej się sprzeciwiałem z figli; chciałem ciągle bawić się, drażnić. Nigdy mi to nie przyszło do głowy w stosunku do profesora Nico, czy wychowawcy - matematyka lub jakiegokolwiek mężczyzny nawet rówieśnika. Nie lubiłem bawić się z chłopcami, natomiast zawsze tęskniłem do małych dziewczynek; sposobności zaś do zabawy z niemi miałem zrazu mało. Dopiero gdy oddano mnie do wstępnej szkoły koedukacyjnej, rozkosz sprawiała mi sama świado-

mość koleżeństwa dziewcząt. Snać wychowawcy moi zauważyli nadmiar afektacji ku płci pięknej u chłopca dziewięcioletniego; dość że posłano mnie do gimnazjum męskiego. Sądzę, że był to błąd, bo wtedy dopiero odczułem w pełni pustkę i twardość współżycia z kolegami, a brak dziewcząt, które były wdziękiem nauki i zabawy.

Nadewszystko brakowało mi zabaw lalkami od czasu przerzucenia mnie do szkoły męskiej. Tęsknotą do lalek gnany biegłem często do parku, gdzie liczne dzieci płci obojga bawiły się w piasku i na murawie. Szukałem zawsze dziewczynek z lalkami.

Gdy razu pewnego zaproponowałem napotkanej, obcej dziewczynce, aby pobawiła się ze mną, użyczywszy swej wielkiej lali, ona, zazdrośnie lalkę przycisnęła do siebie, jęła uciekać. To mnie rozgniewało; dopadłem i wyrwałem lalę, a dziewczynka jęła krzyczeć i płakać. Ktoś chwycił mnie za kołnierz i obił; lalę upuściłem na ziemię i zbiłem. Obcy pan zaprowadził mnie za uszy do profesora matematyki, którego pieczy byłem wówczas oddany i tam dowiedziałem się ku mej rozpaczy, że zamierzałem lalkę ukraść; a że to się nie udało, więc stłukłem ją umyślnie.

Po długich indagacjach i strofowaniach zamknął mnie nauczyciel matematyki w komórce

obok swego gabinetu. Obcy pan, który mnie był przyprowadził za uszy, rozmawiał jeszcze dość długo z profesorem. Gdy uspokoiłem się nieco, połykając jeszcze łzy, a czując skurcz w gardle, z natężeniem jąłem podsłuchiwać rozmowy w gabinecie; lękałem się bowiem, że teraz wspólnie uradzą nad dalszemi plagami, które należy do mnie stosować. Myliłem się jednak; mówiono wprawdzie o mnie, ale nie o zamierzonych plagach. Wtedy to dowiedziałem się o sobie nowości, na które dotąd nigdy nie zwróciłem uwagi. Usłyszałem, iż jestem na całem ciele obrosły, na twarzy niezwykle brzydki, że właściwie jestem małpą, że należy mnie strzec, bo niewiadomo, co mogę zbroić każdej chwili.

Od tego czasu jąłem się zastanawiać nad sobą, i wtedy dopiero poczułem, że wśród tego otoczenia jestem czemś obcem, czemś, czego miejsce jest całkiem gdzieindziej: tak! dokuczliwy kolec w żywem ciele!... Jąłem pytać się siebie: czemu tu się znalazłem?

Był to okres pierwszego mojego przygnębienia i niewiadomego smutku. Ustawicznie czegoś szukałem, za czemś się oglądałem. Miałem wrażenie, że niebawem otworzą się przede mną niewidzialne wrota, a w nich ukaże się postać — ojca, czy matki — niewiadomo! dość postać istoty, do której należę, a która mnie

zabierze z obcego otoczenia i wprowadzi do swoich, do tych nieznanych, za którymi tęskniłem.

Tymczasem jednak musiałem żyć jeszcze w tym świecie, w którym znalazłem się niewiadomo jak, i niewiadomo czemu. Ludzi się lękałem, starając się zrozumieć czego mi zakazują. Dziewczynek unikałem z panicznym lękiem, do lalek tęskniłem, ale uważałem je za zakazane. Wśród tego smutku i przygnębienia dręczyła mnie nieustannie myśl o mojem owłosieniu na całem ciele; nie zaznałem spokoju, aż pewnego wieczora podpatrzyłem przez dziurkę od klucza mojego wychowawcę-matematyka, który w swej łazience mył się do pasa. Wtedy to pocieszyłem się wielce, stwierdziwszy zdecydowane owłosienie profesora na piersi i rękach poniżej łokci...

Wśród takich obaw i udręk zeszły dwa czy trzy lata; zajście z dziewczynką w parku nieco już przybladło w pamięci, a groza następstw przedstawiała mi się mniej straszną, niż dawniej. Jednak chęci oglądania nagich ciał nie mogłem w sobie zwalczyć. Wreszcie doszedłem do przekonania, że wśród moich rówieśników ja jedynie byłem dość silnie owłosiony na całem ciele; pełen upokorzenia jąłem wyrywać sobie poszczególne włoski; czyniłem to bardzo często, choć z bólu łzy mi stawały

w oczach. Po niejakim czasie wydawało mi się, że włos ze mnie schodzi pomału, to też coraz mniej chowałem się przed kolegami podczas kąpieli w jeziorze. Troska z racji mojego owłosienia nie opuszczała mnie jednak bardzo długo. Na ludzi począłem patrzeć nowem okiem; dzieliłem ich na ludzi, którzy są bardziej ludźmi i na ludzi, którzy są bardziej małpami — zależnie od owłosienia. Co do mnie, to obawiałem się, iż przynależę do kategorji drugiej, choć pocieszałem się, że i taki człowiek może być profesorem matematyki.

Pieszczotliwie odezwała się Roma:

— Mój ty mały biedaku! dokuczali ci! już wtedy tyle miałeś zmartwień! O! jakoś trochę wygładziło się twe ciało, prawda? Poczekaj, kupię ci laleczkę, taką śliczną, przystrojoną lalę... ale nie stłuczesz jej? Pamiętaj! bo cię zamknę do ciemnej komórki! A teraz powiedz mi coś wreszcie o swojej pierwszej miłostce.

— Miłostce? A czy ja wiem, czy to pierwsze to była tylko miłostka?

Utan w zamyśleniu uśmiechał się łagodnie.

— Opowiedz! opowiedz! — nalegała Roma.

— Było to w owym okresie mojego smutku; powiedzmy raczej: pod koniec tego okresu. Mój profesor-matematyk wyręczał się mną często przy załatwianiu spraw domowych; po-

prostu byłem wtedy chłopcem od posyłek pani profesorowej.

Razu pewnego posłano mnie do ogrodnika, który przyjaźnił się z profesorem, a mieszkał dość daleko za miastem; miałem przynieść od niego sałaty na przyjęcie gości tego wieczoru. Gdy wracałem z koszykiem sałaty i mijałem przydrożny lasek, ujrzałem siedzącą w cieniu drzew pannę, ładnie ubraną, śpiewającą wesoło i wierzgającą nóżkami po puszystym mchu. Skinęła na mnie; przystanąłem. Przywołała; podszedłem nieśmiało. Gorąco było; panna miała rozpiętą suknię na piersi i obnażone, śliczne, gładkie, białe ramiona. Patrzałem na nią onieśmielony, ale oczu oderwać nie mogłem od tego cudownego zjawiska.

Skinęła; gdy przybliżyłem się, pociągnęła ku sobie. Trzymając kurczowo koszyk z sałatą, przyklęknąłem niezdarnie i poddałem posłusznie twarz jej gwałtownym pocałunkom. Po chwili coś do mnie zagadała, coś jej odpowiedziałem, a ona wtedy objęła mnie rękoma i poczęła gryźć po policzkach i w wargi.

Nagle wypuściła mnie z objęć i zerwała się, przyczem przewróciła koszyk i rozsypała sałatę. Począłem zbierać świeże listki i układać w koszyku. W tej chwili wydało mi się, że panna chce odejść i żal mnie chwycił taki, iż odeszła mnie wszelka nieśmiałość, chwyciłem

ją za obie ręce, które jąłem całować bezładnie, to znów ustami wodzić po stopach dziewczyny, a prosić, by nie odchodziła. Wtedy pochyliła się ku mnie i do mej twarzy przycisnęła ciepłą, obnażoną pierś; uścisnąłem kibić panny; poczułem jej gwałtowne drżenie; zawirowało mi w głowie; jąłem przyciskać policzek do tej białej piersi, a panna głaskała mnie po twarzy i pytała, czy chcę z nią pójść w głąb lasku...

Poszliśmy.

— — — Wróciłem do domu wpółprzytomny o zmroku. Na wstępie z furją rzuciła się na mnie profesorowa, wołając sałaty.

Nie mogłem pojąć, o co chodzi gospodyni; wreszcie zrozumiałem, przypomniałem sobie: przecież miałem przynieść od ogrodnika sałatę. Co się stało z sałatą?... Kto może wiedzieć? chyba panna w lesie, ona jedna wiedzieć może, co się stało z sałatą...

Nieprzyjemne miałem przejście z profesorem gwoli owej sałaty, a najgorsze było to, że w żaden sposób nie umiałem wytłomaczyć, co się stało z sałatą; jąłem wreszcie kłamać; ze zmęczenia przysiadłem sobie i usnąłem; przyszła krowa i zjadła sałatę i koszyk także...

Wtedy usłyszałem zły głos profesorowej z poza drzwi kuchennych:

— Aha! krowa zjadła, a nie była to czasem świnia?

Zarumieniłem się po uszy.

— — — Jakkolwiek przekonałem się, że panna w lesie gładka była, to jednak przestałem się już martwić mojem owłosieniem. Przecież i tak spodobałem się, a może właśnie dlatego? — a czy ja wiem...

— To była pierwsza twoja miłość? — spytała Roma dziwnym głosem, przysuwając się do Utana. — Czy bardzo byłeś szczęśliwy?

— Drżałem ze szczęścia na samą myśl o przeżytej rozkoszy.

— Powiedz mi coś więcej o tej pannie... Ładna była?

— Wiem, że wtedy podobała mi się tak, iż na myśl o niej traciłem równowagę i spokój. Dziś jej nawet określić nie umiem; pamiętam tylko: była bardzo gwałtowna.

— Kto to był?

— O to nigdy nie pytałem i nie wiem.

— Czy widywaliście się później często? Kochaliście się długo?

— Nie. Ja tylko stękniony do „panny" (jak ją nazywałem w myśli), całowałem wstążeczkę, którą dała mi na pamiątkę i w wolnych chwilach szukałem „panny" w lasku, jakoby tam mieszkała. Nie przyszła już nigdy. Po dłuższym czasie raz jeden tylko spotkałem ją na ulicy, ładnie ubraną, idącą w wytwornem towarzystwie. Pod ramię trzymał ją elegancki

pan. Dość liczne to towarzystwo rozmawiało głośno i śmiało się swobodnie.

Przystanąłem oniemiały i patrzałem w moją „pannę“ tak, iż wszyscy to spostrzegli. Zauważyła mnie i ona; poznała i lekko zachmurzyła się i zmieszała. Błyskawice rozpaczliwych myśli przeleciały w mym mózgu. Spojrzałem na jej wytwornego towarzysza: tak! tak! był gładki na twarzy, pewnie ogolony... O! gdybym był mógł go ujrzeć w tej chwili rozebranego, nagiego — wiedziałbym... Ale tego nie dowiedziałem się nigdy, czy rzuciła mnie i poszła w ręce tamtego z winy mego owłosienia.

Jeden z obecnych panów przystąpił do mnie i wbrew perswazjom „panny z lasku“ zagadnął:

— Ktoś ty, chłopcze?

W tej chwili odwaga we mnie wstąpiła, byłem zdecydowany na wszystko, odparłem wzruszonym głosem:

— Pani wie, niech powie. A jeśli zapomniała...

Wyciągnąłem z kieszonki wstążeczkę i podałem „pannie“.

— Teraz pani wie? niech pani powie — i spojrzałem z pasją w jej oczy.

Były to te same oczy, te wycałowane przezemnie oczy, te usta, które mnie całowały, te

rączki, które mnie pieściły. Zamroczyło mnie. Ukłoniłem się pospiesznie i uciekłem.

Śmiech wytwornego towarzystwa posypał się za mną, niby rozsypana srebrna moneta.

Uciekłem, a ona? ona pewnie nakłamała to i owo o mnie... Od tego spotkania nie widziałem już nigdy „mojej panny“.

— Nigdy jej już nie widziałeś?

— Nie.

— No, no... mów dalej... A później, czy bardzo byłeś łasy na dziewczynki?

Utan skrzywił się:

— O jakże jesteś brutalna, Romo... Jakże można tak pytać, po tem, co ci opowiedziałem?

— Nic w tem brutalnego — uspokajała Roma — chyba, że „pannę z lasku“ jeszcze kochasz?

— Żebyś wiedziała, że wspomnienie o niej i dzisiaj nie jest mi obojętne.

Za to ucałowała Utana serdecznie ku jego niemałemu zdziwieniu.

Roma nalegała, by opowiadał o dalszych swych miłostkach.

— Na dziewczynki zawsze byłem łasy — ciągnął Utan. — Jednak o tamtej zapomnieć nie mogłem. Trzymając kobietę w ramionach, zawsze w wyobraźni widziałem tę moją „pannę z lasku“, choć z biegiem lat jej piękność przeo-

brażała się we mnie i zmieniała, coraz pełniejsza, coraz bardziej kwitnąca, tak, iż obraz pierwotny przysłoniony urokiem czarownego cienia lasku pierwszej miłości.

Wszystkie inne miłosne przeżycia, to tylko furja młodego życia, żądza wrażeń, chęć nasycenia łakomej natury.

Anegdoty i domysły ludzi na temat mej osoby w niezwykły sposób ułatwiały mi nawiązywanie romansów.

Kobiety szukały mnie; nie pozostawałem im dłużny. Te moje lalki, które mi odbierano, gdy byłem dzieckiem, ożyły, urosły i dopominały się swych praw; a wtedy już żaden pedagog nie mógł mi bronić moich lalek i nikt nie miał prawa za uszy mnie prowadzić do nauczyciela, gdy lalkę stłukłem... to już moja rzecz i jej... ona tego chciała.

— Tłukłeś lalki, tłukłeś!... ty krzywdzicielu!

— Nie sądzę, one tego chciały... Przecież wy zawsze chcecie krzywdy, jeno nie tej największej, aby was w krzywdzie nie pominięto.

— Ej, ty nieodrodny mężczyzno!

Chwila uśmiechniętego milczenia, poczem zagadnęła znów Roma:

— Nie zakochałeś się w żadnej poza „panną z lasku“?

— Nie. W sercu kochałem tę pierwszą, która

mnie zapomniała. Kochałem ją do niedawna nawet, może do chwili, aż ciebie ujrzałem.

— I już jej nie kochasz?

— Już tylko ciebie...

Roma przymrużyła powieki i spojrzała mu w oczy wnikliwie:

— Ją kochasz we mnie...

— Już tylko ciebie — powtórzył z ciepłem.

Gorące zamienili pocałunki.

Długie wieczory oboje spędzali na rozpatrywaniu minionego życia Utana. Roma znała już wszystkie niemal szczegóły jego przeszłości; zestawiała, porównywała, rozważała. Wszystko zgadzało się, wszystko się trzymało całości i wzajem dopełniało. Przed Romą ukazała się duchowa sylweta indywiduum-olbrzyma. Który z mężczyzn zdolen mu dorównać? Jeżeli Utan nie stwarza t. zw. wielkich dokonań, to dlatego, że nie chce; a ma ku temu poważne powody... Tak! bezwątpienia...

Uwielbienie Romy dla Utana było wielkie; a jednak w duszy uśmiechała się do siebie i powtarzała: „kobiety nikt nie przechytrzy, nawet Utan".

Miała słuszność. Stroptop był przekonany, że historja jego życia jest zamkniętą księgą, którą on dopiero Romie otworzył; że odtąd część drugą wspólnem życiem księgę zapisywać będą. Ani domyślał się, że zanim księgę Romie tworzył, ona bez jego wiedzy tę i ową kartę przerzuciła, tu i ówdzie znaczek swój położyła na marginesie.

To też Roma inaczej czytała tę księgę, aniżeli mniemał Utan.

Yachtem własnym płynęli po morzu, porzuciwszy dom na kilka miesięcy.

Zwiedzali nadbrzeżne porty i miasta, to znów łodzią dobijali do brzegów zgoła odludnych i dzikich lądów. Tam czuł się Utan najszczęśliwszy.

Roma przywiązała się bezgranicznie do męża, który czułością i troskliwością największą otoczył ją od chwili, gdy w łonie poczuła dziecię jego. Już też nic nie mąciło ich szczęścia, kołysanego falą oceanu lub poszumem przepastnych lasów.

W świadomości obojga życie wśród ludzi nie przygasało ani na chwilę; przeciwnie siłą kontrastu, na tle bezbrzeżnego, pełnego obszaru natury, wśród szmeru ciągłości wieków codzienność człowieka nabierała akcentu i wyrazu. To też w rozmowach swych wracali ustawicznie do chwil, spędzonych wśród świata ludzi, a nęciła ich nadewszystko odległość czasu.

Wspomnienia młodości, która ostatecznie zlała ich drogi życia i uczyniła drogę wspólną!... Jakże to się stało? jakie siły przeznaczenia kierowały losem obojga?

Tak! Roma winna odsłonić Utanowi własne życie od wczesnej młodości. Cóż mu opowiedzieć może z lat dziecięcych? Co miała z nim wspólnego? Kochała lalki! o jak ona lalki kochała! czemu nie przyszedł do niej? byłaby mu użyczyła swych lalek, bawiliby się wspólnie.

— Utanie, czemuś nie przyszedł po moje lalki? Tak! nie było ciebie jeszcze. Lalkami przestałam się już bawić; dorastałam.

Miałam tylko niedźwiadka ślicznego, rozumnego w oczach misia z ponsową kokardą u szyi; kudłaty był, cały obrośnięty, miękki w dotknięciu i nosił na karku wypukłość.

Z misiem mym chadzałam na spacery, by nie tęsknił sam w domu.

Razu pewnego pies sąsiada poszarpał misia i wypruł zeń połowę trocin. Popłakałam się. Dobry choć głupi znajomy student obiecał mi naprawić misia; zabrał, ale obietnicy nie dotrzymał; powiedział, że miś rozleciał się cały, że tedy może mi wręczyć tylko wstążkę z jego szyi. Student był zazdrosny o misia; podkochiwał się we mnie; sądził, że wręczenie mi ponsowej wstążeczki było bardzo zgrabną manifestacją jego uczuć.

Wyśmiałam go rozgniewana, zwymyślałam, że niedołęgów nie lubię, a wstążeczkę schowam, jako pamiątkę po moim misiu.

Po niejakim czasie obijało się ustawicznie o moje uszy, że do miejscowego gimnazjum uczęszcza uczeń, który zwraca na siebie powszechną uwagę i jest bardzo podobny do mojego misia. Wreszcie pokazano mi go na ulicy.

Rzeczywiście! żywy miś! kudłaty brzydal, a w swej brzydocie taki pociągający! Chłopaczek biegał zwinny jak kot, psotny jak małpka, figlarny, wesoły... Spotykałam go często; zaprzątał moją uwagę do tego stopnia, że na starszych chłopców nie patrzałam nawet, bo wszyscy wydali mi się niedołęgami w porównaniu z tym urwiszem, który napewno byłby sporządził mojego misia. Uroiłam sobie, że ożył mój niedźwiadek kudłaty i że „on jest mój“.

Jakże go tu jednak przychwycić? jak przyciągnąć? Raz zagadnęłam go — ledwie odpowiedział; innym razem umyślnie upuściłam torebkę, przyskoczył, podniósł. Nie zdążyłam go pogłaskać na podziękowanie — pobiegł z chłopcami ulicą.

O gdybym była wiedziała, że taki kudłaty chłopczyk kocha lalki!

Głupia ta twoja dziewczynka z parku, zazdrosna o swą lalę! Ja byłabym z radością podała lalkę owemu kosmatemu chłopczykowi i bawiłabym się z nim jak najwięcej. Ale tamta

nic jeszcze nie wiedziała, niczego nie pragnęła, a ja wtedy liczyłam szesnastą wiosnę życia.

Śniłam raz o kudłatym chłopczyku, całował mnie, tulił do siebie, ściskał, a ja mu się poddawałam z obawy, by nie odszedł, by się nie zraził. Obudziłam się ze smakiem jego pocałunków, z czuciem jego dotyku, z dreszczem, którego dawniej nie znałam. Zrozumiałam: to miłość... Odtąd nie przestawałam myśleć o moim chłopczyku.

Pewnego dnia upatrzyłam sobie mojego brzydala, śpieszącego gdzieś z koszykiem. Szłam długo za nim w pewnem oddaleniu. Śpieszył za miasto; biegł zaś tak szybko, że niesposób go dogonić. Zdyszana przysiadłam w cieniu drzew — musiał przecież wracać tędy. Czekałam dość długo na murawie i tymczasem układałam starannie fałdy sukienki. We włosy zatknęłam kwiatek i odsłoniłam nieco ramiona. Wreszcie rzuciłam się na wznak, przymrużyłam oczy i zamyśliłam się. Widziałam zbliżającego się chłopczyka; z biciem serca czekałam.

W tejże chwili trzepotanie skrzydeł nade mną. Na wierzchołku drzewa siadła kukułka, ozwała się krótkiem ku-ku i zamilkła. Czekałam, policzyć muszę lata, kiedy wyjdę za mego kosmatego chłopczyka. Kukułka już wróży,

odliczam: raz, dwa, trzy, cztery... siedem... dziesięć... dwanaście.

Umilkła! dwanaście!

Wtedy lat dwanaście wydało mi się wiecznością. Posmutniałam. Siadłam i jęłam poprawiać sukienkę.

Nagle serce mi zabiło; drogą śpiesznie zbliżał się ku mnie mój chłopczyk, dźwigający koszyk...

— Pełen sałaty!! — dokończył radośnie Utan. — Prawda to?! Romo, czy to możliwe?!

— Prawda!

— Więc to ty? ty?

— To ja, Utanie! Ja, twoja „panna z lasku“ — ty mój kosmaty chłopczyk z sałatą, ty mój niedźwiadek, mój miś kudłaty...

— Nie zapomniałaś o mnie! Odnalazłaś! Czy przychodząc do mnie po tylu latach...

— Po dwunastu latach! — przerwała Roma — po dwunastu, jak wywróżyła kukułka...

— Po latach dwunastu! czy przychodząc do mnie, wiedziałaś, że to ja właśnie, twój chłopczyk kudłaty z lasku?

Odpowiedź Romy zginęła w potoku gwałtownych pocałunków Utana.

Gdy się Roma z uścisków wyzwoliła, pytał dalej Utan, który nie mógł ochłonąć z wrażenia:

— Więc to twój pocałunek był pierwszym w mojem życiu?

— Tobie pierwszemu oddałam się. Tobie, wówczas dziecku jeszcze!

Utan chwycił Romę za ręce, obracał na wsze strony i jął się jej przyglądać, jakby szukał dowodu na to, czy Roma jest rzeczywiście „panną z lasku“, pierwszą i jedyną jego miłością. Jakże to się stać mogło, że jednę kobietę pokochał dwa razy, nie wiedząc o tem?!

Spowiedź Romy i dalsze szczegóły jej życia wywarły na Utanie nie mniejsze wrażenie, aniżeli na niej historja jego młodości.

Umilkli oboje; nadmiar wrażeń zmuszał do milczenia, aby w obojgu osiadło w spokoju to, co miało ich złączyć na zawsze, oddzieliwszy się od błyskotliwości niezwykłego romansu. W uścisku szczęścia płynęli łodzią po przybrzeżnej fali i zwolna, wśród wieczornej ciszy pod lekkim podmuchem wiatru dobili do brzegu.

Utan ciekawie dopytywał się o dalsze losy straconej wówczas, a po latach dwunastu odzyskanej kobiety.

— Tak, najmilszy Utanie! — mówiła rzewnie Roma. — Dziwnie się to wszystko układało. Opowiem, ale wpierw popatrz: oto wstążeczka po moim misiu, którą wraz z pierwszym pocałunkiem dałam ci na pamiątkę.

Utan pochwycił wstążkę:

— Skąd ją masz?

— Przecież zwróciłeś mi ją, niedobry urwiszu! Sam opowiedziałeś... wtedy na ulicy... „Pani wie, a jeśli zapomniała, niech sobie przypomni“... Ty hardy, czupurny chłopaku!

— Racja! zwróciłem ci wstążkę. Rzeczywiście ta sama!

— Wpakowałeś mnie. Spłatałeś mi wtedy figla. Mój narzeczony, z którym szłam pod rękę... możesz sobie wyobrazić. Szczęściem miał rywala smarkacza, brzydala; więc zawstydził się po namyśle, uległ moim kpinom, a później już tylko dokuczać mi próbował tobą. Nie wiedział, że przyjemność mi robi wspominaniem o tobie; nie wiedział, że wstążeczkę chowałam jak relikwję.

Wydano mnie zamąż. Tak trzeba! taki jest ustrój społeczny... Panna musi być wydana zamąż...

Mąż mój był inżynierem. Nie zgadzaliśmy się i rozwód zakończył niesnaski. Odtąd żyłam swobodna, i gdyby nie żal za utraconym moim chłopczykiem z lasku, byłoby mi bardzo dobrze na świecie.

Zabawami i miłostkami próbowałam zapomnieć o mojej pierwszej miłości, która, w przeciwieństwie do wszystkich innych przeżyć, wydawała mi się zawsze jakiemś pierwotnem, czystem a gorącem zbliżeniem dwóch gałązek, które pod wpływem wiosennego wiatru nachyliły się ku sobie, albo dwóch ptasząt, co w radosnem przestworzu znalazły się, ucałowały i poleciały każde w swoją stronę. Tej czystości pocałunku, pieszczoty, oddania, nic nie zdoła zmącić w mej pamięci.

Jednak tłomaczyłam sobie, że powinnam zapomnieć o tobie. Wprawdzie byłam wolna, nic mnie nie powstrzymywało od odszukania ciebie, ucałowania i pozostania przy tobie na zawsze.

Jednak t. zw. rozsądek życiowy nie pozwolił mi zwrócić się do ciebie. Tłomaczyłam sobie, że to jakiś chorobliwy stan, by miłość pensjonarki do obcego smarkacza, odstraszająco brzydkiego, miała pozostawić ślad niezatarty

na całe życie. Przecież o kilka lat starszą byłam od ciebie, miałam powodzenie, byłam piękniejszą od moich rówieśniczek; jako mężatka, potem rozwódka również wyróżniałam się urodą i mawiano, że z dniem każdym piękniejszą się staję.

Otoczona byłam stale gromadą mężczyzn, a każdy z nich jeno czekał mego skinienia. Bawiłem się dowolnie i zawsze bardzo krótko.

Ostatnio zajął się mną bardzo przystojny brunet, imieniem Ryszard, ale było już za późno; już byłam na twoim tropie.

I Ryszard stał się twoją ofiarą, bo dla zmylenia ludzkich podejrzeń na temat moich istotnych pragnień i poszukiwań afiszowałam się z nim, tak, iż wszędzie o nas mówiono.

Krętemi drogami dowiedziałam się o osobliwym młodym mężczyźnie, a gdy stwierdziłam jego imię, nie wątpiłam już, że głośny Stroptop, to mój chłopczyk właśnie. Utan! tak, tam w lasku znałam cię tylko z imienia, które mi wyjawiłeś.

Dowiedziałam się wreszcie o miejscu twego zamieszkania. Z jedną walizką siadłam do kurjera i przyjechałam...

— Romo! — przerwał Utan — dlaczego tak późno zdradzasz mi to wszystko? Przecież zaraz pierwszego dnia, gdy zjawiłaś się w mym domu, winnaś była...

— O nie, Utanie! Dobrze sobie rozważyłam. Skąd mogłam wiedzieć, jak mnie przyjmiesz? Jaka pewność, że przypomnienie dawnego pocałunku, odległej, dawno już zgasłej iskierki miłości uczyni na tobie wrażenie? Przecież mogłeś mi się roześmiać w twarz.

— Zgoda, moja Romo. — Jednak kochamy się już pewien czas, a szczerość między nami panuje bezprzykładna, więc czemu dzisiaj dopiero...

— Bo upewniłam się teraz dopiero, że „panna z lasku" pozostała jedyną twoją miłością. Dobrze uczyniłam, prawda?

— Rozumiem cię, ale też podziwiam twą cierpliwość; zwykle kobiety zbyt wcześnie wygadają się.

— O, nie znasz nas, nigdy kobieta zbyt wcześnie się nie wypowie, gdy o nią chodzi.

— Chytre jesteście.

— Tu nawet ciebie przechytrzyłam, Utanie. Roma zaśmiała się szczerze.

Minął czas wielkich wynurzeń kochanków, bo też i minął czas, kiedy czuli się kochankami. On jej był mężem prawowitym, ona jemu żoną — tu nie było dla nich najmniejszej wątpliwości.

Zmiana ta nie pozostała bez wpływu na ich codzienne życie, a wzajemne obserwacje nie dotykały już podstaw życiowych, ale zwęziły się w obręcz szczegółów dnia codziennego. Szczególnie odkrycia Romy były jej ciągłemi niespodziankami, co jej przysparzało wiele dziecinnej radości; tak, iż niepożądane objawy w usposobieniu, nieodłączne od stanu ciąży, zaznaczały się w tak małym stopniu, że ledwie były odczuwane przez obojga.

Roma z miłością i dziecinnem zainteresowaniem śledziła wszystkie codzienne czynności Utana, a nadewszystko uderzały ją osobliwości niespostrzegane u przeciętnych ludzi. Do tych niezwykłych znamion należały polowania Utana na muchy.

Utan zadziwiał ją zręcznością; jednak nie zdradzała mu swego zaciekawienia, aby mu nie psuć zabawy. Próbowała go naśladować,

gdy była sama; jakże nie udawły się jej te próby!

Bo rzeczywiście, gdy człowiek nawet najostrożniej, przyczaiwszy się, zwolna wyciąga rękę, aby następnie nagłym ruchem chodzącą po stole muchę pochwycić, ta z reguły wczas uleci, a chwycić się nie da. Ba! jakby na urągowisko w tejże chwili siędzie na tem samem miejscu. Zgoła odmiennie poluje na muchy Utan: zoczywszy spacerującą muchę na stole lub szybie, obojętnym ruchem po nią sięga, ujmuje palcami, jakby chwycił rzecz martwą; mucha nigdy nie zdąży ulecieć przed jego palcami.

Spróbujcie tak polować na muchy i przypatrzcie się, jak na nie poluje małpa. Któż tedy obwini Romę o niezręczność?

Po licznych, nieudanych próbach polowania zniecierpliwiona Roma zagadnęła męża, który właśnie zabawiał się z całą flegmą łowieniem much:

— Jakże ty to zgrabnie robisz, Utasiu! Czemu ja nie mogę schwycić muchy; ty chwytasz każdą z największą powolnością, ze spokojem; naucz mnie.

Utan zawstydził się zrazu, jako że przychwycono go znów na właściwości małpiej.

— Daj spokój — odparł szczerze. — Raczej pilnuj mnie, abym poniechał tej zabawki, to

mam po matce. Nałogu tego wstydzę się, lecz się zapominam. Proszę, oducz mnie tego.

Jakkolwiek Utan wypierał się pewnych znamion i narowów małpich, to jednak wiedział dobrze, iż wstyd ten jest mimowolną koncesją na rzecz rasy ludzkiej i to uważał za pewnego rodzaju błąd w swej psychice. W teoretycznych swych dowodzeniach (w których był mistrzem) tem bardziej stawał w obronie małpich znamion, wyrażając jednak równocześnie całe uznanie dla właściwości ludzkich. Przyznawał, że człowiek bezsprzecznie góruje nad małpą. Jakże więc radowało się serce Romy, gdy widziała, że całem pragnieniem Utana jest, aby ich dziecko było pełnym człowiekiem, a zatraciło jak najwięcej małpich nawyknień.

Dalsze więc miesiące upływały obojgu na snuciu nadziei w zupełnej harmonji i na oczekiwaniu przyjścia na świat ich dziecka. Uszczęśliwionemi oczami patrzał Utan na macierzyńskie kształty swej połowicy, a ona radowała się w sercu, iż gotuje mu szczęście. Nic nie mąciło ich miłości; wszystko składało się na bezmiar słodyczy i ciszy życia.

Oboje byli szczęśliwi.

Zbliżał się dzień rozwiązania. Lekarze stwierdzali zgodnie prawidłowość ciąży; Roma jednak czuła się niezwykle słaba; niepokój ogarniał ją w miarę zbliżania się dnia krytycznego i tylko niewysłowiona czuła opieka Utana była jej osłodą gorzkich a dręczących przeczuć.

Roma lękała się swego dziecka, jak złowrogiego upiora.

Dziewiętnastego maja Roma powiła małpę. Poród odbyła niezwykle ciężki; podwójna operacja i dalsze zabiegi lekarskie wycieńczyły organizm matki.

Gdy pierwszy raz podano jej dziecko i jęła je karmić, zauważono, iż trząść się poczęła, a całe jej osłabione ciało uległo powtarzającym się raz wraz skurczom; Roma zemdlała. Kosmaty potworek, oderwany od piersi matczynej, jął drzeć się przejmującym skrzekiem i piskiem, wywijając spazmatycznie nieprawdopodobnie długiemi, a cieńkiemi, jak laseczki kończynami; odniesiono je, jak szczenię i porzucono w puchach wytwornej jego kołyski. Brzemię smutku spoczęło na pochylonem wciąż czole przygarbionego Utana. Syna oglądać nie chciał, a troskał się jeno o zagrożone życie żony.

Roma popadła w odrętwienie, a spazm płaczu (czy może niesamowitego śmiechu?) dławił raz wraz jej gardło, a wstrząsał zbolałemi piersiami; karmiła dziecko w stanie nieprzytomnym.

Gorączka chorej wzmagała się. Czarna roz-

pacz ogarniała Utana... bunt, bezsilna złość ukołysały się wreszcie w tępą, nieczułą beznadzieję.

W tych oto chwilach straszliwy był dla Utana płacz obmierzłego noworodka. To nie był płacz, to przedrzeźniający jego życie, jego miłość skrzek upiornego ptaka, czy syczenie gada... Porywał się wtedy Stroptop, chwytał za klamkę przyległego pokoju, w którym rozgościło się znienawidzone małpiątko; poczem cofał się z braku odwagi i czołem wodził beznadziejnie po chropawej ścianie, by znów wrócić zmiażdżony, bezsilny do swego fotelu, skąd patrzał w gasnące oblicze nieprzytomnej Romy.

Tak! małpie przekleństwo zawisło nieubłaganie nad jedynie ukochaną istotą, której oddał swe życie; a przekleństwa tego widomy, żywy znak, to ten maleńki potworek, taki potężny w swej bezsile, że przez życie swe ma wlec ponad życiem, ponad szczęściem Romy i Utana piętno duszy człowieczej w małpiem ciele — czy na odwrót...

Och! ten skrzeczący, ten piszczący głos, rwący się do życia, wołający piersi najcudniejszej kobiety, tych potwornie chudych, wydłużonych czworo rąk, chwytających w powietrzu smutnie snujące się promienie słońca... Te małe, czarne, głupowate, zbyt ciasno osadzone

oczki i obmierzły, niezmienny grymas ust... to straszne! to rozpaczliwe!...

Otrząsał się Utan na myśl o swojem dziecku; nie czuł krwi własnej w jego żyłach, jeno widział w niem odbicie własnej potworności.

Niech sobie! co tam! Wstrętna, nic nie znacząca kreaturka...

A jednak ona to przecież władnie przywraca porzucone zwierzęctwo, ona to w tej chwili niweczy resztki życia ubóstwianej kobiety.

Każde Romy bezwładne poruszenie ręki, każdy nieznaczny ruch głowy wlewał w znękaną pierś Utana strumień nadziei. Znieruchomiały siedział przed łożem umierającej i oka z jej przymkniętych powiek nie spuszczał, aż doczekał się — oczy Romy spojrzały na niego...

W tej chwili nie pragnął niczego, nie żądał od losu żadnego już promienia, żadnej ulgi... Oczy jej spojrzały na niego!... Czy usłyszy jeszcz jej głos? Czy zdoła mu jeszcze coś powiedzieć?...

Przemówiła ledwie słyszalnym szeptem:

— U-tan...

Cichym a mocnym skurczem uścisnęła drżącą dłoń męża i przymknęła oczy...

Przeraźliwie zakwiliło bezimienne ich dziecię...

Roma umarła.

Ciężkie przewalały się kłęby chmur po ponurem sklepieniu nieba. Wicher żałośnie świszczący wciskał się w uszy i nozdrza zdyszanego Utana. Wielkiemi kroki przemierzał ziemię wpatrzony czerwonemi oczami w czerń przestrzeni; gnał przed się, w prawej ręce trzymając obwisłego, od czasu do czasu długiemi kończynami wierzgającego stworka.

Ponury szum wiatru dodawał Utanowi siły w przemierzaniu dalekiej przestrzeni, dzielącej go od brzegu morza.

Szedł, szedł... a w pojęku wichru słyszał wyraźnie płacz Romy, a w kłębiących się chmurach czuł jej przykaz nieodwołalny...

Utan niósł dziecię swe na stracenie...

Wysoki, skalisty brzeg... Tam, opodal, z miałkiego wybrzeża sterczy głaz... Tam pójdzie...

Przechodzi w bród.

Szarpnie się gwałtownie wątłe ciałko potworka raz i wtóry, jakby w przeczuciu ojcowych zamierzeń...

Skrzek przeraźliwy idzie skroś poświstom wiatru... Rozpaczliwym skurczem dłoni ści-

śnie Utan swe dziecię, że cichnie już, a gdy znów jęknie, to w wodzie spławi, przypłócze, ostudzi... i znów śpieszy dalej w bród do upatrzonego złomu skały...

Wstąpił nań, spojrzał wokół, przetarł potem zlane czoło.

Utan zaśmiał się do chmur, do wiatru... dzikim śmiechem pozdrowił żywioł i szerokiem kołem zatoczywszy cisnął daleko od siebie rozkraczonego w powietrzu, jak bezsilna żaba, potworka.

Spojrzał... Wątłe ciało przekręciło się raz i wtóry w rozkołysanej fali morza i znikło...

Został jeno szum wiatru i miarowy, huczący ruch przewalających się fal, a nad głową, wysoko czarnego morza powtórzenia w skłębionych w swej ciężkości chmurach.

Wokół Utana bezbrzeżna, nieogarnięta samotność.

Akt oskarżenia...... Dzieciobójstwo! Ucieczka przed ręką sprawiedliwości, schronienie się w odległym, niedostępnym lesie, zamieszkanie tam na drzewie i żywienie się surowemi owocami i liśćmi... Chęć zatarcia wszelkich śladów... Corpus delicti: wyłowiony przez rybaka na brzegu morza trup noworodka.

Ekspertyza: ustalenie gwałtownej śmierci noworodka w nurtach morza. Psy wskazały ślad zbrodniarza... Ujęto go w lesie...

Oskarżony odmawia wyjaśnień.

Obrona stwierdza: wyłowione ciało, to zwłoki młodej małpy, nie zaś człowieka.

Oskarżyciel przyznaje podobieństwo, jednak przedkłada dowody urodzenia.

Obrona zwycięża. Kodeks nie przewiduje kary za zabójstwo małpy. Polowanie na zwierzęta z zachowaniem przepisów dozwolone; polowanie na małpy dozwolone...

Czas ochrony?

— — — Utan Stroptop został skazany na trzy gwineje kary za przekroczenie przepisów o ochronie zwierzyny...

DZIURA W PRÓŻNI

Hrabianka Wera wprowadziła młodziutką Ellen w krainę cielesnych rozkoszy.

Dziś Ellen liczy ośmnastą wiosnę życia, przestała już lękać się — a rumieniec, który krasił jej lico, nie był już rumieńcem wstydu, lecz pragnienia.

Do Wery żywiła Ellen wielkie zaufanie; nie potrzebowała bowiem obawiać się niewiadomych samotrzasków miłości, jako że jej mistrzyni, która przeżyła wszystko, co miłość, co rozkosz dać może, znała życie, przekonała doń Ellen, ostrzegła, pouczyła. Toż trzynaście lat różnicy wieku! Gdy Ellen dzieckiem była, Wera uczyła się życia, poznawała je do dna, zaskarbiając sobie całą o niem wiedzę, którą winna znać kobieta, chcąca żyć pełnią życia, a ustrzec się rozczarowań.

„Czerp rozkosz pełną dłonią, nie lękaj się żadnych pożądań, ale pozostań dziewicą. Tyle uroku życia, ile dziewictwa; tyle radości i pogody... Oddaj się całkowicie temu mężczyźnie dopiero, który będzie mógł dać ci resztę, a który nie nawróci do rozkoszy już przez ciebie zaznanych. Strzeż się miłości trwałej, tę zaś oddasz kiedyś temu, któremu powierzysz osta-

tecznie swe dojrzałe życie. Strzeż się wczesnego dojrzenia..."

Jakże przekonywały młodziutką Ellen te słowa hrabianki!

A teraz, po dwu latach rozkosznych szaleństw w objęciach Wery — jakże czuła się bezpieczną!...

Wiedziała Ellen, że jest najpiękniejszą dziewczyną w stolicy, że choć jej siostra Nelly nie ustępuje urodą, to brakiem... a zresztą oficjalna narzeczona nie jest już rywalką.

Wiedziała Ellen, że jest pożądaną, wielbioną przez mężczyzn; że jest objektem zazdrości u kobiet, bo jaśniała nie tylko pięknością i nieokiełznanym tupetem, ale i dostojeństwem papy i jego bogactwem. Wpływy ojczulka były przecież przemożne; któż mógł się z nim równać?

Ellen dobrze było na świecie.

Nelly poglądała na wybryki młodszej siostry z pobłażaniem, choć bywało, iż musiała ją strofować. Kochały się mimo różnice usposobień. Nelly wierzyła w Ellen, pragnęła tylko szybkiego jej zamążpójścia... Henryk Melton, to mąż dla Ellen odpowiedni! Najzdolniejszy inżynier, kawaler o wszelkich zaletach — dlaczegoż więc Ellen się waha? Wprawdzie ojciec postawił warunek ciężki; jakowyś plan inżynierski, niezwykle trudny do rozwiązania,

a o światowej doniosłości... Nelly wierzyła, iż Henryk Melton zadanie wykona, a wtedy chyba zdobędzie nie tylko papę, ale i pannę. Czyżby i wtedy nawet Ellen się wahała?!...

Niejasny, zgoła niewytłomaczony stosunek Ellen do Wery niepokoił starszą siostrę; obawiała się, że zbyt gorący afekt dziewczyny do hrabianki odwraca jej uwagę od Henryka Meltona, który już teraz kocha Ellen tak, jak ją, Nelly, narzeczony, wielki artysta, nieznośny, a tak drogi Leonard.

Nelly modliła się w duszy o Henryka dla siostry; cóż, kiedy nierozważna dziewczyna...

— — — — — — — — — — — —

W skwarne popołudnie spędzały obie siostry w panieńskim buduarze czas na lekturze, gwarząc sobie o tem i o owem... Wspomnienia z balu...

Nelly na miękkich poduszkach sofy zaglądała do wielkiego, ilustrowanego wydania historji malarstwa... Leonard polecił...

Dlaczego Leonard tak ceni Giotta, a nie zachwyca się Rubensem, a nawet w cień stawia Velazquez'a, tego zrozumieć nie mogła, ale Giotto musi być wielki, skoro tak mówi Leonard.

Ellen po zimnym prysznicu, osłoniwszy zaróżowione ciało pajęczyną jedwabnej koszulki,

wtuliła się w białe kudły rozpostartej szeroko na podłodze angory i przerzucała zeszyty pisma „Scena i ekran“.

Wierzgając w powietrzu bosemi nóżkami chwytała rytm tańców, widzianych na ilustracjach; prawa jej stopa balansowała, próbując utrzymać ledwie wiszący na paluszku złoty pantofelek. Wreszcie rzuciwszy się na wznak, jęła przeciągać się jak kotka, przecierając senne oczy, a podając rozkosznie różowe pączki dojrzewających piersi całunkom słońca, co to skrada się właśnie przez zasunięte story do panieńskiego buduaru.

Leniwe, rozpieszczone pytanie Ellen odwróciło uwagę Nelly od reprodukcji ery Odrodzenia:

— Powiedz, Nelly, czy umiałabyś kochać aż do zatracenia się, do niepamięci, całkowicie, bez zastrzeżeń?

— Tak kocham, wiesz przecież.

— Nie! Leonarda tak kochać niepodobna, jak ja to sobie wyobrażam — zaprotestowała Ellen.

— Nie wiesz, bo nie kochasz.

— Kocham! ale to nie to... Moja miłość do najpiękniejszej z kobiet, czarującej Wery...

Nelly otrząsnęła się:

— Potworna jest hrabianka Wera! tem po-

tworniejsza, im bardziej czarująca, słyszysz? Nie mów mi o niej!

Zaśmiała się Ellen rozkosznie, trzepiąc rączkami po puchu angory, a wierzgając wokół nóżkami, że rozrzuciła pantofelki gdzieś po buduarze. Wreszcie wtuliwszy policzek w miękki włos posłania:

— Wera jest najpiękniejsza z kobiet! Woń jej ciała, to upojenie! oczy, piersi, biodra — marzenie! marzenie!...

Nelly rozgniewała się na dobre; pod razami jej ostrych, pełnych powagi słów Ellen skuliła się w sobie — niewiadomo czy z żartu, czy z zawstydzenia...

— Wierzyłam — kończyła smutnie Nelly — wierzyłam, że zaprzestaniesz odwiedzać Werę; sądziłam, iż stanie się to tem łatwiej, skoro...

Ellen zerwała się z protestem:

— O nie! Henryk? — Wiedz, pan Henryk Melton przestał dla mnie istnieć, a ja dla niego...

— Już ostatecznie?

— Tak! Nienawidzę takich, którzy proszą... On ciągle prosi, niedołęga! miękki, jak ślimak. Chcę takiego, który mnie weźmie, który silnemi mięśniami i wolą — przymusi. Czy wiesz, jak się z nim rozstałam na balu?

— Mówiłaś trzy po trzy, nie brałam tego poważnie.

— Nie, tego ci nie powiedziałam. Otóż tam, w altanie palmowej jął mnie oblepiać lepkim, mdłym miodem swej miłości. Zaraz też widziałam muchę, gramolącą się niezdarnie w miodzie, którego chciała skosztować. Wyobraź sobie: mój adorator, to mucha w miodzie! ha! ha! Ujęłam więc silnie jego ramię, ścisnęłam i spytałam, czy ma silne mięśnie. A gdy zdziwiony nic nie odpowiedział, ukąsiłam przez rękaw z całej mocy, aż rękę cofnął, skrzywił się z bólu i tylko zapytał zgryźliwie, czy smaczne sukno?

Potem, trzymając mnie za rękę, pytał znów błagalnie, nieporadnie, czego ja chcę od niego.

Odparłam: o mięśnie pytam, o mięśnie! A on ciągle: Ellen, czego chcesz ode mnie? Gniew mnie porwał, cofnęłam się z złością, a odchodząc szepnęłam mu w odpowiedzi z pasją: „zniewolenia chcę!“ — Teraz chyba zrozumiał! Zostawiłam go oszołomionego; potem bawiłam się wyśmienicie.

— Tak mu powiedziałaś?... Jesteś bezwstydna.

— Tak dałam mu od kosza. Bezwstydna, mówisz? Jestem tylko szczera. Czego chce chłopiec oświadczając się dziewczynie? Chce z nią spać, chce jej rozkoszy. Czy nie wolno jej szczerze odpowiedzieć, że ona z nim spać nie chce? że jego mięśnie nie odpowiadają jej

wymaganiom, że do uścisków są dla niej za słabe?... To nie jest bezwstyd, ale nazwanie rzeczy po imieniu.

Ellen urwała nagle. Nelly milczała również. Po chwili Ellen jęła mówić o Leonardzie, który jest zgoła innym mężczyzną; bez mięśni zapewne (chociaż — kto wie?), ale miły warjat, śliczny łeb kudłaty!

— Tak! twój narzeczony aż pryska ogniem, fantazją, kaprysem. Och! gdyby on miał inną narzeczoną! Wiesz co, Nelly? gdybyś ty... Et! daremne moje pouczanie; ty nie masz tego koniecznego chwytu... Wiesz co? pożycz mi go na jedną noc. No, no! nie patrz tak groźnie, nie gniewaj się. Nie chcesz, to nie pożycz, ale onby uwierzył w twoją gorącość; ja i ty, to przecież jedna krew... Niech dowie się, że to to samo, że ty jeno ukrywasz...

— Tere fere ku ku... Szukaj sobie swojego, z Leonardem sama sobie poradzę.

— Ej, czy poradzisz?..

Tego wieczoru nie pojechała Ellen do hrabianki Wery. Zmęczenie po balu czuła jeszcze w kościach, a przecież z sali balowej zabrała ją była Wera do swej bajkowej willi i tam — ach! tam do późnego ranka...

Nie dość tańca na balu? — Oo! u Wery byłże to taniec? — nie! to szał! to...

Dzień następny przespany, pod wieczór partja tennisa... Dość zmęczenia.

Ellen nadąsana na pannę służącą, że nie umie dziś masować, że powinna pójść w naukę do hrabianki, byle nie zapatrzyła się na jej lokaja, murzyna, który usługuje nago — rzuciła się w puchy swego posłania i chciała zasnąć co prędzej.

Sen jednak pierzchł przed natłokiem myśli... Tyle wrażeń! tyle nowości!... Ostateczna odmowa, dana na balu Henrykowi — to nic! Uszczknięty z wieńca adoratorów kwiatek, odrzucony, lekką stópką przydepnięty... to i cóż!?

Z przyjemnością myślała o tem, że właśnie tak, a nie inaczej brzmiały jej słowa odmowy — niech Melton wie! niech popamięta! W każdym razie Ellen była zwycięska!

— Trzeba Henryka wykreślić z sekretnika — powiedziała do siebie prawie na głos i przewróciła się na drugi bok.

Reminiscencje z balu zmącone jednak były zdarzeniem, którego nikt nie zauważył, prócz Ellen i garbatego poety, Filipa Krossa.

Tak! przypomina sobie dobrze; przecież w chwilach najweselszej zabawy, w chwilach najpogodniejszych, nawet wtedy odczuwała, jakoby w tej sali stukło się jakieś nienawistne zjawisko, które prześladuje nieuchwytne, ledwie dostrzegalne. Raz wraz zjawiały się w tłumie zwiędłe, brzydkim grymasem skrzywione maski. Zjawiały się, znikały... Żaden z tych panów nie zbliżył się, żaden nie tańczył, lecz obmierzły, jadowity a ciekawy wzrok ich zdawał się ją obnażać. Z swego lęku zwierzyła się Werze, spytała, czy zna którego z tych panów... Zaprzeczyła... ale dlaczego Wera zaprzeczyła tak stanowczo? — Gdy maski stawały się coraz natarczywsze, postanowiła Ellen przekonać się, czy wrażenia, których doznaje, są tylko przywidzeniem, czy też...

Tak! czuła coś złego, zbliżającego się do niej... Próbowała odpędzić straszące przeczucia — daremnie!

Znów oto papierowa maska wpatrywać się

jęła w jej oczy... Spojrzała... z maski wieje — zbrodnia.

Nareszcie znalazła określenie...

Otrząsnęła się, jak w febrze.

Urzytomniła sobie kim jest, a kim być może ten wrogi, straszliwy nikczemnik, jeden... drugi... trzeci...

Postanowiła przeciwstawić się. Może rzecz się wyjaśni? może to tylko przywidzenie?... nadmiar tańca, wina... wrażeń?...

A maska patrzy...

Wtedy zmierzyła oczami nieznajomego. Nie ustąpił!

Przymusiła się do uśmiechu — nie! ani drgnął.

Nieruchoma maska, pełna zwierzęcości, pełna podstępu i niewiadomych zachceń... Wstrętny ślad cynicznego uśmiechu błąkał się dokoła wydętych warg natręta.

Ellen przybrała wyraz pogardy. Wtem lęk opanował ją tak straszliwy, że chciała krzyknąć, uciec... Opanowała się... Maska jęła się przybliżać. Ellen podniosła się z sofy, postąpiła śmiało naprzeciw... Sądziła, że pierwszem słowem upokorzy zuchwalca. Omyliła się. Cyniczna jego odpowiedź... znów jej głos, już przez łzy... jego urągliwy szept... Wtedy Ellen rzekła twardo coś, co miało znaczyć, by natręt szukał sobie innej ofiary i w innym lo-

kalu... Gdy zawróciła, zdawało się jej, iż słyszy za sobą szydzący, przygłuszony głos maski: „Po balu, po balu...“ — Wtem stało się coś nieoczekiwanego: Oto ujrzała małego Filipa Krossa, stojącego twarzą w twarz z ową maską. Groźny, jakkolwiek hamowany giest garbatego poety był aż nadto wymowny. Po chwili napastnik o wstrętnej masce opuszczał salę, odprowadzany aż do drzwi przez Filipa Krossa...

Tak było! przypomina sobie dobrze. Garbaty, niepozorny Kross był jej obrońcą!... Przy pierwszej sposobności, która nadarzyła się na balu, Ellen przystąpiła do pana Filipa z dyskretnem podziękowaniem. Udał, że nie rozumie, ale oczy jego... ach, jak te oczy na nią patrzały...

Spojrzenie ułomnego poety spłynęło na Ellen fluidem uspokojenia i łagodnej ciszy. Nie tyle triumf nad poskromionym napastnikiem (zresztą było masek tych wiele), ale oczy Filipa Krossa przywróciły Ellen równowagę. To też rzuciła się w wir tańca; a gdy już ledwie trzymała się na nogach ze zmęczenia i nadmiaru wrażeń, wtedy znalazła się w limuzynie Wery, tulona do jej piersi, oczekująca błogiego snu w objęciach kochanki. Ale nie dano jej spokoju. Samochód stanął wśród uśpionych róż przed willą. Wera dzwoniła niecierpliwie, Ellen

stała na schodach; chłód poranku pełzał po jej jedwabnych pończoszkach i piął się pod lekkie fałdy sukienki, by nagle spotkać się z przejmującym dreszczem, z wnętrza dziewczyny dobywającym się niespodzianie. Ellen zmrożona stała, wpatrzona wielkiemi oczami w boczne drzwi willi. Tak! straszliwa maska znów ukazała się i znikła w tamtych drzwiach. Nie zdążyła Ellen ochłonąć z wrażenia, gdy prowadzona silnem ramieniem hrabianki, znalazła się w przytulnym pokoju willi.

Ellen błagała, chce spać, ledwie żywa ze zmęczenia... ale Wera owego poranku była bardziej wymagająca... Spokoju nie dała, żądając pieszczot wyszukanych. Wtedy Ellen, rozebrana przez Werę do naga, rzuciła się na skórę tygrysią i pozwoliła z sobą robić, co się Werze żywnie podobało. Usypiając niemal, wpółprzytomna czuła się na niewiadomej scenie oglądana przez setki, może tysiące oczu... Tak wydało się wtedy Ellen. — Ach ten taniec! szał! wino!

Pierwszy raz poczuła Ellen żal do Wery. Teraz oto usypia, bawiąc się wspomnieniami, a dąsając na Werę...

Ach! te oczy Filipa Krossa!

Ellen, wróciwszy z rannej przejażdżki konnej, mocowała się z panną służącą, która z wysiłkiem ściągała jej buty. Wreszcie czynność ta powiodła się; panna służąca, sapiąc, wyszła z pokoju z butami, a Ellen jęła ściągać briczesy, rozważając dzisiejsze zajście z jednym z sportsmanów.

Najechał ją zbyt blisko... Tak! jakże odważył się? Wprawdzie czynił to nieraz, a przed tygodniem uścisnął nawet jej kolano podczas jazdy w bród przez rzekę. Mimo to tym razem... Ha! czy jej nie wolno zezwolić, kiedy zezwolić chce, odmówić, kiedy odmówić zapragnie? To też miała pełne prawo trzepnąć go szpicrutą przez twarz, skoro w chwili skoku przez barjerę...

Ellen, zanurzając się w woniejącej wodzie, poczęła oczami wodzić po łazience, jakby szukając wytłomaczenia, dlaczego to wzięła ją chętka tak srogiego zareagowania na umizgi sportsmna? — Wreszcie znalazła odpowiedź, która ją całkowicie usprawiedliwiła: on, gdy ośmieli się zbliżyć w ten czy inny sposób, czyni to w milczeniu, zapatrzony gdzieś przed

się; on, elegancki sportsman, wyzbyty jest zupełnie tej koniecznej ornamentyki, która swym kunsztownym woalem pokrywa nawet zbyt drastyczne zachcenia, umożliwiając milczące przyzwolenie kobiety. On mimo wszystko prostak; należała mu się ta pręga na twarzy; niech się uczy...

Ellen, wykąpawszy się i zarzuciwszy na się negliż, dobyła z szufladki biurka sekretnik, przerzuciła okiem spis imion... Na czele Wera z długim ogonem dat, wykrzykników i pytajników. Do niektórych dat podkreślonych, lub zaopatrzonych znakami uśmiechnęła się...

Dalej piętnaście imion męskich, każde z datą... Cztery imiona podkreślone.

Ellen zastanowiła się przez chwilę, poczem nagle chwyciła ołówek i z pasją przekreśliła imię na trzeciem miejscu, wyłączając w dniu dzisiejszym (datę zanotowała!) niefortunnego sportsmana z orszaku wielbicieli.

Załatwiwszy się w ten sposób z numerem trzecim, podumała nad jedenastym. Było to imię Meltona, wykreślone dnia poprzedniego. Ellen raz jeszcze silnie przekreśliła Henryka, poczem na ostatniem miejscu położyła imię — Filip i po namyśle zaopatrzyła je znakiem zapytania oraz datą.

Sekretnik spoczął znów w biurku.

Ulubionym sportem Ellen obok konnej jazdy i tennisa było wyprowadzanie w pole tych adoratorów, którzy w swych afektach wyraźnie się zaawansowali. Im boleśniej dokonywała się operacja na upatrzonej ofierze, tem sukces był pełniejszy, a przypieczętowanie osiągniętego powodzenia fioletową pręgą na twarzy sportsmana napawał Ellen dziką radością.

Bolało! O! miłość powinna boleć!

Ellen bólu nie lubi; broni się przed miłością... To na ostatek, a tymczasem igry życia, rozkosz sama w sobie, rozkosz dla rozkoszy... A rozkosz pełna jest w połączeniu z triumfem.

A Wera? — O! mimo wszystko Wera nie triumfuje nad Ellen; toż Wera o nią zabiega, Wera szuka jej pieszczoty...

Wera dostarczała Ellen tej upragnionej, bezbolesnej, nieobowiązującej rozkoszy. Urocza willa hrabianki była redutą kapryśnej dziewczyny, skąd dla zaspakajania żądzy nowych wrażeń łatwe były wycieczki — a w razie grożącego niebezpieczeństwa reduta była dogodnem i bezpiecznem schronieniem. Który z nich wszystkich, co chcą łatwego zwycię-

stwa, poważy się dobyć ją z tej warowni? który tego dokona? Żaden! przecież żaden z nich nawet nie domyśla się, czem jest ta reduta w życiu Ellen, jakże więc miałby wogóle o nią kopje kruszyć?

A gdyby tak wreszcie który?... gdyby wytropił? gdyby zrozumiał? gdyby bój stoczył? zdobył?... Wtedy chybaby jemu oddała rękę... takiegoby chyba pokochała na zawsze, dla takiego gotowa wziąć na swe życie całe brzemię miłości...

Tymczasem jednak obawy te są płonne. Ellen może prowadzić grę wojenną bez jakichkolwiek obaw.

— Strategja miłości! — uśmiechała się niekiedy Ellen do swych myśli; pozycja jej aż nazbyt pewna i nie do zdobycia.

Dlaczego to Nelly uległa pod razami pierwszego zaraz ataku? Tego łatwego zwycięstwa nie mogła Ellen darować Leonardowi; myślała nawet niekiedy o rewanżu za siostrę. Och! to byłby triumf nielada, gdyby mogła zatknąć zwycięski sztandar na zbroczonej krwią piersi pokonanego artysty!

Już też coś knuła; już plany jakoweś układały się w główce... Pomścić klęskę siostry!...

— — — Ellen powtórnie otworzyła szufladkę. Przygryzając ołówek, odczytywała imiona i daty w sekretniku. Uśmiechała się, jakoby

powzięła nową decyzję. Pod imieniem Filipa zanotowała datę oraz imię Leonarda.

Że jednak imię narzeczonego siostry mogło być przeczytane w szeregu tych wszystkich imion, okoliła je Ellen obwódką i imię Leonarda nożyczkami wycięła.

Określona ołówkiem próżnia przedziurawiona nożycami miała być memento dla Leonarda.

Z zadowoleniem schowała Ellen ostatecznie sekretnik w szufladce.

Konrad Wisdor, jakkolwiek szczerze kochał swe córki, szczególną czując słabość do Ellen, nie troszczył się był sam o ich wychowanie. Za pieniądze przecież dostarczył córkom najlepsze siły pedagogiczne, na które nikt inny zdobyćby się nie mógł.

Obowiązek względem córek spełnił sumiennie; obietnicy danej umierającej przed piętnastu laty żonie uczynił zadość. Tak! Konrad Wisdor nie ma sobie nic do wyrzucenia. Córkom dał staranne wychowanie i wykształcenie, zapewnił posagi, tak, iż przy swej wyjątkowej urodzie mogą teraz pójść w życie o własnych siłach; los swój dzierżą już tylko w własnych rękach. Zresztą Konrad Wisdor nie miał czasu o tem myśleć; rozbudowa miasta pochłaniała całkowicie jego istotę. Nadmierny sentyment do córek mógł tylko hamować rozpęd twórczy wielkiego budowniczego.

Z przyszłego zięcia, Leonarda Saxa, był zadowolony. Artystą malarzem był przecież ten udany młodzieniec; obrazy jego i plafony, cieszące się rozgłosem, znakomicie reklamowały budownictwo Konrada. Gdyby tak jeszcze Henryk Melton ożenił się z młodszą, wtedy

ścisła współpraca z tej miary inżynierem wydałaby piękne owoce; kto wie, czy ten drugi zięć nie byłby droższym sercu, aniżeli Leonard. To jednak pewne, że Wisdor nie odda Ellen Meltonowi, dopóki mu się znakomicie nie przysłuży; warunek zna: plan, gotowiusieńki do ostatnich szczegółów, plan nowego dźwigaru, bo bez tego budowle najważniejsze, jakich jeszcze świat nie widział, nie są wykonalne. Za plan dźwigaru dostanie Melton córkę!

— — — Pewnego wieczora oczekiwał Wisdor w swym gabinecie przyjścia Leonarda Saxa, który organizował właśnie pierwszą wystawę sztuki w wielkim, co dopiero przez Wisdora zbudowanym pałacu. To i owo trzeba było omówić, o to i owo się popytać; zresztą nie obejdzie się bez nowej „zaliczki"; jakże tu nie pomóc artyście w szlachetnem przedsięwzięciu?

Z malarską manjerą Leonarda i z jego artystycznemi dziwactwami Konrad Wisdor pogodzić się nie mógł; zresztą było mu to obojętne. Leonarda jednak potrzebował jako zręcznego agitatora wśród braci artystycznej, których umiał mobilizować i zachęcać do artystycznej usłużności na rzecz budownictwa Konrada. Na ten cel nie szczędził też Wisdor pieniędzy przyszłemu swemu zięciowi.

Jakkolwiek nie wiele myślał o zapowiedzianych odwiedzinach Leonarda, to jednak od czasu do czasu odrywał wzrok od swych map, rysunków i notatek, a spoglądał na zegar.

Wreszcie ujrzał przed sobą kudłatego artystę.

— A toż niepunktualność prawdziwie artystyczna! — wykrzyknął na powitanie. — Dobrze, że nie bierzesz bezpośredniego udziału w mojej pracy, ładniebym wyglądał!...

— Nie biorę bezpośredniego udziału? A cóż może być bardziej bezpośredniego nad sztukę? Czy nie odczuwasz, mistrzu Konradzie, niezbędności mej pracy?

— No, no! nie urażaj się. Wiesz dobrze, gdybym nie odczuwał potrzeby sztuki w mej pracy i w pracy licznej tej rzeszy (tu uśmiechnął się z lekką ironją) — kto wie, jakby to było z waszemi amorami, panie Leonardzie i panno Nelly! hi, hi!... Potrzebuję was, bo czuję, że sztuka, mglisty wprawdzie, ale też jakiś wpływ wywiera w kierunku ludzkich wytężeń; a wiesz dobrze: zużywam dla dzieła mojego wszystkie właściwości ludzi cywilizowanych; w tem cała potęga moich zamierzeń, w tem wogóle możliwość ich wykonania...

— Ej, mistrzu Konradzie! — rzekł malarz półżartem — obym nie nazwał po imieniu tego handlu uczuciami własnej córy!

— Tem mnie nie zbijesz z tropu. Takie lub inne nazwanie rzeczy bynajmniej nie zmienia jej istoty. Każdą rzecz nazwać można pięknie, każdą potwornie; w tem tkwi ludzkie okłamywanie samego siebie i drugich... to życie właśnie...

A zresztą, mój kochany Leonardzie, co tu owijać w bawełnę? — Ty artysta malarz, który podpatrujesz różne dziwy i w nich widzisz więcej niż jest, a uwieczniasz jeszcze więcej niż widzisz, ja budowniczy, który z rozcząstkowanych ździebeł ziemi stwarzam jakąś programową całość — po co my dwaj mamy czynności nasze tak czy inaczej nazywać?

Prawda? z tych czy innych przyczyn ja czuję, że ciebie potrzebuję, ty czujesz, że mnie potrzebujesz, a trzy łączące nas siły to: Nelly, twoje malarstwo, moje budownictwo. Ha! cóż?!

W drogę sobie nie wchodzimy — dodał Konrad po namyśle. — Pragnienia nasze wzajem się uzupełniają.

Po chwili zaś dorzucił dla osłabienia słów własnych:

— A zresztą zależy, którą z wymienionych trzech sił umieścimy na pierwszem, którą na ostatniem miejscu. Arytmetyka mogłaby nas doprowadzić do zgoła innych wniosków.

— Mnie nawet arytmetyka doprowadza

zawsze tylko do — Nelly... Ha! ha! toż i posag obiecałeś, mistrzu Konradzie, posag jak się patrzy...

— To znaczy, że znów chcesz zaliczki?

— Nie na posag, a na organizację wystawy. A propos! wystawa zapowiada się okazale; sam jej tytuł już wzbudzi niezmierne zainteresowanie. Wystawę nazwaliśmy według tytułu największego eksponatu, a mianowicie mojego obrazu: „Dziura w próżni".

— To ciekawe! — bąknął Wisdor niedbale; lecz w tejże chwili zaczął się zastanawiać: Że tym warjatom strzelają do głowy zgoła nieoczekiwane pomysły, to wiadomo. Jakie jednak może wywrzeć wrażenie nazwanie wystawy inauguracyjnej w nowowybudowanym przez Wisdora gmachu sztuki? Konrad nie mógł znaleźć sensu tej nazwy i tylko szukał w niej niepożądanego akcentu w stosunku do siebie.

— Dziura w próżni? — rzekł napozór obojętnie. — Jak to sobie tłomaczyć należy? To niby... wystawa wasza to dziura, a pałac sztuki...

— Próżnia? — roześmiał się Leonard. — Nie! takiej prostolinijnej interpretacji stosować nie należy. Gdybyś znał, mistrzu Konradzie, mój obraz, zgodziłbyś się na takie miano wystawy.

Wisdorowi nie o obraz chodziło, ani o miano wystawy, a jedynie o wrażenie publiczności. Pytał się w skrytości, czy dzika ta nazwa dostatecznie apoteozuje jego wiekopomne budownictwo, czy czasem nie zawiera w sobie ironji lub zgoła nawet subtelnej zjadliwości. Cyganom nigdy dowierzać nie można!

Ta niepewność doprowadziła Wisdora do zdecydowanej postawy. Z spokojem wypisał czek na sumę trzech tysięcy dolarów. Oczy Leonarda błysnęły radością, lecz Konrad czeku nie wręczył, położył go na biurku i ręką przycisnął.

— Żądam zmiany nazwy wystawy — rzekł i patrzał w oczy artysty z niedowierzaniem, a równoczesną pogróżką.

Leonard raz jeszcze spojrzał na czek, poczem rzutem oka wyczytał z twarzy Wisdora postanowienie ostateczne. Zaśmiał się szeroko:

— O to niema sporu, mistrzu Konradzie. Za ten papierek zrezygnuję z chwały nazwania wystawy tytułem mojego obrazu. Dawaj czek, papo, do cholery!

Konrad wręczył czek malarzowi i uśmiechnął się z zadowoleniem:

— Możesz zmienić tytuł obrazu.

— Nie! nigdy! Mam inne wyjście. Nazwiemy wystawę według innego dzieła, a mianowicie

według potężnej rzeźby Falco-Statts'a pod tytułem: „Wir przyszłości".

— Brawo! brawo! — uradował się Wisdor. — Wir przyszłości!! Lepiej nie można. Ot! za ten pomysł masz tu jeszcze tysiąc dolarów, z których połowę oddasz Falco-Statts'owi. A teraz powiedz mi coś o swoim obrazie, o nieszczęsnej dziurze w próżni.

Leonard dobył z pugilaresu fotografję obrazu. Konrad, nałożywszy monokl, bacznie jął przyglądać się fotografji. Sąd jego o obrazie był Saxowi zgoła obojętny (czek miał już w kieszeni).

Wreszcie rzekł Wisdor:

— Że coś się z twej czaszki wysnuło, to widzę; ale co, tegoby i filozof nie odgadł.

— Ruch! — zawołał malarz z zapałem.

— Wierzę ci na słowo. Ruch! bardzo dobrze; bez ruchu nie działanoby tego, co zdziałano... A dlaczego to się nazywa „Dziura w próżni"?

— Tak sobie...

— Hm, rozumiem — mruczał Konrad, wpatrując się w fotografję. — Tu kawał lokomotywy, tam rój aeroplanów różnie poprzewracanych... Hm, widzę... Każda z powietrznych machin ma ślepia i pysk rozwarty, każda krzyczy... Tu tańcujące kamienice, tam przedarta maska roześmiana... To niby — hm... Nie wi-

dzę ani dziury, ani próżni... A cóż to?... urwana, kobieca noga w pończoszce, w trzewiku?...

— Umiesz patrzeć w obraz, mistrzu Konradzie — zauważył żywo malarz.

— Patrzeć umiem, lecz czy tak malować umiesz, jak ja patrzeć? Bo czemu wszystko pomięszane, czemu wszystko odwrotnie ku sobie ułożone, jakby skłócone, jakby obrażone na siebie, czemu takie właśnie zestawienie? Tu chaos!

— Ale i ruch! — prawda?

— A cóż damska noga w tym ruchu?

— Rusza się też.

— A co chciałeś przez to wszystko powiedzieć?

— O! gdybym umiał powiedzieć, nie namalowałbym tego, a powiedział lub napisał poemat.

— Zgoda! — zawołał Konrad.

— Jedynie ta pończoszka mnie niepokoi.

— A więc cel obrazu osiągnięty właśnie przez pończoszkę. — Czy niczego nie domyślasz się, mistrzu Konradzie?

— Szkoda mózgowego wysiłku. Pończoszka na damskiej nóżce wśród machin, aeroplanów, hangarów, lokomotyw... Czemu właśnie pończoszka, czemu nie koszulka?...

Leonard roześmiał się:

— To już w symbolu obojętne; wybór zależał wyłącznie od konieczności malarskich, no — i od osobistego sentymentu malarza. Ja n. p. mam osobliwe upodobanie do damskiej nóżki w jedwabnej pończoszce i zgrabnym pantofelku.

Wyobraźmy sobie ten obraz z tą jedyną różnicą, że moją damską nóżkę — uosobienie kobiety dnia dzisiejszego — zastąpi piękne udo Danae Tiziana, lub biust Wenery z Milo. Czyżby nie gryzły się w tym obrazie epoki? Tu potrzebny był akcent powabu kobiecego i to pojętego nie zmysłem czasów minionych, ale dnia dzisiejszego...

— W takim razie uważam obraz ten za chybiony — rzekł z udaną powagą Wisdor.

— Dlaczego?

— Ponieważ winieneś był obrazowi temu nadać akcent powabu kobiecego, widzianego zmysłem — przyszłości.

Leonard potrząsnął kudłatą głową i wybałuszył oczy na Wisdora.

— Masz słuszność! — szepnął stropiony.

Konrad uśmiechnął się szyderczo.

Milczenie. Leonard zerwał się i z pasją jął chodzić po gabinecie.

— I dlatego twoja nóżka kobieca martwa jest — szydził niemiłosiernie Wisdor. — Martwa, nie porusza się wbrew twej woli...

— Obraz ten chybiony! — załamał ręce malarz. — Gdzież znajdę model kobiety przyszłości?! Nelly! Nelly! daremny twój trud! próżne godziny pozowania!... Obraz chybiony!

Malarz zdawał się popadać w furję. Wisdor obojętnym wzrokiem śledził gwałtowne ruchy przyszłego zięcia, z całym spokojem zapalając cygaro. Nagle Leonard przystanął i krzyknął z pasją:

— Masz rację, mistrzu Konradzie! Cofnę wystawę! nie będzie wystawy! Bywaj!...

Chwycił za kapelusz i zwrócił się ku drzwiom. Konrad dmuchnął przed siebie błękitem dymu:

— Nie będzie wystawy? — oddaj czek.

Leonard zaśmiał się i wybiegł.

— — — — — — — — — — — —

Wzburzony artysta tym razem nie wstąpił do narzeczonej.

Biegł ulicami do swej pracowni, a szydzące słowa i uśmiechy Wisdora brzęczały wokół jego głowy, niczem osy natrętne a kąśliwe.

Wpadł do pracowni. Stanął przed nowym obrazem ogromnych rozmiarów, ogarnął wzrokiem całość płótna, poczem wlepił fosforyzujące oczy w nogę kobiecą w lśniącej, jasnej pończoszce. Rzuciwszy wreszcie błyskawice spojrzenia skroś obrazu, nastawił czoła

jak tur, chcący ową zgubioną wśród nagromadzonych machin damską nóżkę przebić rogami.

Uderzył! — — — Trzask prutego płótna... Kudłata głowa artysty znalazła się po drugiej stronie obrazu. Sax jął ramionami rozdzierać płótno obrazu, wciskając się całą postacią w strzępy płótna, poczem skoczył przez dziurę i rzucił się na znajdujący się poza obrazem leżak i szarpał włosy swe rozwichrzone, wierzgając nogami.

Narobił hałasu wiele; tem się nasycił, spojrzał w świecącą pod światło dziurę w obrazie i stwierdził, że tędy była najbliższa droga do leżaka. Z pasją obrócił się twarzą do ściany i leżał tak bez ruchu.

— — — — — — — — — — — —

Długo tak leżeć musiał znużony szarpiącemi myślami. Nie zdawał sobie sprawy ze swego stanu. Gdy otworzył oczy, spostrzegł wśród ciemności blado jaśniejący zygzak, który tworzyła dziura rozdartego płótna.

Leonard Sax patrzał w ów zygzak, uśmiechając się bez wyrazu.

Powoli rozjaśniała się przestrzeń pracowni, a Leonard wciąż patrzał z skrzywionym uśmiechem na ustach. Wreszcie plunął w środek zygzaka, w najszerszy otwór postrzępionego płótna.

Chybił. Spróbował raz wtóry i trzeci; siadł wreszcie okrakiem i pluł póty, aż trafił.

Wtedy pluć przestał; wpatrując się długo w zygzak, zauważył, że ten stopniowo blednie. W istocie też w pracowni było już jasno; a w świetle poranka zygzak tracił na ostrości.

Oczy artysty nie odwracały się od krzyczącej urągliwie dziury w obrazie, a myśl jego poczęła błądzić po wierzchołkach zagadnień, które był sobie stworzył w czas swej karjery artystycznej; były to problemy nowego malarstwa.

Jął rozumować: Sztuka ponoć jest... Cóż u pioruna! czy Leonard Sax to sztubak na pierwszym kursie rysunków z odlewów gipsowych?!

Sztuka! ta dziurawa sztuka, psiakrew! — Dziurawa, nie dziurawa — w każdym razie ona i tylko ona...

Definicji trzeba? Bydlę szuka definicji sztuki, nie artysta... Tak! nie inaczej...

Narkotyk duszy!...

Sax gniewnie obrócił się plecami do dziury w obrazie, jakby chciał tem okazać całą swą wzgadę ubóstwianej sztuce. Spojrzał raz jeszcze i wywalił język w stronę dziurawego płótna.

Teraz artysta patrzał już tylko na ścianę, dotykając ją niemal nosem; coś niby rysował

paznokciem w tynku i pomrukiwał w ślad za swemi myślami:

— Uczucie! Tak! nie inaczej! To pewne! A więc i wyraz tego uczucia jest w ciągłej przemianie, w wiecznym ruchu, pełen życia, przesycony namiętnością... I to pewne!

Jedno wypływa logicznie z drugiego... Logicznie? — Tak! ha, ha! bo i sztuka ma swoją logikę.

Tak! i to jest logiczne, że namalowałem obraz, tworząc zjawisko wiecznej przemiany, stałego, niepokojącego ruchu, że wlałem życie w machinę.

Tak! machina moja jest równie namiętna, jak ta nóżka kobieca w jedwabnej pończoszce i w lakierowanym pantofelku, równie przyciągająca, równym drgająca nerwem i równym pieszcząca uściskiem... Stworzyłem żywy nerw, namiętny ruch, gorący skurcz... dałem szczytny wyraz uczucia... spreparowałem ha! ha! — nowy narkotyk duszy...

To jest logiczne, jak i to, że wszystko własnemi przebodłem rogami; przedziurawiłem życie, przedziurawiłem próżnię!... to moja namiętność, to prawdziwa, żywa dziura w próżni!!

Leonard rzucił się na wznak i jął przecierać oczy. Widział teraz nowy obraz: tenże sam chaos machin na tle potwornej, majaczącej

w głębi wieży, tenże ruch i pośpiech, tenże taniec pijanych ulic. Czuł wyraźnie logiczny wynik kompozycji, rozmieszczenie linij i plam barwnych, grupujących się około wściekłego zygzaka, który jest ostatnim wyrazem pasji, ruchu, namiętności... I oto teraz, teraz dopiero — w wściekłych strzępach zygzaka rysują się cudowne kształty kobiecej nóżki w jedwabnej pończoszce, w lakierowanym pantofelku...

O! jakże nieudolne, jak martwe są linje tamtej nogi, którą był namalował! jakże obojętne na gwałtowny ruch zygzaka!

Stary miał słuszność! tamta to nie nóżka kobiety przyszłości... Tak to linja, która już legła w bezruchu na przytulnej płaszczyźnie uregulowanej miłości...

Otworzył oczy szeroko. Widmo nowego obrazu ginęło gdzieś w głębi artystycznej duszy.

— Gdzież znajdę odpowiedni model?! Nelly! nie dościgasz mojej wizji! czemu twa cudna nóżka w tak przykładne ułożyła się linje, że w nich zagubiła nerw żywy i ostudziła krwi gorącość?!...

O Nelly! nóżka twoja nazbyt ustalona!...

Gniewna wstała od biurka Ellen. Siostra naszła ją właśnie przy pisaniu wierszy.

Ellen wstydziła się swego poetyckiego nałogu; czuła nieudolność swego pióra, a jednak musiała w poszukiwanej formie ujawniać to, co czuje... Przyjemność jej sprawiało odczytywanie własnych uczuć, jak przyjemność jej sprawiało przeglądanie się w zwierciedle.

Nie przyznawała się jednak do swej manji poetyckiej, kryła się z swemi wierszami, to też zagniewana sama na siebie, iż pozwoliła się przychwycić na gorącym uczynku przez siostrę, jęła jej dokuczać na swój sposób.

— Czy jestem gotowa? — pytasz? — mówiła Ellen swobodnie. — Cóż znowu? Czy masz jakie plany? Nie? — — — A wiesz, ten Filip Kross, to jednak nadzwyczajny.

— Już znowu Kross na tapecie? On ci się podoba? taki biedny, pokrzywiony...

— To nic! on ma w sobie coś, co piecze... Z oczu ogień bucha. Dla niego poświęciłabym nawet Werę. Słyszysz? nawet Werę! Ale jeszcze nie teraz; jeszcze mam do przebycia wiele szczebli, a jeżeli wtedy nie oddalę się zbytnio od Filipa Krossa — kto wie...

— A Henryk?

— Et! Henryk Melton to raczej dla ciebie. To śmietana! ty to lubisz, nie ja. Wiesz, bo też i Leonard nie dla ciebie. Mam wrażenie, że Leonard to wino szampańskie, rozcieńczone twoją wodą.

Nie gniewaj się, ale to pewna, ze mną byłby on inny, ty nie umiesz, słyszysz? nie umiesz. Taki rozczochrany artysta musi mieć rozczochraną duszę. A czy ty wiesz, co to jest rozczochrana dusza? To taka, w którą można...

— Daj spokój — przerwała Nelly niecierpliwie. — Przyszłam do ciebie z prośbą. Niespokojna jestem o Leonarda. Wczoraj nie przyszedł, choć wiem, że był u ojca; może zachorował? on tam w pracowni nie ma żadnej opieki, pójdźmy do niego.

— Ha, ha! — zaśmiała się Ellen. — Do narzeczonego idąc, potrzebujesz asysty? Ależ owszem, nie wymawiam się. Zdrów on napewno, a jeśli nie, to ja go uzdrowię, jeśli ty nie potrafisz. Przy tej sposobności czuprynę tak mu rozwichrzę, że sto elektrycznych iskier z niej wykrzeszę. Ty chwytaj, a zręcznie, byś choć iskierkę jedną przychwyciła...

Poszły. Podczas drogi nie przestawała Ellen dokuczać siostrze. Nelly szła ulicami zatroskana, nie słuchając nieznośnego szczebiotu Ellen. Po chwili w milczeniu jechały windą

na ósme piętro, gdzie była pracownia Saxa pod szklanym dachem.

Stanęły przed drzwiami pracowni.

Nelly zastukała.

Cisza.

Stuknięcie powtórne.

Cisza.

Ellen pchnęła drzwi; otworzyły się z łoskotem. Weszły.

Cisza — pustka...

Stanęły przed wielkim obrazem. Nelly pierwsza spostrzegła rozdarcie płótna. Załamała ręce i cofnęła się nieco z cichem przerażeniem.

— Boże! co to jest? co się stało? Leonardzie! gdzie jesteś?

— On tu musi być — rzekła Ellen. — Coś się poruszyło.

W tejże chwili ukazała się głowa Saxa w otworze rozdartego płótna. Blada twarz z rozwichrzonemi, czarnemi włosami. Sax uśmiechał się dziwnie, poglądając to na jedną, to na drugą; wreszcie jął zapraszać, nie zmieniając pozycji:

— Proszę, bardzo proszę... ha, ha, ha!...

— Leonardzie! — zawołała Nelly, przybliżając się doń uspokojona, że widzi swego chłopca zdrowego. — Coś ty uczynił? co tam robisz? co to wszystko znaczy?!

Ellen parsknęła śmiechem.

Artysta wyskoczył z obrazu, drąc sobą kawał płótna. Klęknął przed narzeczoną w pozie komicznej. Cofnęła się rozżalona:

— Niegodziwy jesteś! Cóż to? A teraz kpinami chcesz mnie przeprosić?

— Ha, ha, ha! — zaśmiała się Ellen. — On mi się podoba. Takie powitanie! brawo! brawo! Górą Sax! Nelly ciesz się z takiego wesołego chłopca.

Nelly odwróciła się i jęła chusteczką łzy ocierać. Wtedy Leonard poskoczył z pocieszaniem, a tłomaczeniem:

— Moja Nelly! cóż to? Taka to tragedja, że nie wstąpiłem wczoraj do ciebie? Czy to nieszczęście? Nie mogłem, dali Bóg, nie miałem czasu, ni spokojnej głowy. Musiałem wrócić co prędzej do mej „Dziury w próżni“. Tak! popatrzyłem i rzeczywiście przekonałem się, że obraz ten chybiony... Nie czułem dziury — może próżnię tylko, bezkresną próżnię... A więc negacja! a tu trzeba negacji na negację, aby stworzyć afirmację, aby stworzyć dzieło. Dziurę tedy łbem uczyniłem, ha! ha! w dziurę wlazłem i tam dopiero, o! ten zygzak rozdarcia, on mi dopiero rzecz rozjaśnił, on wykreślił rysunek energji, pasji. Wierzaj mi! uczyniłem wielki skok naprzód w mojej sztuce...

Ellen klaskała w dłonie z radości, zanosząc

się od śmiechu. Nelly z żalem i lękiem poglądała to w oczy malarza, to znów w rozdarcie obrazu. Pojąć nie mogła czynu Leonarda. W mgnieniu oka zadrgały w jej mózgu najbardziej fantastyczne myśli i chwycił ją lęk o zdrowie narzeczonego.

— Chory jesteś? — pytała z troską, głaszcząc jego czoło. — Co się stało? Może ojciec przykrość ci wyrządził? Powiedz! powiedz prawdę.

— Przykrość, mówisz? — odparł w zamyśleniu. — Ojciec? mistrz Konrad? Nie, nie! Przeciwnie, dwa dobrodziejstwa, jeżeli mam mówić otwarcie: primo — dał mi wiele dolarów i secundo — naprowadził mnie na drogę artystycznego rozjaśnienia. Ty tego nie zrozumiesz. To nic, jeno szczypta samokrytycyzmu.

Chwila milczenia. Ellen z trudem opanowywała wybuchy śmiechu; Nelly zagadnęła nieśmiało:

— Spałeś dzisiaj?

— Spałem.

— Gdzie?

— W próżni — tam za obrazem... Tam zrozumiałem pomyłkę, tam zdecydowałem malowanie tego obrazu od nowa. A takie poznanie, taka decyzja, wierzaj mi, to ogromny skok naprzód.

Leonard ujął obie ręce Nelly i przyłożył do

bladych policzków; ona zaś smutnie spoglądała na zniszczony obraz. Tymczasem Ellen bacznie przypatrywała się rozdarciu płótna; nagle zawołała:

— Co widzę!? niegodziwy artysto! podarłeś nóżkę narzeczonej, podarłeś pończoszkę... ha, ha, ha!

Patrz, Nelly! czy warto było ci tak długo pozować? patrz! co stało się z twoją nogą! Chyba z nadmiernej miłości tak ci ją poszarpał.

Nelly, już uspokojona, ozwała się do Leonarda z wyrzutem:

— Już ja ci więcej pozować nie będę, brzydki chłopaku! poszukaj sobie innej! (pocałowała Leonarda w czoło). — Niech ci teraz Ellen pozuje. Może wtedy uda ci się „Dziura w próżni".

Ellen nie kazała długo na się czekać. Uniosła nieco sukienkę i przyłożyła do obrazu zgrabną swą nóżkę, jakby na pokaz.

Sax uśmiechnął się i westchnął do pięknej linji nóżki dziewczęcej, poczem spojrzał porozumiewawczo w oczy Ellen.

Ona filuternie pokazała mu języczek.

Zaśmiali się wszyscy troje.

Ellen obiecała pozować.

Niewiadomo nad czem dumała Ellen, siedząc na ławie pod rozłożystą lipą, a rysując laską w piasku niewiadome znaki. W myślach snać zatopiona bardzo, gdyż nie spostrzegła zbliżającego się od strony wjazdowej bramy Filipa Krossa.

Przysadzista, nieco skrzywiona figurka Krossa zatrzymała się przed dziewczyną, jakoby w obawie przerwania jej lubych rozmyślań. Ellen poczuła czyjąś obecność, drgnęła i podniosła oczy. Kross ukłonił się, a cała jego postać zdradzała jakiś przyczajony pośpiech. Przywitali się życzliwie. Przyjście jego wywołało w Ellen pewne zdziwienie, może nawet nieświadomy niepokój.

Kross oznajmił, że udaje się w pewnej sprawie do pana Wisdora, że jednak cieszy się niezmiernie z spotkania Ellen, a zwłaszcza, że ją widzi samą. Chciałby bowiem — choć może nie ma żadnego ku temu prawa — o czemś z nią pomówić dyskretnie.

Ellen przypomniała sobie jego imię w sekretniku, poczem uśmiechnęła się, gdyż przecież przed nim jest jeszcze Leonard, wpraw-

dzie wycięty nożyczkami, ale jeszcze nie „odstawiony“.

Zamiar Krossa „pomówienia“ zaciekawił Ellen żywo, zdumiała jednak, gdy spostrzegła powagę w smutnych oczach garbatego poety.

Zapewne użyczony Krossowi kajet z wierszami...

Tak! dała mu go niedawno — dla oceny. On jeden poznał jej poezje... On miał prawo, on poeta; poeta, który ją pocichu kocha, jeno nieśmiały, ułomny, uczuć swych wyrazić nie umie... Ułomny, nieśmiały, żonaty!

Mimo to jej wiersze... może te wiersze powiedziały mu, że...

Spojrzała mu w oczy. On spuścił powieki.

Jęła swobodnie zachęcać, ośmielać.

Zawahała się. Czyżby się myliła? Wreszcie zapytała stanowczo, a swobodnie:

— Czy przyniósł mi pan moje wiersze?

Wyciągnął z kieszeni złożony kajet i oddał bez słowa.

Ellen pytała oczami. Nie rzekł nic. Wtedy jęła przerzucać karty kajetu. Wypadła luźna kartka. Kross podniósł ją z ziemi i podał.

To wierszyk jego pisany ręką.

Odpowiedź! Serce żywiej zabiło dziewczynie... Może w ten sposób ośmielił się?...

O! jakiż zawód! jakże się omyliła! Czyżby on tak jej tylko odpowiedział?...

Raz jeszcze z uwagą przeczytała:

„Rozgrzej nad ogniem kroplę atramentu,
„tak, iżby nie wysechł, a stał się gejzerem.
„A zasię zmięszaj ją z myśli eterem
„i dobądź z zamętu
„w chwili, gdy treść wnętrzna na dnie już osiędzie.
„Gdy umiejętność twa kropli dobędzie,
„na szklanej kuli połóż ją w słońcu
„tak, iż uleci parą w przestrzeń nieba,
„— poznasz, że pisać ci nie było trzeba.
„— — — Bo z kropli atramentu
„nie zostało wkońcu
„nic — prócz ornamentu...“

Ellen opuściła kajet na kolana i spojrzała w oczy Filipa. Oczy te twardo przytwierdzały słowa jej przesłane... To jego odpowiedź!

Wyciągnęła rękę do poety:

— Dziękuję panu.

Ucałował... Ellen wydało się, że wargi jego całując, zadrżały... Znów pytającym wzrokiem szukała w jego oczach wyjaśnienia. On milczał. Wtedy zbuntowała się w sobie; lecz opanowawszy się szybko, energicznie wstała i rzekła swobodnie:

— Przejdźmy się po parku; czy też panu spieszno na konferencję z ojcem?

— Mam czas. Czas mieć muszę.

— „Muszę“? — spytała zdziwiona — czy też „chcę“?

— Niestety dziś tylko muszę.

Milcząc, szli aleją strzyżoną, a nad ich głowami igrały rojnie maleńkie muszki, które przypomniały Ellen jej zamierzone pierwej słowa, co to miały zachęcić poetę do wyznań, lub choćby tylko do...

Niecierpliwie laseczką rozpędzała muszki...

Pierwszy raz omyliła się...

— Nie będę już pisała wierszy.

Kross nic nie odpowiedział.

Spojrzała nań z boku poirytowana. Zmusi go do odpowiedzi!

— Czy pan cośkolwiek z tego, co napisałam poczytał za wyznanie względem pana?

— Nic nie weszło we mnie.

— Aż tak?

— Panno Ellen — jął mówić Kross przyciszonym głosem, — przez zapach ścian mieszkania hrabianki Wery cóż od pani do mnie przeniknąć może?

Ellen zdrętwiała na chwilę; przystanęła, patrząc niewyraźnie w oczy Filipa.

— Przez zapach ścian?... — wtórowała, by zyskać na czasie.

Nagle poczuła Ellen silne ściśnięcie dłoni, a Kross przybliżył się tak, iż czuła na ramieniu jego oddech:

— Ellen! ja mam ci tyle do powiedzenia, że lękam się twojego przerażenia. Słyszysz? Lecz nie dziś jeszcze, nie dziś... Teraz wiedz tylko,

że mam prawo mówienia do cię po imieniu, bo noszę cię w sercu, a tak ciebie nikt już kochać nie będzie...

Ale to nie jest to, co ci powiedzieć miałem. to jest jeno uzasadnienie mojego prawa do mięszania się w twoje utajone sprawy. Wiem więcej, niż ty sama wiesz o sobie. Ellen! szkoda twojego ciała dla tych oczu plugawych, szkoda twojej czci!...

Ellen nie wiedziała, czy śni i nie zdawała sobie sprawy, kto do niej przemawia.

On kocha? on, Kross? poeta, który sponiewierał jej wiersze? Zazdrosny o Werę? Czyżby coś wiedział? O oczach mówi plugawych? O jakich oczach?

Ellen wyrwała rękę z uścisku Krossa i szybkim krokiem ruszyła aleją. Za nią postępował poeta. Długo szli w milczeniu, zbliżając się do wodospadu. Opodal, wśród drzew i krzewów zarysowały się białe ściany pałacu. Ellen przystanęła nad szumiącym potokiem:

— Panie Filipie Kross — ozwała się twardo — czy możesz pan uważać naszą rozmowę za niebyłą?

— Jeśli pani może, to ja muszę.

Wyciągnęła doń rękę pojednawczo; twardym skurczem uścisnął jej dłoń.

Ellen, stanąwszy tuż nad urwistym brzegiem potoku z wielkim namysłem, powolnemi ru-

chy jęła drzeć karty kajetu na strzępki, a rozsiewać listki białe po przeźroczystej wodzie, która porywała z sobą te wiersze, mięszając je z pianą i z szumem wodospadu.

Ozwał się Kros bez żalu:

— Oby tak wszystko popłynęło w nicość, co jeszcze pani powiedzieć mam...

Ellen paluszek położyła na ustach; żądała milczenia.

— Nie pierwej — rzekła — aż zapytam sama, czy zgoda?

Skinął głową.

— A teraz idź pan już do ojca; musimy się pożegnać na pewien czas...

Spotkanie z Filipem Krossem wstrząsnęło Ellen do głębi.

Od owej chwili straciła swą wrodzoną pogodę i swawolną radość życia. Świadomość, że Kross coś nie coś wie o jej stosunku do Wery, nie była jej przyjemną, jednak nie przygniatała bynajmniej. Nie! co innego zaciążyło nagle na jej życiu: stanęła wobec człowieka, który miał nad nią władzę. Jak to jest możliwe? jak się to stać mogło? Przecież nie kochała Krossa, a jedynie liczyła się z nim podświadomie.

Co ją skłoniło do powierzenia mu wierszy, które skrycie chowała przed oczami nawet najbliższego otoczenia? Jak mogła nie przewidzieć, że Kross, właśnie Kross sponiewiera te jej wiersze, któremi tak się pieścić lubiła, a które uważała za jedyne wypowiedzenie się szczere; bo te wiersze nikomu nie były przeznaczone!

Jak bądź tak bądź Kross zdobył nad nią przewagę tem, że mógł na jej czuciowe drgnienia w wierszach zawarte odpowiedzieć zimną strofą o ornamencie kropli atramentu. Miał do

tego prawo, sama mu je udzieliła. Ale — przecież on ją kocha; dlaczegoż więc brutalnie depcze ją, miast zdobywać? dlaczego nie żąda jej miłości?... że ułomny? że żonaty? A mimo wszystko chwyta ją w jakieś żelazne kleszcze i ściska boleśnie, wyrzucając jej Werę. Jakże on mógł się odważyć? cóż wiedzieć może? Cztery ściany zacisznej sypialni w willi „Bon sens" lub jej buduaru, cóż one wyjawić mogą Krossowi? Murzyn? nagi służący hrabianki, którego Wera trzyma w zamknięciu, jak niewolnika, a który z nikim zgoła porozumieć się nie umie... Nie! nie! A może to jasnowidzenie poety, wzmożone miłością?

Próżne dociekania i zbędne. Przecież nie to jest ważne, skąd Kross wiedzieć może to i owo, ani nawet to, co on o niej myśli, czy zachowa dla niej swe uczucie, czy je straci, ale ważne to, że on, ułomny, niepokaźny człowieczyna zaczyna nad nią panować.

O! bo jakże on inaczej na nią patrzy, niż wszyscy jej wielbiciele do najprzedniejszej należący młodzieży. Jakże inaczej Kross do niej przemawia? Nie usłyszała jeszcze nigdy westchnienia lub prośby, idącej od niego. Przeciwnie, on jej przykazuje, on nią może już kieruje, on nią włada... A przecież Ellen nie kocha Filipa Krossa, garbatego, niepokaźnego, żonatego poety!!

Rozpaczliwy bunt zrodził się w duszy dziewczyny. Postanowiła sobie wywalczyć dawną swą niezależność i pogodę. Na przekór Krossowi spotęguje swawolność dotychczasowego życia, które jej zapewniało swobodę i beztroskę.

Rzuci się z tem większem oddaniem w ramiona Wery, a rozkocha w sobie cały zastęp najświetniejszej młodzieży... Walczyć będzie o swą niezależność, a w tej wojnie ma przecież bezpieczną redutę, willę hrabianki Wery.

A może ciężkie słowa Krossa są właśnie wielkiemi pociskami w tę jej redutę; może trzeba już tylko reduty bronić?...

Zrazu chwyciła się Ellen tej taktyki. Poczęła zjawiać się w willi hrabianki tak często, a czasem niespodzianie, że zdziwiło to samą Werę.

Ellen podniecała się pieszczotami kochanki aż do szaleństwa; tem chciała pokonać Filipa Krossa. Poczuła jednak nierówność walki, gdy po pewnym czasie spostrzegła rysy w pancerzu swej reduty.

Tajemnicze, ostrzegawcze słowa garbatego poety zmuszały Ellen do otwierania oczu na szczegóły, których dotąd nie spostrzegała. Dziwne wydawało się dziewczynie, że gdy przybywała do willi, zapowiedziawszy wprzód swój przyjazd, wtedy postępowanie Wery wydało się jakoby programowe; gdy zaś zjawiała

się niespodzianie, wtedy Wera miała szereg czynności do załatwienia w pośpiechu, wtedy krzątanie się po domu, wtedy też murzyn nie stał na swojem miejscu w oczekiwaniu rozkazów, a po upływie około godziny dolatywały z górnego piętra odgłosy kroków, które wkrótce cichły... wtedy dopiero hrabianka Wera przebierała się w strój odpowiedni i rozbierała dziewczynę, sposobiąc się do — miłosnego seansu.

Ellen ogarnęła trwoga i niepewność. Czuła się w wirze walki, w której zoczyła pierwsze zaginanie się szeregów urojonych hufców. Trzeba zmienić taktykę walki. Jej moc, to przecież ta bezpośredniość przeżywanych wrażeń, która nigdy nie zawiodła. Tak! Ellen zmyli przeciwnika, na chwilę opuści redutę, pójdzie w otwarte pole, zwłaszcza, że czekały ją niezawodne sukcesy.

Przecież miała upokorzyć tego, który tak łatwe odniósł zwycięstwo nad jej siostrą!

Gra z Leonardem pociągała Ellen od dawna, a teraz, gdy toczyła wielki bój, utarczka z kudłatym malarzem wydała się jej nawet koniecznością.

Pewnego dnia zapowiedziała Ellen telefonicznie swe przyjście do pracowni celem pozowania stosownie do danej obietnicy.

Pospiesznie przebrała się, zlustrowawszy

oględnie każdy szczegół bielizny — boć przecież pozować ma do obrazu, w którym jej noga ma być główną atrakcją i sensem...

Świeże powietrze na ulicy przywróciło Ellen poczucie codziennej rzeczywistości. Nelly kocha Leonarda; a on? A cóż to szkodzi mężczyźnie? przecież Ellen nie chce siostrze odbić narzeczonego, przecież nie chce z nim ślubu! Krzywda nikomu się nie stanie; najmniej siostrze, gdyż Sax dyskrecję zachowa w własnym interesie. Zresztą gdy Leonard już nie będzie potrzebny, Ellen odda go siostrze całkowicie i na wyłączną własność.

Ellen nie chce niczego sobie przywłaszczać... Gdy przed tygodniem bez wiedzy właściciela dosiadła wierzchowca i zwróciła nieuszkodzonego... czyż było to uchybieniem?...

Ellen weszła do pracowni. Leonard, przygotowawszy wszystkie utensylja, czekał. Olbrzymie białe płótno, delikatnie węglem porysowane, zasłaniało przedziurawiony obraz. Ellen zajrzała poza nowy blejtram i stwierdziła, że dziurawy obraz stał nieruszony, że więc Sax nie próbował nawet zatrzeć śladu szalonego swego czynu... Nawet tego nie uczynił dla narzeczonej.

— Czy Nelly tu przyjdzie? — spytała malarza głosem, w którego obojętności utajony był atom słodkiej a rozkosznej niepewności.

— Przychodzi zazwyczaj znacznie później; zresztą dzisiaj ja do was zajdę; po pracy możemy wyjść razem — odparł Leonard wyciskając farby na paletę. — Oto i gotów jestem, a moja piękna modelka? Ot tak, proszę...

Zanim malarz zdołał określić pozę, Ellen rzuciła się na przygotowany na wzniesieniu tapczan, ujęła sukienkę wysoko, wysuwając lewą nóżkę w pozycji, potrzebnej do projektowanego obrazu.

Sax stał oczarowany niezwykłym w swym powabie obrazkiem, który tworzyła w pół leżąca, w pół siedząca dziewczyna.

Przymrużonem okiem stwierdzał artystyczną doskonałość pozy. Czy z konieczności malarskich, czy z nadmiaru zachwytu przybliżył się Leonard do Ellen, tę i ową chcąc poprawić fałdę, lecz otrzymawszy od dziewczyny tęgiego klapsa, wrócił przed stalugę. Wpatrywał się w wdzięczne kształty modelki, wodząc trochę bez sensu pendzlem po palecie, jako że nie mógł się skupić, by rozpocząć malowanie.

— Czy artysta, czy mężczyzna na mnie patrzy — pomyślała Ellen i zgrabnym ruchem poprawiła suknię, tak, iż delikatny rąbek bielizny tworzył od góry misterne obramowanie pięknie toczonego uda.

Artysta westchnął głęboko i jął się pracy.

Ellen patrzyła mu prosto w oczy. Wypróbuje moc i czar swego spojrzenia.

Oczy artysty pełzały od pantofelka wzwyż po falistej linji panieńskiej nóżki, ślizgając się wraz z połyskiem jedwabnej pończoszki; po małym odpoczynku w zgięciu kolana sunęły dalej oczy po rozszerzeniu krągłego uda, by spocząć na chwilę między skrajem pończoszki a białym rąbkiem, wychylającym się z pod sukienki, gdzie to figlarnie wyziera różowe pasemko żywego ciała. Wabiące spojrzenia Ellen przyciągało oczy malarza; ogarnąwszy tedy szerokim rzutem wężowe linje bioder, tułowia, piersi i ramion wzdłuż wygiętej szyji spieszyły poprzez słodycz różowych ust w szmaragdowe wnętrze magnetycznych oczu dziewczyny. Tam utonęły...

Ellen nie słyszała już pociągnięć pendzla po płótnie. Głowa artysty znieruchomiała; wreszcie i ręka jego prawa, trzymająca pendzel, zwisła ku podłodze. Leonard patrzał w Ellen spojrzeniem, które ona wyczarowała, a którego teraz może się zlękła nawet. Nie! Ellen ustąpić nie może!

Poczęła uśmiechać się nieznacznie i błądzić bezwiednie paluszkami po lśniącym jedwabiu pończoszki.

Leonard wzrokiem ją pożerał; oczy jego stawały się coraz większe, coraz bliższe. Tak!

rozpalona twarz jego przybliżała się do twarzy Ellen; już ciepło twarzy malarza ogarniało policzki dziewczyny, już czarne kudły jego łaskotały szyję.

Ellen rzuciła nagle głowę w tył na jedwabną poduszkę i zasłoniła ręką oczy.

W tej chwili rozpalone usta Leonarda przylgnęły do jej drżących warg. Chciała się zerwać, rękoma bronić się jęła, ale równocześnie poczuła się bezsilna w mocnym uścisku ramion męskich.

Opanował ją bezwzględnie, brutalnie, ustami na jej ustach tamując oddech wezbranych piersi...

Gdy wreszcie zdołała wyrwać usta pocałunkom, bezwiednie szeptać poczęła: „mój Leonard, Leonard!...“

Szeroko otwarte oczy dziewczyny patrzały teraz w twarz artysty, a ręce jej trzymały silnie jego głowę. Tak wpatrywała się w tę rozgorzałą twarz, która do niedawna była jej tylko potrzebna, teraz jest pożądana.

Gwałtownemi ruchy zatapiała swe różane palce w czarnej grzywie artysty...

Nagle... Ach!... O zgrozo!

Ponad twarzą Leonarda... tak! ponad jego twarzą — twarz inna. Oczy ogromne, przerażone, obłędne... Oczy znane...

Ostatkiem sił, wszystką swą rozpaczną mocą odepchnęła Ellen malarza, krzyknąwszy tak przeraźliwie, że zdawało się, iż skurcz śmierci dobył się z zdławionego gardła dziewczyny.

Zerwała się.

Przed nią stała Nelly...

Żądaniom Konrada Wisdora Kross nie chciał uczynić zadość. Fundusze na bogate wydawnictwo ilustrowane, reklamujące budownictwo Wisdora, dostarczył wielki budowniczy aż nazbyt obficie; to też zrozumieć nie mógł, że materjalnie źle sytuowany poeta, którego on, Wisdor, dopiero postawił na nogi, gotów raczej zrezygnować z dalszych korzyści, niż odstąpić od swych dziwacznych poglądów literackich i wydawniczych.

Skoro Wisdor łoży na swe wydawnictwo, powinien mieć także coś do gadania, tymczasem Filip Kross swego tekstu zmienić nie chce, ani przyznać racji na temat kilku zmian, dotyczących układu itp.

Upór poety Wisdorowi imponował; to też już trzecia z rzędu konferencja w gabinecie Konrada poświęcona była planowanemu wydawnictwu.

Filip Kross stopień po stopniu przeprowadzał swoje z uporem właściwym ludziom ułomnym. Gdy jednak na trzeciej konferencji przedłożył Wisdorowi pierwsze arkusze drukowanej odbitki, architekt nie posiadał się z rado-

ści. Teraz dopiero przekonał się, że tezy poety były słuszne; jedynie tekst tu i ówdzie...

Po skończonej debacie zaprosił Wisdor poetę na obiad.

Do stołu siadła także Ellen. Siostra jej nie zjawiła się, mimo cztery na stole nakrycia. Kamerdyner objaśnił, iż panna Nelly kazała przeprosić; dziś źle czuje się i do stołu nie przyjdzie.

Ellen była uprzedzająco miła dla gościa. Wydała mu się piękniejszą jeszcze, niż wtedy w parku. Bystre jednak oko poety dostrzegło w Ellen pewne, utajone rozdrażnienie, które dziewczyna umiała tak zręcznie pokryć żywością rozmowy, iż Kross zwątpił w swą spostrzegawczość. Wśród wesołej rozmowy przesuwał się od czasu do czasu na czole Ellen ledwie dostrzegalny cień niespokojnego smutku. Cień zjawiał się i znikał. Zmiany te w obliczu dziewczyny nie uszły uwadze Krossa.

Podano deser. Wtem wszedł kamerdyner i oznajmił, że z kancelarji głównej proszą Wisdora do telefonu w nagłej sprawie. Konrad przeprosił gościa i wyszedł.

Kross, milcząc przez chwilę, ukradkiem spoglądał na Ellen. Był zadowolony; przecież nie chciała widywać się z nim przez pewien czas! Ha! ta jego rozmowa z Ellen jest ukradziona! tem lepiej. Filip postanowił jednak nie wspo-

mnieć ani słowem o ostatniej ich rozmowie w parku, ani o wierszach, ani o własnej tych wierszy krytyce.

Ellen czuła, że zbyt długie milczenie mogłoby stać się zbyt wymowne. Mimo to, znalazłszy się niespodzianie sama z poetą przy stole, nie mogła prowadzić dalej swobodnej a nic nie znaczącej rozmowy; przymus taki wydał się jej teraz niemożliwy tem bardziej, że stan siostry dręczył ją i niepokoił.

Ozwał się pierwszy Filip Kross:

— Nie trzeba, panno Ellen, chmurzyć czoła dlatego, że przypadkiem znaleźliśmy się sami przy obiedzie.

Zdziwiona spojrzała swobodnie na Krossa; on ciągnął dalej:

— Ten uśmiech, którym pani rozpogadza dnia powszedniość...

— Zdaje mi się — przerwała Ellen, — że mój uśmiech nie zawsze rozpogadza... może czasem kłamie, może czasem dotyka boleśnie...

— Nie umiem sobie tego wyobrazić — westchnął Kross. — Ja naprzykład z natury nie jestem zbyt czuły na uśmiechy życia; a jednak pani pogodne oblicze... Nie umiem sobie wyobrazić, by uśmiech pani kłamał lub dotykał boleśnie, lecz sądzę, że on zdolen drugich obdarowywać tylko pogodą.

— Niech pan nie będzie zbyt subjektywnym.

— Nie o sobie mówię, a o stałem otoczeniu pani.

— I tu się pan myli właśnie.

— Jakież może być inne oddziaływanie pani na drugich?

— Pan mnie nie zna — ucięła krótko, gdy wniesiono kawę.

— Zapewne — nie znam... Mimo to spostrzegam dziś w pani pewną zmianę. Może to ma jakąś łączność z tem oto nakryciem, które okazało się niepotrzebne... Tak! osobliwe skojarzenie szczegółów: ledwie dostrzegalna chmurka na jasnem czole pani i ten talerz bezmyślnie czekający i to próżne krzesło...

— Rzeczywiście dziwne pan czyni zestawienia. Z takich kompozycyj mogą rodzić się domysły najfantastyczniejsze.

— Panno Ellen! przepraszam. Czemu się pani gniewa? Czyżbym mógł snuć niewłaściwe wnioski stąd, że pani zatroskana z powodu niedomagania siostry? To pięknie, gdy siostry się kochają.

Spojrzała na gościa z pewnym niepokojem:

— Czemu pan mi to wszystko mówi?

— Czyż mówię coś, coby mogło panią ranić, albo zasmucić?

— Tak!... A zresztą nie wiem. Ale poco mi pan to mówi? Czy pan co wie o mnie? o mnie i o siostrze?

— O pannie Nelly?...

Spojrzała na Krossa szerokiemi, pytającemi oczami. Czyżby wiedział o wszystkiem, co zaszło w pracowni Saxa? Leonard? Nelly? Nie! żadne z nich nie mogło opowiadać o zajściu nikomu, a już najmniej Krossowi!

Z siostrą o całem zajściu Ellen nie rozmawiała dotąd. Nelly spojrzała jej tak smutnie w oczy, i, nie zwróciwszy się nawet w stronę narzeczonego, wyszła z pracowni bez słowa... Odtąd jej już nie widziała. Nelly zamknęła się w swym pokoju i nikogo nie wpuszczała...

Wydawało się w tej chwili Ellen, jakoby Kross teraz dopiero opowiedział jej o całem zajściu w pracowni. Spostrzegła się jednak i opanowała. Nie! on o niczem wiedzieć nie może; a kto wie — możeby lepiej było, aby on właśnie mógł ją teraz wesprzeć, pocieszyć, poradzić?... On właśnie? Nie! nigdy!...

Wzruszyła ramionami:

— Cóż pan wiedzieć może? A zresztą, czy się taję? Być może, iż jestem winna, że ha, ha, ha! — że ten biedny talerz i to krzesło tak beznadziejnie...

Przepraszam, widzę, że pan nie ma cukru...

Wstała i spiesznie podeszła do bufetu.

— Ejże, panno Ellen! czy nie spowiada się pani zbyt szczerze? Przecież nie mam prawa...

Spojrzał na stojącą przy bufecie Ellen i zauważył, że ukradkiem łzę ociera chusteczką. Udał, że tego nie spostrzegł; gdy wróciła z cukiernicą, rzekł swobodnie:

— Dziękuję uprzejmie... Panno Ellen, czemu pani zadaje kłam moim bezsprzecznie słusznym dowodzeniom o pani życiodajnym uśmiechu? Wiadomo, każdy ma swe chmurki w życiu — nie trzeba...

— Dziękuję panu — odparła z dziwną miękkością w głosie. — Lepiej, że mnie pan powstrzymał od niewczesnej — jak pan mówi — spowiedzi... Czy pan rozumie, że czasem miałoby się ochotę to, co się uczyniło, odwołać, unicestwić w sposób możliwie doraźny, nawet upakarzający?... Czy pan to rozumie?

— Rozumiem...

Jednak pamiętać trzeba, by zajście jakieś poboczne, nie przysłaniało istotnego niebezpieczeństwa, które czai się gdzie indziej...

Ellen zrozumiała, że Kross o zajściu w pracowni nic nie wie... A może lepiejby było, aby wiedział? może należałoby odciągnąć jego uwagę od willi hrabianki, gdzie on największego dopatruje się niebezpieczeństwa dla niej (może tylko dla jego zamiarów?), a nie zdaje sobie sprawy z wewnętrznego stanu Ellen z powodu krzywdy, zadanej siostrze.

Rzekł po chwlii milczenia Filip:

— Nie mogę zasługiwać na takie pani zaufanie... nie mogę przyjąć pani zwierzeń...

Rozmowę przerwało wejście Wisdora. Ellen szepnęła:

— Może później...

Nelly swem zachowaniem doprowadzała młodszą siostrę niemal do rozpaczy. Działo się to mimo, a nawet wbrew woli Nelly. Mimo tak głęboko odczute nieszczęście, które na nią spadło niespodzianie, chciała oszczędzić Ellen. Ta zaś wstrząśnięta do głębi tem, co uczyniła siostrze, nie miała odwagi nawet zastukać do jej pokoju.

Spotykały się tylko mimochodem. Wielkie, smutne, pełne spokojnego wyrzutu oczy Nelly zdały się patrzeć nieustannie w głąb niespokojnej duszy nienasyconej dziewczyny.

We śnie i na jawie wgryzało się to spojrzenie siostry w serce i w mózg Ellen; nie miała zaś odwagi odezwania się do skrzywdzonej. Jakże miała się odezwać? z czem mogła przyjść do siostry? Te smutne, pełne cichej skargi oczy Nelly spojrzały na Ellen tak po raz pierwszy w owej upojnej, a tak przerażającej chwili w pracowni Saxa. Odtąd oczy te nie dawały jej spokoju... Nelly zamknęła się w swym pokoju — poniekąd istnieć przestała.

Teraz dopiero zrozumiała Ellen siostrę: gdy Nelly była, wtedy nie istniała; odtąd zniknęła, zaistniała w całej swej mocy.

Po raz pierwszy odczuła Ellen dla niej miłość siostrzaną.

Leonard — zda się — zakopał się w swej pracowni; nie zjawił się ani razu. Ellen go też nie widziała po zajściu w pracowni... Stan wytworzył się nieznośny. Ellen chciała rozmówić się z Leonardem, nakłonić go, by przebłagał Nelly, by wrócił... Dwa razy nie zastała go w pracowni; może tam był, a nie otworzył drzwi umyślnie?

Po krótkiej z nim rozmowie telefonicznej zrozumiała, iż Leonard jest stracony dla Nelly. Mimo wszystko Ellen chciała ratować sytuację. Tak dalej być nie może! Musi rozmówić się z siostrą. Ona dobra; zbyt dobra, by nie miała przebaczyć...

Jakże jednak ma jej Ellen wytłomaczyć, że żadnego uczucia dla Leonarda nie żywi?

Tem gorzej — odpowie Nelly. Bo ona nie zrozumie tego, że żądza życia i z nią splecione zawiłości zdarzeń nie idą skroś miłości i towarzyszących jej wypadków.

Tego Nelly nie zrozumie, jak nigdy pojąć nie mogła stosunku Ellen do Wery.

Nelly zbyt prostolinijna, podczas gdy Ellen szukała finezji wrażeń w niezwykłych odchyleniach życiowych.

Mimo wszystko postanowiła Ellen nie dopuścić do tego, by jeden przemijający poryw

dwu nazbyt bujnych, młodych istot miał na zawsze zburzyć szczęście tak idealnej kobiety, jak Nelly.

Nie! ona musi przebaczyć! ona musi wrócić do Leonarda...

On zaś, mimo, że jest artystą, niesforną bestją, to przecież jest czującym człowiekiem, jest gentelmanem. Z nim trudności nie będzie.

Dnia pewnego weszła cicho Ellen do pokoju siostry, choć na stuknięcie we drzwi nie było odpowiedzi.

Nelly, otulona w szal turecki, siedziała pod oknem, wpatrzona hen, w daleką przestrzeń miasta. Nie spostrzegła — zda się — wejścia Ellen, która przez chwilę stała we drzwiach, trzymając kurczowo klamkę. Ellen poczęła żałować, że weszła. Stała tak przez dłuższą chwilę; Nelly ani drgnęła.

Wstrząs zimny przeszedł wzdłuż ciała wyczekującej dziewczyny; bezwiednie przycisnęła klamkę i poczęła wysuwać się z pokoju.

Za drzwiami przystanęła; czuła, że ją odeszła wszelka władza; nie miała odwagi wrócić do pokoju siostry, ani się oddalić.

Nagle posłyszała łagodny głos Nelly:

— Ellen...

Weszła. Nelly siedziała w niezmienionej pozycji; rzekła po chwili spokojnie, pełna słodyczy:

— Ellen, czy pragniesz czego odemnie?

Milczenie.

Po chwili Ellen cicho podeszła do siostry i pogłaskała ją po ramieniu pełna trwogi, szepcąc:

— Nelly!... Nelly!...

Matowe, spokojne oczy spojrzały na nią. Nelly wyciągnęła rękę i przygarnęła siostrę do piersi.

Ellen załkała, kryjąc twarz w ramionach Nelly.

Złote plamy zachodzącego słońca spoczęły na przytulonych do siebie głowach sióstr pojednanych.

Milczenie, w którem nieledwie słychać było cichy szelest złoconych słońcem łez spadających, zwolna przywracało dziewczynom możność dobycia z siebie pierwszych westchnień serdecznych.

Cisza.

Nelly gładziła palcami miękkie włosy Ellen; spytała cicho:

— Czy ty go nie kochasz?

Ellen spojrzała siostrze w oczy i potrząsnęła głową przecząco:

— A on? — pytała spokojnie Nelly.

— On tylko ciebie...

Milcząc, położyła Nelly dłoń na ustach siostry, nie dając jej dokończyć.

Z rozpaczą patrzał Filip Kross na zwisającą, pomarszczoną pierś Luizy, szarpaną niecierpliwie chudemi rączkami karmionego niemowlęcia.

Filip siedział w kącie izdebki i w duszy przeklinał los, który go związał z duchową prostaczką, pospolitą samicą, dziś matką dwojga jego dzieci. Co go łączyło z Luizą, niedawno jeszcze powabną, acz starszą od niego, dziś zwiędłą, bezmyślną i bezduszną istotą, wegetującą poto chyba jeszcze, by przez pewien czas łudzić niemowlę wyschłą swą piersią?!

Filip Kross, patrząc tak na postać żony, która raczej była urągowiskiem kobiety, jakby przystosowanem do jego cielesnego upośledzenia, buntował się w sobie przeciw życiu, które jemu poskąpiło wszystkiego (prócz poetyckiego talentu), a innych, mniej wartościowych wyposażyło w wszelkie zadatki pełnego szczęścia.

Ellen wydała się Krossowi w tej chwili czerwoną kreską, która w księdze jego życia krwawo podkreśliła jego tragiczny los.

Filip buntował się przeciw swemu uczuciu dla Ellen. Czuł wzmożenie swego nieszczęścia,

a jednak oprzeć się nie umiał jej czarującym oczom. Wydało mu się, że mieszkanie z nią w jednem mieście już jest dlań wielką osłodą w udręce i tęsknocie. Dzień, w którym nadarzyła mu się sposobność widzenia ubóstwianej w skrytości córy wielkiego Wisdora, był dla Filipa dniem szczęścia, a możność dotknięcia ręki Ellen i zamienienia choć kilku zdań, które mogły mieć jakową wagę, to były dla niego szczyty jego dotychczasowych marzeń.

Aż oto zbieg okoliczności, ten niezbadany figlarz życia, dał mu w ręce wielką tajemnicę panny Ellen Wisdor. Czy wobec takiej pokusy mógł przejść obojętnie po szarej, chropawej drodze swego życia?

Filip Kross zrazu nie mógł się zorjentować w propozycji hrabianki Wery. Potrzebowała „dla swej klienteli“ sto egzemplarzy luksusowo wydanego albumu, upamiętniającego czarowne tajemnice willi „B o n s e n s“. Album zdobne w kilkadziesiąt pikantnych rycin, wykonanych według odręcznych szkiców znakomitego rysownika Gooquen‘a, wypełnione możliwie podniecającym tekstem pióra Filipa Krossa, miało być wydane według jego układu. Hrabianka wręczyła Filipowi wysoką zaliczkę z tem zastrzeżeniem, że zachowa najzupełniejszą tajemnicę, gdyż numerowane egzemplarze wy-

dawnictwa przeznaczone wyłącznie dla subskrybentów. Krossowi wolno było porozumieć się jedynie z Gooquen'em oraz z wtajemniczonym drukarzem.

Gooquen przedłożył Krossowi rysunki. W tece leżały liczne fotografje, któremi posługiwał się rysownik. Poeta oglądał szkice uważnie; na każdym niemal widniała naga, półnaga, lub ubrana hrabianka Wera; niektóre rysunki ilustrowały wyuzdane sceny hrabianki z murzynem, inne z młodą, zawstydzeniem jeszcze owianą dziewczyną. W tej zaś poznał Kross pannę Ellen Wisdor.

Chwycił tę i ową fotografję. Tak! to panna Ellen Wisdor!

Wtedy nic z Gooquen'em nie postanowiwszy, wyprosił sobie jedną fotografję, na której była także Ellen.

Chciał udać się natychmiast do hrabianki, by zwrócić jej zaliczkę z oznajmieniem, iż nie czuje się na siłach wykonać powierzoną mu robotę. Po namyśle zdecydował się jednak nie działać porywczo; na podstęp odpowie podstępem. Tymczasem ma przy sobie znakomity dowód w postaci niedwuznacznej fotografji.

Odtąd pochłonięty był Filip Kross jedną tylko myślą: ratować ubóstwioną dziewczynę! Czuł Kross, iż los panny Ellen Wisdor, o której względy dobijali się najprzedniejsi mężczyźni,

teraz w jego spoczywa ręku. Nie nadużyje przecież swojej przewagi; nie byłoby to godne jego wielkiego dla Ellen uczucia. Filip Kross, nieszczęśliwy małżonek Luizy, ułomny, niepozorny, ubogi poeta bezinteresownie wywalczy szczęsne życie przemożnej, przepięknej panny Ellen Wisdor, która znajduje się w największem teraz niebezpieczeństwie.

Filip Kross był dumny z swego szlachetnego postanowienia; resztę pozostawiał samej Ellen; niech oceni, niech wynagrodzi, gdy zechce; zresztą sama świadomość wyratowania Ellen z toni dostateczną będzie mu nagrodą.

Postanowienie zapadło; teraz Filip rozmyślał tylko nad sposobami ratowania Ellen.

Ratować mógł dziewczynę tylko przez nią samą; wszelkie działania poza Ellen uważał za niską intrygę; takie postępowanie byłoby zresztą bezskuteczne, bo jeżeli Ellen pozwoliła się fotografować nago w takich sytuacjach, to bez względu na to, czy wobec Krossa przyzna się do wyuzdania lub nie, w nim widzieć będzie wroga.

Filip jednak nie wierzył, by panna Wisdor wiedziała o tych fotografjach; upatrywał w tem raczej podstęp wyrafinowanej hrabianki, której ofiarą padła Ellen. Jeżeliby te rachuby zawiodły, Ellen byłaby stracona; wszelkie zaś próby ratowania dziewczyny od ostatecznego

upadku byłyby daremne. Kross postanowił kierować się najdalej posuniętą ostrożnością.

Teraz oto, gdy tak siedział w kącie swej izdebki, a Luiza uwolniła go była już od swego widoku, położywszy uśpione przy piersi dziecię w kołysce, a krzątając się w kuchni — w tej chwili Kross był już całkowicie opanowany, przebiegając jeno w pamięci najważniejsze szczegóły całego zdarzenia, które mogło zasadniczo wpłynąć na dalsze życie jego.

Tam oto motyl o tęczowych skrzydłach, co igra wokół płonącego ognia i każdej chwili spali się, zniszczeje — tu kwoka, wysiadująca swe jaja wśród postękiwań dnia codziennego...

Jakby dla potwierdzenia myśli Krossa doleciał z podwórza dźwięczny głos wędrownej pieśniarki, nucący piosnkę, którą raz słyszał z ust Ellen; a w tejże chwili dopadła okna gderliwa Luiza, zatrzaskując je z łoskotem, by czasem piosnka swawolna nie wdarła się w zacisze ich szarego domu. Kross westchnął i dumał, nie patrząc na Luizę.

— — — Nie zauważył Filip, zgoła myślami w izbie nieobecny, że żona siadła obok niego, czegoś długo wyczekując. Ocknął się, gdy usłyszał jej głos niechętny:

— Co robisz, Filipie?

Spojrzał na Luizę:

— Hm — co robię? — myślę.

— Także zajęcie! — żachnęła się. — Mógłbyś popracować. Pieniędzy trzeba; trudno tak żyć, wszystkiego sobie odmawiając i dzieciom... a ty lenisz się...

— Myślę — rzekłem — więc nie lenię się. Pieniędzy? nic łatwiejszego. Oto patrz (wyciągnął z kieszeni paczkę banknotów). Mam! to zaliczka na pracę, której mam się podjąć.

Oczy Luizy nagle nabrały blasku, lecz zgasły w tejże chwili pod wrażeniem giestu jego ręki, która mówiła brutalnie, nieodwołalnie: Nic z tego, nic z tego. Z nienawiścią spojrzała Luiza na męża i umilkła.

— Całą zaliczkę, którą przyniosłem ci od Wisdora, już wydałaś? — spytał Filip.

— Nie wiele zostało.

— Więc pilnuj tej reszty, bo nie wiem, kiedy będą nowe wpływy.

— Toż masz pełną kieszeń!?

— Te pieniądze muszę zwrócić. Są to pieniądze niegodziwe, obliczone na zgubę (tu zawahał się)

— Czyją?

— Na zgubę panny Wisdor.

— Czyje to pieniądze?

— Tego nie mogę wyjawić.

Z złością szarpnęła się Luiza:

— Aha! mnie wyjawić nie możesz! Co to znaczy? co ciebie wiąże z panną Wisdor?

Wiem, wiem! nie darmo chadzasz do pałacu Wisdora, ty pokrako! Ona też warta tyle, co ty, zdradza narzeczonego, jak ty żonę!!

Ostatnie słowa Luizy mięszały się z szlochem. Filip chciał coś sprostować, coś wyjaśnić, lecz spostrzegł się: tem lepiej, niech myśli o starszej pannie Wisdor, tem lepiej! Postanowił nic nie mówić.

Podjęła krzykliwie Luiza:

— A niechby ci raz ten Sax pysk dobrze sprał, możeby raz skończyły się twoje umizgi, ty obmierzły garbusie!

— Miarkuj się, Luizo! Nie wymawiaj mego kalectwa, skoro mnie takim wzięłaś za męża. Garb mi nie urósł pod wpływem twoich czułości, to pewne! A do panny Wisdor chodził będę, ile zechcę, jeśli jej to będzie potrzebne; a wiedz, że teraz właśnie w nieszczęściu...

— Co?! — syknęła Luiza, zerwała się i wybiegła płacząc do kuchni.

Filip chwycił kapelusz i pospiesznie wyszedł z domu.

Ellen spaliła sekretnik.

Ostatnie zajścia zdały się zamykać jeden okres jej życia. Ellen wierzyła, iż wraz z jej poezjami, zabranemi przez wartki nurt wodospadu i wraz z regestrem adoratorów, który uleciał z dymem, uszło jej życie dotychczasowe. Jakieś postanowienia mgliste, jakaś nieuchwytna wola, jakieś nowe pragnienia...

Niektóre słowa, rzucone jej przy stole przez Filipa Krossa, zniewalały Ellen do otwierania nowych okien na świat; a gdy którem wyjrzała wdal, zaraz odwracała się, jakoby za nią stał czuwający poeta, którego należy zapytać: „czy tak dobrze?"

O Leonardzie nie mogła myśleć Ellen ze spokojem. Zdawało jej się, że go nienawidzi w tej chwili za to, że jej pocałunek wziął zbyt dosłownie, że nie zjawił się dotąd u Nelly i że nie przeprosił się z nią. To też winę zwaliła całkowicie na Leonarda. Nie mniej czuła potrzebę wykazywania siostrze na każdym kroku, że z Leonardem nic jej nie łączy, że ona przecież — jak dawniej — zaprzątniętą ma głowę — przedewszystkiem Werą. To też spędzała

w willi „B o n s e n s“ wszystkie wieczory i noce, powracając do domu demonstracyjnie w godzinach przedpołudniowych dopiero. Nawet Wera zdziwiona była tej nagłej zmianie, gdyż obawiała się zawsze, że pannę Wisdor, główną atrakcję jej ukrytych klientów, niebawem straci na zawsze. To też hrabianka starała się dogadzać Ellen, jak tylko mogła; dziewczyna zaś, czując potrzebę upojeń i oszołomień, rzuciła się w to zawrotne życie z całą pasją nieokiełznanej swej natury.

Raz jeden tylko miała Ellen w willi hrabianki widzenie straszliwe. Nieprzytomna przecież była od całunków Wery, od nadmiaru wina i woni czarujących dymów, które przepełniały tej nocy zaciszną alkowę. Wtedy to, gdy leżała naga na posłaniu, jęły się wyłaniać z mgieł i dymów owe maski, które to kiedyś prześladowały ją na balu. Maski milczące przybliżały się do niej z uśmiechem plugawym i znów znikały; a wśród nich uśmiechnięta kołysała się twarz Wery, pełna słodyczy i czaru. Najstraszliwsza z masek przybliżała się tak, iż Ellen poczuła jej oddech na swej piersi. Chciała wezwać pomocy, chciała wezwać swego obrońcę, jak wtedy na balu, garbatego poetę, którymby poskromił natręta, bo była to taż sama maska, co wtedy, taż sama!... Lecz głos zamarł wtedy w gardle Ellen. Stało

się z nią coś niezwykłego. Uśmiechnęła się do maski i jęła głaskać nachyloną nad nią postać po sztywnym gorsie frakowej koszuli. Maska pocałowała ją w rozchylone usta. Ellen czuła, jak kościste, zimne palce niewiadomego mężczyzny błądzą wzdłuż jej ciała — wtedy oddała masce martwy pocałunek. Mężczyzna chwycił ją w swe szpony; ona krzyknęła tak przeraźliwie, iż własnym krzykiem zbudziła się, oprzytomniała. Widziała tylko oddalające się maski i śliczną Werę, pospiesznie zasuwającą nad nią kotarę alkowy.

Do dzisiaj nie umiała sobie Ellen wytłomaczyć straszliwego płaczu, który ją dławił aż do opuszczenia willi „Bon sens".

Wszystko to składała teraz Ellen na ołtarzu siostry w przekonaniu, iż zdoła tem przebłagać i odwrócić srogi los od Nelly. Cóż mogła więcej uczynić?

A tymczasem Nelly siedziała całemi dniami bez ruchu, milcząca, owinięta w szal turecki, zapatrzona przez okno w niewiadomą dal...

Znosiła los swój w cichem skupieniu. Nie czuła żalu do Ellen, ani do Leonarda. To, co ją spotkało, widocznie miało swój cel określony, a nie dający się zrazu odgadnąć; Ellen i Leonard byli celu tego narzędziami.

Takie oto myśli utrwaliły się w Nelly i przynosiły jej ulgę; wszelako serce walczyło też

o swoje prawa. Nelly popadała w odrętwienie na samo wspomnienie tych przelicznych dowodów czułości, które był słał u jej stóp Leonard przez tyle miesięcy, pełnych niewypowiedzianego szczęścia. Ona zaś z bezgraniczną przecież ufnością przyjmowała je i odwzajemniała się uczuciem gorącem a czystem, wierząc w trwałość tej wielkiej ich miłości.

Wspomnienia te rodziły w jej sercu bunt i taki żal serdeczny, że chciała czasem krzyczeć w daleką przestrzeń miasta w nadziei, że jeśli nie Leonard, jeśli nie Ellen, to choć te mury wchłoną w siebie echo jej skargi i żywem współczuciem zawtórują, że nie będzie sama, że...

Ale mury stały niezmienne, zimne, urągliwe jak serca tamtych... A zresztą nic nie wiadomo! nie wiadomo, co jest, a wiadomo jedynie, co się odczuwa... Leonard? — Od owego dnia, kiedy to runęło w przepaść wszystko, co miała w sobie wzniosłego, szlachetnego, cennego, od dnia tego nie widziała go przecież, ani nie doszły do niej żadne wieści o nim, krom tego, co mówiła przez łzy Ellen. Ha! ona mówiła to, co mówić musiała dla złagodzenia zła...

A jej serce? — Toż Nelly była przeświadczona, że siostra całem gorącem serca żałuje swego wybryku, że wszelkie czyni wysiłki, aby pojednać narzeczonych, aby znów połą-

czyć ich kochające dłonie w szczerym uścisku przebaczenia.

A jednak — jakże nikłe i bezwartościowe były te wysiłki w porównaniu z tem, co się stało!

Mijały długie, słotne, beznadziejne dni, mijały czarne noce udręki. Ponurym kirem spowita dusza Nelly martwiała w zdrętwiałem jej ciele.

Siostra bardziej niespokojna, niż dawniej, znikała z domu i spędzała czas niewiadomo gdzie; wieczory zaś i noce głuche były i bezdźwięczne; bo dawniej, to choć pusty, wesoły śmiech Ellen ciszę rozweselał, albo żywa, beztroska piosenka swawolnej dziewczyny. Snać Ellen teraz często spędza noce w willi hrabianki...

Na wspomnienie tej kobiety dreszcz przeszedł znękane ciało Nelly...

Monotonję jej bezgranicznego smutku miało rozedrzeć zdarzenie zgoła nieoczekiwane, a tak brzemienne w następstwa; nie przeczuwała Nelly, iż zdarzenie to kładzie ostateczną pieczęć na jej życiu...

To też zrazu niczego nie pojmowała, ani zdolna była skojarzyć łączność między poszczególnemi wypadkami; niemożność jasnego rzutu oka na to, co się dzieje, niemożność przeczuć...

Pewnego wieczora oddała jej panna służąca bilet wizytowy:

„Luiza Kross“!

Nelly nie miała pojęcia, kto to być może. Chociaż nazwisko głośnego poety powinno było naprowadzić ją na domysł, to w tej chwili Nelly nie była zdolna do jakichkolwiek zastanowień.

Kazała poprosić nieznajomą.

W drzwiach ukazało się niesamowite widmo... Wydłużona, sucha a sztywna postać zalęknionej kobiety wsunęła się bezszelestnie do pokoju. Błędne, szeroko rozwarte, popielate oczy szukały czegoś w przestrzeni a zdały się nie widzieć, jakoby ślepe...

Nelly zerwała się. Ogarnęło ją takie przerażenie, że nawet nie zdawała sobie sprawy, czy krzyknęła, czy też jakiś nieokreślony jęk ugrzązł jej w krtani. Zwolna opanowała się i zwróciła łagodnie ku przybyłej.

Luiza pytała oczami, Nelly odpowiedzieć nie umiała; czuła jedynie jakiś zaklęty mus, który zawisł nad nią z chwilą zjawienia się obcej tej kobiety.

Nieznajoma ujęła Nelly za rękę; dłoń zimna, sztywna... Pociągnęła ku sobie. Nelly nie opierała się — zbrakło sił...

Tamta, trzymając ją silnie skostniałą dłonią,

prowadziła za sobą przez ciemne korytarze pałacu.

Nelly przestała wiedzieć, przestała czuć... ledwie rozpoznała boczne drzwi.

Nagły chłód... ciemno, mglisto, wilgotno... Szły pustą ulicą wśród cichego deszczu...

Dokąd szły? czemu tak szły? — obojętne. Iść tak musiały; snać ma to jakieś określone, choć zrazu niezbadane znaczenie. Szły długo wśród mroku, chłodu i deszczu, a Nelly nic nie wiedziała, nic nie czuła...

Obca kobieta ścisnęła rękę Nelly i ozwała się przyciszonym, niesamowitym głosem:

— Idziesz, idziesz!... Dobrze, że tak idziesz ze mną...

Głos ten zbudził snać Nelly. Lęk ogarnął dziewczynę; wyrwała rękę z zimnych kleszczów obcej kobiety; stanęła; chciała uciec, ale sił zbrakło; zdołała tylko wyjęknąć:

— Czego pani chcesz ode mnie? Kto pani jesteś?

— To się pokaże, serdeńko! — syknęła tamta i zimną dłonią znów ujęła rękę Nelly i przymusiła pójść w dalszą mrocz niewiadomej przestrzeni.

Nelly szła bez oporu. Tak być musiało. Wola nieznajomej panowała nad nią.

— Już! — szepnęła obca kobieta, zatrzymu-

jąc się przed jakąś bramą i pociągnęła dziewczynę w ciemny korytarz.

Po chwili znalazła się Nelly w zacisznej jakiejś izdebce. Ciemno tam było, lecz ciepło. W rogu przytłumiona lampka oświetlała ledwie krawędź komody. Pod piecem coś poruszyło się, coś mlasnęło, zakwiliło. Cisza.

Luiza była u siebie... gościa przyprowadziła! Pożądanego gościa! Ścisnęła rękę panny Wisdor i ku dołowi pociągnęła. Nelly ciężko siadła w przyniszczonym fotelu, aż ozwały się przystare, zepsute sprężyny. Tamta zniknęła w mroku; jeno ciche stąpanie zdradzało jej obecność. Zapaliła lampę elektryczną. Z pod przytłumiającego abażuru dobyło się ostre światło, rzucając długie smugi cieni po izbie. Nelly rozejrzała się, poczem pytające jej oczy spoczęły na postaci nieznajomej kobiety stojącej pośrodku izby i trzymającej na ręku niemowlę. Luiza ucałowała dziecię, które ocknąwszy się ze snu jęło szukać główką, rączkami i nóżkami matczynej piersi. Niemowlę jęło płakać; wtedy matka, rozpiąwszy stanik, podała mu wyschłą pierś i tak stanęła, niby posąg wyzywający, przed oniemiałą panną Wisdor.

Resztę sił dobywszy z siebie, Nelly wstała gwałtownie i spytała stanowczo:

— Co to wszystko znaczy? Czego pani chcesz ode mnie? Puść mnie pani stąd!

— Cicho! cicho! — syknęła obca, karmiąca dziecię. — Cicho! zbudzisz mi maleńką, a nie pora jeszcze... Oto patrz, jako ssie pustą pierś matczyną. Wiedz! ta pierś wyschła za twoją przyczyną! ty tedy dziecię karmić będziesz, słyszysz? ty! ty! — i swobodną ręką chwyciła mocno ramię Nelly i przymusiła do opadnięcia na fotel; poczem dziecko oderwawszy od piersi, złożyła płaczące na kolanach dziewczyny i oburącz rozerwała suknię na piersi oszołomionej Nelly, dobyła jedną jej pierś i przycisnęła doń twarzyczkę dziecka.

Łakomie rączki wyciągnąwszy, niemowlę ssać poczęło pośpiesznie jej pierś ciepłą, falującą.

— Tak! tak! — rzęziła chrypliwie Luiza, a Nelly, siląc się na głos łagodny i dobry, ozwała się z lękiem:

— Ależ, dobra pani! ja dziecka waszego nie nakarmię, ja przecież...

— To nic! — przerwała tamta twardo. — Tak być ma! Niech się dziecko przyuczy, mleko się znajdzie. O to już chyba postarał się on... hi, hi... o to już chyba on się postarał!

— Co pani mówi? pani chora? o kim pani mówi?!

— O moim mężu, o ojcu mego dziecka... o Filipie mówię...

Nelly zerwała się ponownie; rozpacznym

ruchem oderwała niemowlę od piersi i niemal rzuciła je na posłanie łóżka i jęła wołać pół przytomnie:

— Boże! co to wszystko znaczy?! co ta kobieta chce ode mnie? Pani! tu zachodzi jakieś straszne nieporozumienie. Ja pani nie znam! nie znam pani męża. Jak pani śmiesz!? Kto pani jesteś?!... Boże! co to jest? co to jest?

I rzuciła się Nelly w fotel i wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

Obca stała nieruchoma. Szloch Nelly mięszał się z rozdzierającym krzykiem porzuconego dziecka. Dzikość tej przeraźliwie smutnej muzyki koiła rozpaczne spojrzenie Luizy. Po chwili wzięła matka dziecię i jęła karmić piersią swą wystygłą. Tak stała bez ruchu pośrodku izby i szeptała wśród cichego już łkania dziewczyny:

— I tego odmawia! i tego!...

Po niejakim czasie cisza zaległa w izbie, jeno tłumiona czkawka płaczu dobywała się niekiedy z krtani skulonej w fotelu Nelly. Dziewczyna półprzytomna słyszała urywane słowa obcej niewiasty:

— Nie chce jego dziecka, chce w nim jeno kochanka...

Odmawia dziecku życia... pierś dla swojego chowa — czyżby już w niej żyło?...

Znów cisza... Nagle krzyknięcie rozjuszonej kobiety:

— Ha! tak to, tak! panno Wisdor! panno Ellen Wisdor!!

— — — — — — — — — — — —

Bielał już poranek, gdy Nelly otrząsnąwszy się z odrętwienia, rozejrzała się po izbie. Była sama. Zerwała się i uciekła...

Tejże nocy rozegrał się również dramat Ellen. Pod wieczór dnia uprzedniego, gdy walczyła z sobą czy pójść do Nelly i rozmówić się z nią ostatecznie, by coś postanowić wspólnie, coś coby ich wszystkich wydobyło z nieznośnej atmosfery nieszczęścia — wtedy wahaniom położył kres list Filipa Krossa.

Ellen przeczuwała coś złego; drżącemi palcami rozerwała kopertę i czytała:

„Panno Ellen! Nawet nie proszę o wybaczenie mi tego listu. Sumienie nakazuje mi. Milczeć mi już nie wolno. Ratować panią jest moim obowiązkiem i potrzebą serca. Pani nie wolno cofnąć się przed rozmową ze mną. Czekam o godzinie dziewiątej pod „Kolumną lotników". Pani przyjść musi. W nieszczęściu chcę podać przyjacielską rękę. Czekam

Filip Kross."

Postanowiła bez wahania pójść. Ubrała się spiesznie w najskromniejszą, ciemną suknię i takiż płaszcz. Czuła, że wszelka strojność odzieży byłaby nie na miejscu; czuła powagę chwili, choć nie zastanawiała się nawet, co spowodowało poetę do takiego wezwania. Gdy

zjawiła się na wyznaczonem miejscu, zastała tam czekającego już Krossa.

Wstał z ławki, nie ukłonił się nawet.

— Pójdziemy do mieszkania mojego kolegi. Pokój dla nas próżny, w mieszkaniu przez całą noc nikogo nie będzie.

Ellen zdziwiona i zaniepokojona, spojrzała w rozgorączkowane oczy poety. Nie miała odwagi sprzeciwić się; więc tylko spytała niepewnym głosem:

— Pokój? próżne mieszkanie? Czemu? w jakim celu? całą noc?

— Tak! — odrzekł Kross twardo. Rozmowa nasza może trwać długo; przerwać jej nie możemy; pójdźmy.

Nie czekając zgody, ujął Ellen rozkazująco pod ramię.

Poszła bez oporu.

Niebawem znaleźli się w studenckim pokoju. Siedli.

Ellen czuła się na ławie oskarżonych w oczekiwaniu sądu. Czemu opanowało ją takie wrażenie? tego sama nie wiedziała. Nie było też czasu na zastanawianie się nad tem.

Filip Kross wziął łagodnie rękę Ellen; za ten ruch pełen dobroci spojrzała nań z wdzięcznością. Teraz dopiero poczuła w całej pełni wagę przeżywanej chwili.

Rzekł Kross:

— Będę ci mówił po imieniu, Ellen. Wiedząc o tobie tyle, obraziłbym cię, przemawianiem oficjalnie per „pani“. Nie dziw się więc, ni poczytaj mi tego za poufałość niedozwoloną, lub za wyzyskanie posiadania twojej tajemnicy. Mów mi także po imieniu; to uprości naszą rozmowę.

— Słucham cię, proszę! — szepnęła Ellen.

Kross wstał i popatrzył chwilę w oczy dziewczyny, która odpowiedziała mu wzrokiem pełnym ufności.

— Nie będę domagał się od ciebie obietnicy — zaczął nieco uroczyście Filip. — Oczy twe mówią, że szczerze i z ufnością rozmawiać będziesz ze mną, niczego nie ukrywając — prawda?

— Pytaj.

— Co ciebie łączy z hrabianką Werą?

— Miłość.

— Jaka?

— Grzeszna, zmysłowa miłość... jesteśmy sobie kochankami.

— Nie nazywaj tego miłością.

— Masz słuszność.

— A więc zmysłowy stosunek, nic więcej? — pytał Kross zagadkowo.

— Cóż jeszcze być może? — zdziwiła się szczerze Ellen.

— Kto jest wtajemniczony w te wasze amory?

— Chyba nikt oprócz Nelly... no — i murzyn służący, ale on nie wchodzi w rachubę.

— Ellen! ty wierzysz w to, że nikt więcej nie wie o tem?

— Wierzę w dyskrecję Wery. Zresztą zło nie umniejsza się przez zachowanie dyskrecji.

— Zapewne, ale do zła dochodzi hańba.

Milczenie.

— Czyżby Wera?... — zaczęła zastanawiać się Ellen.

— A cóż na to siostra twoja? — spytał nagle Filip.

— Nelly strofuje mnie często, na Werę oburza się...

— I nie zastanawia cię ta opinja siostry? Umiałaś tak bez skrupułów ranić ją zlekceważeniem siostrzanych napomnień?...

— Och! gdybym tem tylko zraniła siostrę, jakżebym była szczęśliwa w tej chwili! Słuchaj, Filipie, gorszą mam winę na sumieniu; a ponieważ tą udręką teraz tylko żyję, więc sądziłam, że o tamtem chcesz ze mną mówić. Dlatego tak chętnie usłuchałam twego zawezwania; dlatego tu przyszłam. Wiodła mnie do ciebie nadzieja, że ty jeden zdołasz odwrócić cios, który zadałam Nelly, tymczasem ty mówisz mi tylko o Werze, o moim z nią sto-

sunku, którym skrzywdzić nikogo nie mogłam, podczas gdy — u w o d z ą c Leonarda Sax'a...

— Jak to? — szepnął zaniepokojony Kross.

— Tak! z mojej winy rozeszli się...

— Oddałaś się?

— Nie, do tego nie doszło i pewnie nie byłoby doszło nigdy.

— Więc?

— Nelly zastała mnie w pracowni w uścisku Leonarda.

— Jak się to stać mogło?

Ellen uśmiechnęła się gorzko.

— Wszystko więc dla nich stracone? — pytał Filip.

— Obawiam się, że — tak.

Filip popadł w zadumę.

Ozwał się po chwili:

— Spróbuję pomówić z Leonardem.

Ellen zwróciła ku poecie rozjaśnioną na chwilę twarzyczkę:

— Ach! jakże byłabym ci wdzięczna.

— Czy Leonard kocha cię?

— Nie.

— A ty?

— Nie.

— O! wy niedobre stworzenia! — westchnął Kross.

— Wiem. Mimo to ratuj, jeśli możesz. Sama próbowałam, przebłagałam Nelly, darowała

mi, przebaczyła; ale czy zechce jeszcze wrócić do Leonarda? Jemu czyniłam gorzkie wyrzuty, żądając, by przeprosił Nelly, by wrócił do niej. Wyśmiał mnie. W tem całe nieszczęście!

— Pomyślę o tem — rzekł po zastanowieniu Filip. — Ale Leonard uparty...

Wróćmy jednak do willi „Bon sens".

— To mniej straszne. Wiem, wiem, że masz prawo najgorszemi wyrzutami sponiewierać mnie; a jednak o tem rozmawiać mogę swobodnie, bo nic to mnie nie boli, a tamto.

— Ellen! widzę, że nie wiesz o wszystkiem i za to Bogu dziękuję, bo gdyby tamto dalsze działo się z twoją wiadomością, zwątpiłbym o tobie.

— O czem mówisz?

Kross jął nerwowo mierzyć krokami wytarty dywan, poczem nagle zatrzymał się.

— Pamiętasz, Ellen, na balu tego cynika, który napastował cię, a którego wyprosiłem za drzwi, stając w twej obronie?

— Maska! — jęknęła Ellen.

— Masz rację: maska! Znasz tego pana?

— Skądże?! Nie znam.

— Czy wiesz, że takich masek jest bardzo wiele?

— Nic o tem nie wiem. Prześladowały mnie na balu, potem we śnie. A tamten najgorzej. Ale to przywidzenia chyba...

— To żywi ludzie. Nie znasz ich, Ellen, ale oni ciebie znają, znają ciebie tak, jak tylko mąż lub kochanek znać powinien.

— Filipie! co mówisz? nie dręcz mnie!

— Masek tych jest około stu. To żywi a zwyrodniali mężczyźni, przeważnie niemłodzi już. Każdy z nich zna twoje nagie ciało do najdrobniejszych szczegółów. Każdy z nich po wiele razy patrzał na twe wyuzdane pieszczoty z Werą w willi „Bon sens". Po wiele, wiele razy dawałaś widowisko tym pijanym, wygolonym, odzianym w fraki, salonowym panom, ich plugawym ślepiom podawałaś na uciechę swe panieńskie ciało, a twoje dreszcze rozkoszy, twoje pieszczoty i pocałunki ofiarowane hrabiance były miłą rozrywką tych obmierzłych masek. Czy słyszysz? czy wiesz o tem?

— Aaa! — krzyknęła Ellen przeraźliwie, zerwawszy się z krzesła. — Nie męcz mnie, to nie prawda, to być nie może! Skąd masz takie wiadomości?

— Usiądź, wysłuchaj do końca... Nie dość na tem. Setki fotografij twojego nagiego ciała rozrzucone po mieście, każda z owych masek posiada te fotografje, na których ty, Wera, ba! nawet ów murzyn...

Ellen słuchała, zaciskając pięści na twarzy; nagle zerwała się ponownie, wołając rozpaczliwie:

— Nie! nie! nie! — To być nie może! to niemożliwe! Nie! nie!

Kross stał zimny naprzeciw Ellen. Żal mu było dziewczyny, ale wiedział, iż musi wytrwać do końca. Z portfelu dobył fotografję, wyciągnął rękę i potrzymał miniaturę przed oczami Ellen. Dziewczyna patrzała w obrazek, otworzywszy szeroko z przerażenia usta; oczy jej, rozpoznające buduar hrabianki, meble, skóry i kobierce i dwa w wyuzdanym uścisku splecione ciała kobiece — jej i Wery... jej rozpaloną z rozkoszy pijaną twarz, i twarz Wery schowaną, to wszystko rozpoznające oczy dziewczyny stały się w swym bólu i grozie tak wielkie, tak szczere, że Filip nie mógł w nie patrzeć i sam się odwrócił.

Wtedy rzuciła się Ellen twarzą na stół a spazmatyczny szloch rozlegał się długo wśród ciszy odliczanej starannie tykaniem ściennego zegara.

Filip stał oparty o ścianę. Dusza jego i serce płakały wraz z dziewczyną. Lecz Kross musiał wytrwać do końca; musiał być twardy. Pozwolił Ellen wypłakać wszystko co było w niej złego; czuł, że wraz z temi obfitemi łzami spływa z niej grzech, że z chwilą każdą staje się czystsza. Powoli płacz Ellen zamieniał się w cichy a rytmiczny pojęk z głębi du-

szy idący ku jasności dnia, co niebawem znów zaświta.

Zegar wybił godzinę dwunastą.

— — — — — — — — — — — —

Wiedział dobrze Kross, że zadanie swoje już spełnił. Wiedział również, że istnieje taki stan duszy, który człowieka, a zwłaszcza kobietę stawia na krawędzi twardej rzeczywistości; tam oto dwa są tylko odchylenia; każde w przeciwnym kierunku. Zdruzgotana ciosem równowaga może pchnąć nieszczęsną istotę w kierunku niewiadomym. Czy tedy Kross może teraz zostawić dziewczynę samą na owej śmierciodajnej krawędzi bez podania ręki? — O! jakże mylił się przed chwilą, mniemając, iż zadanie swe spełnił! Prawda, brutalnem uderzeniem zdruzgotał dotychczasowość życia Ellen, czy może zostawić ją powaloną na drodze, a sam odejść? Nie! podźwignąć, podać rękę, poprowadzić!... Wielką otoczyć a tkliwą opieką, podać własne serce...

Przecież ją kocha... Lecz, czyż wolno mu skorzystać?...

Jakże wygląda rzecz widziana przez pryzmat dnia codziennego, oceniona przez szkła otaczających ich ludzi?

On ułomny, ubogi, żonaty, małoznaczny literat — słowem, postać nieszczególna — — —

Ona najpiękniejsza, urodziwa, pożądana przez najświetniejszą młodzież, córa wielbionego, sławnego i bogatego Wisdora... — cóż za zestawienie.

Tak! jemu nie wolno skorzystać z wytworzonej sytuacji; nie wolno mu już kochać Ellen!

— — — Tu spostrzegł Kross, iż w rozmyślaniach swych poszedł za daleko. Jeszcze nie czas o tem myśleć, jeszcze tak wiele do zdziałania; tyle wyjaśnić jeszcze trzeba! a szczególnie musi w dziewczynie stworzyć duchową równowagę. Spojrzał na Ellen. Musiał rozmyślać długo. Jakże bowiem zmieniła się jej twarz! Oczy spokojnie przymrużone, ledwie dostrzegalny ślad minionego płaczu, a postać cała siedząca na krześle przypominała teraz swym spokojem raczej Nelly. Długiego milczenia nie chciało żadne z nich przerwać. A jednak tyle zostało jeszcze do wyjaśnienia!

— Ellen! — ozwał się wreszcie łagodnie Kross i umilkł jakby nie miał sił do dalszych słów.

— Słucham — odparła głosem opanowanym już całkowicie.

— Pozwól, Ellen, że teraz zastanowimy się, co należy...

— Przepraszam — przerwała — jeszcze nie; wprzódy poproszę cię o parę wyjaśnień. Jaką

drogą doszedłeś do, do — zdemaskowania mnie?

— Prosty zbieg okoliczności. Hrabianka Wera zamówiła u mnie wydania pornograficznego albumu; miałem opracować tekst; dostarczyła szereg rysunków i fotografij, według których miały być wykonane ryciny. Album przeznaczone po egzemplarzu dla „klientów“ hrabianki.

— Klientów? jakich?

— Dla owych stu masek.

— To klienci hrabianki? w jakiej formie?

— Ellen! widzę, że o niczem nie wiesz. Na Boga! jak cię oszukiwano! Toż willa „Bon sens“ była i jest niczem innem jak wykwintnym domem rozpusty. Ci panowie, te maski, to klienci hrabianki...

Ale posłuchaj: z pośród wielu fotografij i rysunków wziąłem jedną pod pozorem, iż potrzebna mi dla układania tekstu do projektowanego albumu. Poznawszy ze zgrozą ciebie na fotografji, chciałem biec do hrabianki Wery, rzucić jej w twarz wypłaconą mi zaliczkę i zagrozić policją obyczajową. Ale wczas zorjentowałem się; może to jednak nie twoja podobizna? może przywidzenie? a zresztą, przedewszystkiem należy ciebie oszczędzić i ciebie ratować, jeśli fotografja mnie nie omyliła. Myśl, że ty padłaś ofiarą przestępczego

procederu, nic o tem nie wiedząc, obciążona tylko winą uprawiania miłości lesbijskiej, ta myśl dodawała mi siły, przymuszała do zastanowienia i działania rozważnego. Na ohydny podstęp, którym ciebie hrabianka złowiła, postanowiłem odpowiedzieć podstępem. Udałem się do willi „Bon sens“ na konferencję. Hrabiance, która mnie przyjęła niezwykle łaskawie, która niemal obnażała się w mojej obecności, chcąc mnie pozyskać całkowicie dla swego „przedsiębiorstwa“ — przedłożyłem zmyślony plan wydania owego album. Wyraziłem życzenie poznania bezpośredniego nastrojów willi. Zdecydowała się. Musiałem grać komedję dobrze. Zaprosiła mnie na następny wieczór i wręczyła sekretny bilet wejścia. Następnie zapoznała mnie z urządzeniem willi. Otóż na pierwszem piętrze znajdują się kabinki, a z każdej z nich wygląda okrągłe, małe okienko na salon z alkową. Kabiny są ciemne, przez okienko każdej widać wnętrze salonu, w którym odbywały się wasze orgje. Otóż „klienci“ hrabianki, to stali bywalcy owych kabinek... Rozumiesz teraz?...

Umilkł. Ellen siedziała z zamkniętemi oczami.

— Mów dalej — rzekła spokojnie po chwili.

— Poznawszy więc — opowiadał dalej Kross — całą sytuację willi, jakkolwiek decyzja moja wydała mi się straszna i potworna, po-

stanowiłem przekonać się naocznie czy panna Ellen Wisdor rzeczywiście jest wciągnięta w tę aferę i czy opowiadanie hrabianki jest prawdziwe. Nie mogłem bowiem z tem wszystkiem przystąpić do ciebie bez tej pewności, że przychodzę z niezaprzeczoną prawdą. Wieczór ostatniej środy był dla mnie straszliwą męką.

Ubrawszy się we frak, poszedłem. (Bo tam tylko we fraku pokazywać się wolno). Wstęp do willi „Bon sens" kosztuje pięćdziesiąt dolarów; ja byłem z opłaty zwolniony jako „techniczny współpracownik". Drżący wszedłem po schodach na piętro, drżący wstąpiłem do ciemnej kabiny. Po chwili oczekiwania zajaśniało światło w krążku szyby i nie mogłem zdecydować się tam spojrzeć. Wreszcie znalazłem na to siły. Ujrzałem w pierwszej chwili dziki taniec murzyna z hrabianką. Po skończonej orgji znów ciemność (jak w teatrze) — poczem w nowem barwnem świetle ujrzałem ciebie, Ellen i Werę...

Tu załamał się głos poety. Urwał na chwilę, poczem rzekł:

— Nie mówmy już co dalej było, wiesz sama. Powiem ci tylko o sobie. Cofnąłem się jak piorunem rażony. Zamknąłem oczy i tylko z sąsiednich kabin dolatywało mnie żywe poruszenie, snać podobały się momenty widowi-

ska... Wtedy zaciskałem pięści, chciałem strzelać do zebranych masek, strzelać do hrabianki i porwać cię z tej jaskini, unieść, uchronić przed dalszą zniewagą. Ale rozsądek wziął górę. Twoja cześć — moja miłość! Zgniotłem więc całą furję w sobie i złamany uciekłem z willi. Po upływie kilku godzin napisałem list do ciebie... Zdaje mi się, że tak było lepiej...

Długie milczenie. Oboje patrzeli w głąb samych siebie, a wielka cisza zdawała się szeptać: co teraz? co teraz?...

— Co teraz? — zawtórowała cicho Ellen.

Kross milczał. Po niejakiej chwili Ellen wstała i podeszła do Filipa. Drżącą ręką chwyciła jego dłoń. Tak stała przez chwilę, poczem nachyliwszy się, pocałowała rękę poety.

On drgnął, lecz ręki nie cofnął, jeno szeroko rozwartemi oczami patrzał przed siebie a po policzkach jego jęły spływać wielkie łzy.

— Co teraz? — pytała Ellen.

— Opuścisz miasto, porzucisz to środowisko, pójdziesz w świat...

— Dokąd?

— Obojętne...

Cofnęła się Ellen i siadła, jak wprzódy; bladą twarz ujęła w dłonie, przywarłszy powieki. W kącie usiadł ciężko Filip.

Głos dziewczyny dobył się zmieniony z poza

jej dłoni; treść jej słów nie mogła być dosłyszana.

Z za okien wdzierało się blade światło poranka. Pierwszy szczebiot ptactwa przywołał oboje do przytomności.

Kross podszedł do dziewczyny:

— Czy opuścisz to środowisko?

Ellen patrzała mu w oczy przez łzy, które ledwie powstrzymać zdołała.

— Pójdziesz w świat? — pytał.

— Czy pozwolisz, że jutro dam ci na to odpowiedź?

— Zgoda.

Rozejrzał się i dodał:

— Już jasno na dworze; to znaczy więc: dzisiaj dasz mi odpowiedź. Czy chcesz przyjść tutaj?

— Nie tutaj, Filipie! — prosiła — nie tutaj!...

— Spotkamy się więc w parku przy fontannie.

— O której godzinie? czy chcesz o trzeciej?

— Dobrze. Teraz idź do domu, odpocznij; spróbuj usnąć. Potem namyśl się, na zimno rozważ i przyjdź do parku.

— — — — — — — — — — — —

Filip Kross, zbliżając się do swego domu, czuł śmiertelne zmęczenie. Moc jego wewnętrzna, która pozwoliła mu być twardym, nieu-

stępliwym wobec Ellen, teraz załamała się w sobie.

Różowe słońce poranka oświetlało izbę, gdy poeta doń wszedł, by rzucić się w fotel, z którego przed godziną wstała zrozpaczona Nelly. O! czyżby mógł domyśleć się, że w tych samych godzinach, w których on tak nielitośnie przybijał do krzyża Ellen Wisdor, tu w jego mieszkaniu uginała się Nelly Wisdor pod okrutnemi razami jego żony?!

A jednak niebawem miał się o tem dowiedzieć; wszelako jasna prawda o tem nie dotarła nigdy do jego zmęczonego mózgu.

Tymczasem siedział w fotelu, nie zrzuciwszy nawet z siebie palta.

Po pewnym czasie spostrzegł, iż Luiza nie śpi, lecz patrzy na niego pytająco a bojaźliwie, wyzywająco a jednak pełna skruchy. Oczy jej pytały atakujące, to znów tchórzliwie cofały się pod zasłonę powiek: Noc... całą noc... co ty? — co ja?... Czy równie krwawą walkę stoczyłeś? czy równy odniosłeś triumf? Ach ten poranek słoneczny!

— Nie śpisz, Luizo?

Zaśmiała się chrypliwie.

Filip aż otrząsnął się. Znów długie milczenie.

Filip zapragnął czarnej kawy. Wstał i począł krzątać się po kuchni. Zbił filiżankę.

Trzask stłuczonej porcelany doprowadził Luizę do pasji; zerwała się, kazała odejść mężowi; sama zagotowała kawę. Filip siedział znów w fotelu; Luiza podała mu kawę i siadła na krześle, przekrzywiwszy głowę, co jej nadawało wyrazu osobliwego. Para małżonków! któżby w to uwierzył? a jednak. Luiza widziała siedzącego w palcie zmęczonego, zgryzionego męża. Filip spoglądał na żonę, siedzącą sztywno w koszuli, drapiącą się po ramionach, a przekrzywioną w bok z niewiadomego powodu. Różowe słońce opromieniało tę parę małżonków.

— Pożałuj, żeś spędził noc poza domem — ozwała się pierwsza Luiza. — Wcale nie wiesz, kogo gościłam; kto przed godziną opuścił nasz dom. Tak, tak, całą noc tu spędziła...

— O kim mówisz?

— O pannie Ellen Wisdor.

— Nie bredź!... — szarpnął się Filip, ale pomyślał zaraz: skąd Luiza domyślać się może o osobliwej a tragicznej schadzce jego?

— Przysięgam ci — zapewniała Luiza — przysięgam, że panna Ellen Wisdor spędziła tu całą noc; karmiła naszą...

— Czyś zwarjowała?

— A cóż? nie wierzysz, że panna Wisdor mogła zaszczycić nasz dom? Może ci się to

wydaje nieprawdopodobnem, że mogła spędzić tu noc całą podczas twej nieobecności — co?!

— Dość tego! — huknął Kross pięścią w stół.

Przeraziła się Luiza, lecz nie na długo; podjęła znów uparcie:

— Może masz i dość, ale i ona dość miała! zapewniam cię. A ty? cóż? — z kim spędziłeś tę noc poza domem? żałuj, że cię tu nie było.

— Z kim spędziłem noc? oto żebyś wiedziała: z panną Ellen Wisdor!

Luiza zaśmiała się przeraźliwie:

— O nie! tym razem mnie nie zwiedziesz! Widocznie obok niej masz jeszcze inną kochanicę. O gdybym wiedziała! czemu jej tego nie powiedziałam? — Ale wiesz? — ona nie chciała karmić małej; może naprawdę jeszcze...

Kross przestał słuchać bredni żony i pozwolił jej mówić do syta. Upór w dowodzeniach zastanowił go wreszcie, ba! nawet zaniepokoił. Czuł się jednak tak zmęczony, że nie miał ochoty na dyskusję.

Ale po pewnym czasie wypadł z równowagi.

— Do stu djabłów! Luizo, co pleciesz? Nie mogła tu być panna Ellen; ona była ze mną, przez całą noc rozmawialiśmy o straszliwych rzeczach.

— I ja z nią także! Także o rzeczach straszliwych. To ciekawe, to bardzo ciekawe.

— Luizo! — wrzasnął Filip. — Nie doprowadzaj mnie do ostateczności!

Luiza zaśmiała się tak wyzywająco, jak tego Filip jeszcze nigdy nie był u niej doświadczył. Śmiechu tego znieść nie mógł. Zerwał się, chwycił za kapelusz i uciekł z domu.

Energicznym krokiem przemierzała Ellen ulice, zdążając wczesnym rankiem do domu. Cios, który ugodził tak niespodzianie, zdawał się stwarzać w niej nową energję życia. Nie ugięła się ani załamała w sobie; miała przecież oparcie w okrutnym wprawdzie i nieubłaganym, ale bezgranicznie oddanym jej człowieku.

Nie mniej jednak czuła Ellen oddalające się od niej bezpowrotnie dotychczasowe życie, pełne radości, powabu i beztroski. Z życiem tem zerwać teraz musi; jakiś nieodwołalny przykaz, jakiś mus pędził ją w niewiadome, pełne grozy, ale i dostojeństwa wewnętrznego, nowe życie...

Teraz szła ostrym krokiem naprzeciw rodzicielskiego domu, aby mu spojrzeć w twarz, zapytać się — a potem może, może pożegnać...

Czy nie zawaha się? Wyzna wszystko siostrze, zasięgnie rady, ale nie pozwoli się odwieść od pójścia po południu do fontanny w parku i tam ostatecznie przypieczętować wolę Filipa Krossa i własną.

A więc wola jego jest jej wolą!? A więc jest ktoś na świecie, który zdołał jej duszę znie-

wolić?! A więc jest ktoś, kogo Ellen — kocha?!...

Nie zdążyła sobie odpowiedzieć na te pytania, bo oto wstępowała już do hallu ojcowego pałacu...

Wolała, aby jej nikt nie widział w tej chwili, nie tyle z racji osobliwej pory jej powrotu (do tego byli przecież przyzwyczajeni), ile z powodu jej obecnego stanu psychicznego. Przed rozmową z Nelly musi przecież odpocząć, zmrużyć zmęczone oczy choćby na dwie godziny; a potem porachować się w sobie; nie pierwej może stanąć przed siostrą! Z hallu więc prędko skręciła w korytarz, zmierzając prosto do swej sypialni. Wtem zauważyła jakiś, nie dający się wytłomaczyć niepokój w domu. Przystanęła na chwilę. Wyraźne, gorączkowe bieganie po pokojach i po schodach; aż oto nagle rozdrażniony głos ojca z za ściany: „Gdzie panna Ellen? zbudzić panienkę!“

W odpowiedzi zlękniony szloch panny służącej: „Panienki niema w pokoju“.

— Szukają mnie! — pomyślała Ellen. — Czemu mnie szukają? Czemu ojciec już wstał i hałasuje?

Za nic nie chciała spotkać się Ellen z kimkolwiek w tej chwili! Spiesznie pobiegła korytarzem do swego pokoju, zamknęła drzwi na klucz, zrzuciła suknię i bieliznę, umyła się

i zasunąwszy szczelnie story, położyła się do łóżka.

Mimo zmęczenia usnąć nie mogła; kotłujące się myśli rozsadzały jej czaszkę, świdrowały w oczach, a dolatujący niepokój domowy drażnił aż do rozpaczy. Poduszką przycisnęła głowę, aby nie słyszeć biegania po schodach i niespokojnych nawoływań. Wtedy zaczęła rozmyślać o Filipie.

A więc Ellen uległa jego miłości! Kocha go widocznie, przecież poddała się jego woli, jego rozkazowi! Czy tak? — Nie! jeszcze nie! jeszcze przecież nie dała mu ostatecznej odpowiedzi... O godzinie trzeciej pod fontanną w parku!... Jeszcze czas! jeszcze sama jest panią swej woli...

Ha! tak osądzała przecież swe życie dotychczasowe! tymczasem była piłką w igrających rękach Wery!

O! gdyby to w rękach igrających! ale przecież Wera...

W tej chwili dreszcz przeszedł przez ciało dziewczyny. Ellen zaczęła szarpać w gniewie i upokorzeniu koszulę na piersiach. Tak! przecież Wera od długiego już czasu handlowała jej ciałem! Przecież od obcych ludzi pobierała pieniądze, przecież... Ach! Straszliwe maski! Teraz dopiero jęła sobie Ellen uprzytomniać jasno historję prześladujących ją masek. Ha!

wtedy na balu! zanim Kross poskromił natręta, jak on to jej odpowiedział, gdy mu rzuciła uwagę, że może sobie szukać innej ofiary i w innym lokalu? Jak on to odpowiedział? — Aha! On powiedział przecież: „Po balu, po balu!“ — Teraz dopiero zrozumiała cyniczną odpowiedź łotra. I on miał rację, bo po balu widział ją nagą w objęciach Wery, wyuzdaną, pijaną pieszczotami kochanki! A było ich wielu, którzy ją wtedy oglądali, a wszyscy oni oglądali ją tak często! Ona była codzienną strawą ich chuci, ich wyuzdania!... Boże! Boże!... Panna Ellen Wisdor — pospolita ulicznica!! Ha! czy ona wie, co z nią czyniono? Przecież raz (a może i częściej?) przez sen widziała tę potworną maskę tuż przy sobie, czuła jej oddech, czuła palce mężczyzny, błądzące po jej nagiem ciele!...

— Wero! Wero! Zdradziecka, zbrodnicza kochanko!..

Cóżeś ze mną uczyniła!!

W zmęczonym, usypiającym mózgu przesuwały się postacie i obrazy jak w kalejdoskopie.

Wera, maski... Leonard, maski, Wera... Melton, Wera, Leonard... maski, maski... Filip, Wera... maski, Filip, Filip...

Puls w skroniach wyliczał dziewczynie te majaczące zjawy, iżby ich nie pomyliła...

Wreszcie szerokim woalem swej spokojności przysłoniła wszystkich płynąca postać Nelly... Kogóż to trzyma za rękę widmo siostry? Kross! Filip Kross, garbaty poeta! Nelly i Filip! oboje patrzą na Ellen... Czworo patrzących oczu ją sądzi!...

— Filipie! Nelly! — krzyknęła rozpacznie Ellen, gdy obie postacie zaczęły się rozpływać w jej oczach.

W odpowiedzi usłyszała trzask, stukot, jakiś nieokreślony łoskot. Siadła na posłaniu pełna trwogi i żalu... Coraz gwałtowniejszy hałas, jakieś szarpanie drzwiami.

Głos męski, pełen gorączkowego zniecierpliwienia woła: Ellen! Ellen!

Dziewczyna rozejrzała się po pokoju. Oprzytomniała. Ktoś dobijał się do drzwi. Zerwała się i pobiegła ku drzwiom, które trzaskały i dygotały z niewiadomej przyczyny. Ellen poznała gwałtowny głos ojca.

Otworzyła. Wpadł Konrad Wisdor.

— Na Boga! — wołał wściekły — czyś oszalała? Śpisz o tej porze, gdy my od rana w nieszczęściu!...

— Co się stało, ojcze! — pytała przerażona Ellen, nie mogąc zebrać myśli, a trzęsąc się w koszuli z wrażenia, czy z chłodu. — Co się tu dzieje?

— O! niedobra dziewczyno! nic nie wiesz? nic nie wiesz, co się stało?!

— Mów, ojcze! — krzyknęła Ellen w rozpaczy złego przeczucia.

— Nelly umarła! Nelly się otruła!!

Miarowy rytm pośpiesznego pociągu pruł cierpliwie głuszę niezmierzonych przestrzeni, które słały się wokół poszumem lasów, szmerem stepów i łanów.

Potrójne uderzenia kół wagonu o spojenia szyn wymierzało pochłanianą przestrzeń, jakby ktoś komuś wyliczyć się musiał z osiągniętej chyżości kurjera; a w stukocie tym niezmiennym, nastawiwszy pilnie ucho, słyszałbyś melodję upartą, która, gdy się ucha przyczepi, nie wyjdzie zeń, aż wespół z zapomnieniem o podróży całej.

O! jakże uspokaja ta muzyka!

Z zamkniętemi oczami, blada, niczem płatek lilji unoszony na fali wzburzonego jeziora, cicha i spokojna siedziała Ellen w swym przedziale. Jakaś dama zda się... dama w starszym wieku naprzeciwko... Czy minęli już który przystanek? a może więcej stacyj? Czy Ellen spała? Nie wiadomo. Gdy otworzyła oczy damy już nie było, lecz siedział starszy pan z złotemi binoklami. Czytając gazetę, ukradkiem spoglądał na białą twarz pięknej, niewymownie smutnej współpodróżniczki.

Ellen wydało się po niejakim czasie, że ów pan przemawia do niej łagodnym, dobrym głosem. Słyszała słowa jego, ale nie wiedziała, co mówi, o co pyta, czy wogóle coś mówi. Wsłuchana w rytm kół pociągu nie miała czasu na zastanawianie się nad tem. Pan przeszedł do przyległego przedziału. Została sama. Teraz jej dobrze, tak bardzo dobrze! Jeden rytm niczem nie mącony, jedna niewiadoma, niezmierzona wokół przestrzeń...

Teraz dopiero jest Ellen w stanie przeczytać list, którego otworzyć do tej chwili nie miała odwagi. Teraz dopiero!...

Sięgnęła do torebki; wolno, jakby z nabożnem zastanowieniem przedarła kopertę, spojrzała z uwagą na adres: „Tylko do rąk mojej drogiej Ellen".

Z czcią dobyła list z koperty.

Czytała:

23. VIII. 26. godz. 6 rano.

Ellen! moja droga Ellen!

Zbyt wiele może przeżyjesz wrażeń, zanim przeczytasz ten list, abyś mogła słowa moje ostatnie, które przesyłam ci za życia, ocenić tak, jak tego pragnę. Boję się, że list ten cię zasmuci, rozdrażni. Mimo to nie mogę ci go oszczędzić, może dlatego właśnie, że już nie

siebie mam na oku, ale ciebie, tylko ciebie i twoje życie.

Z całego serca, z głębi duszy wołam Ci: Ellen żyj!! żyj i bądź szczęśliwa! A czy ty wiesz, czem jest okrzyk „żyj", dobywający się z piersi człowieka, który umrzeć musi za chwilę? Młoda ja, życie uśmiechało się do mnie jeszcze tak niedawno, a teraz, już teraz muszę wyrzec się życia! Dlatego wołam tobie, Ellen: żyj!

A żyć — to znaczy kochać i wierzyć.

Kochaj więc i miej wiarę...

Ellen! We mnie załamała się wiara w Człowieka i wiara w Miłość, dlatego muszę przestać żyć...

Słuchaj, siostrzyczko, jedno wyjaśnienie, abyś nie dręczyła się przez życie, że z żalem do Ciebie poszłam do grobu. Wiesz, że kocham Leonarda i jeżeli po śmierci jest czucie, jest miłość, dalej niezmiennie kochać go będę aż w wieczność. On kochać mnie przestał. Czy szukam winy ?— jego? Twojej? Nie! Ale w tem wszystkiem widzę możliwość (choć temu zaprzeczyłaś), że miłość jest między Wami. A jeśli tak jest, to wołam Wam, ja, stojąca w obliczu śmierci: żyjcie, bądźcie szczęśliwi!...

Ellen, siostrzyczko moja! piękna jesteś, umiesz być dobra i zdolna jesteś uszczęśliwić

mojego Leonarda! Błagam cię, odchodząc na zawsze, daj mu szczęście, którego ja dać nie umiałam! Ale to jeszcze nie wszystko. Jest coś, co mojej śmierci urąga. Wczoraj jeszcze myślałam, że postanawiam coś wielkiego, coś ważnego, dlatego nie mogłam zdecydować się, nie miałam odwagi uczynić coś wielkiego. Tymczasem dzisiejszej nocy przekonałam się, że to, co chcę uczynić, jest zgoła błahe, nieważne, obojętne. Ta noc wydrwiła mój poważny sąd o śmierci, to też już nie lękam się...

Posłuchaj: Wczorajszego wieczoru o późnej godzinie znalazłam się, niewiadomo dlaczego, w mieszkaniu nieznanej mi kobiety. Nieszczęśliwa to była istota i straszliwa... Kazała mi karmić swe dziecko, a gdy je odepchnęłam, przeklinała mnie i męża swego, wołając do mnie „panno Ellen Wisdor!“

Oo! jakże szydziło ze mnie to przekleństwo nieznanej kobiety, której nic nie zawiniłam. Ona zaś przeklinała mnie przez noc całą, do białego dnia, a ja posłusznie słuchałam przekleństwa... Nie wiem, co to było, nie wiem, co miałaś wspólnego z tą kobietą lub z jej mężem, wiem tylko, że jej przekleństwo zdejmowałam z Ciebie i niem sama siebie obarczałam. Wysłuchałam, przecierpiałam... lecz wybiegłam na ulicę, czując się taką czystą i tak pogodną

jak chyba onej tylko chwili, gdy oddałam me serce na zawsze Leonardowi.

Czy Ty to możesz zrozumieć najmilsza moja, co to znaczy umieć niewinnie przyjąć przekleństwo nieszczęśliwego człowieka bez buntu, bez protestu? Ja to umiałam i nagle to, co wydawało mi się straszne, trudne do przyjęcia, stało się dla mnie bez znaczenia.

Wszedłszy do ślicznego mojego pokoju, w którym tyle chwil szczęśliwych spędziłam z Leonardem, do tego pokoju, który przesycony jest mojem szczęściem, zawołałam z lekkiem sercem: „morituri te salutant“. Zaraz też siadłam do tego listu, aby Cię przeprosić, że osobiście nie pożegnałam się z Tobą. Teraz czas skończyć.

Żal mi ojca, który się pewnie zmartwi, ale on przecież taki nieugięty. W każdym razie przeproś go, jeśli mu przykrość sprawiłam.

Ty zaś, najdroższa moja Ellen, wiem, odczujesz śmierć moją boleśnie, ale otrząśnij się, bo wierzaj, iż lekko mi umierać w tem przeświadczeniu, że Ty żyć będziesz i że będziesz szczęśliwa.

Już kończę, spoglądam na zegar: wpół do siódmej. Słońce tak ładnie świeci i w tej chwili lęk mnie ogarnia i żal. Nie boję się śmierci, ale przedśmiertnej męczarni. Nie znam trucizny,

która pozwoli umrzeć bez bólu. Oo! tego bólu za chwilę boję się bardzo...

Żegnaj Ellen i staraj się zapomnieć o mnie jaknajprędzej. Żyj i bądź szczęśliwa.

Twoja zawsze Cię kochająca siostra
Nelly.

— — — Miarowy rytm pociągu pruł cierpliwie tępą głuszę niezmierzonego bólu unoszonej tak spiesznie w nieodgadnioną dal dziewczyny. Im bardziej zwalniało tętno w jej skroniach, tem gwałtowniej pracowały żelazne koła mknące po szynach; im bardziej stygło oblicze Ellen, tem goręcej dyszała maszyna, buchająca kłębami dymu i pary. A rytm nieustanny odliczał nieomylnie przestrzeń już przebytą.

Ellen schowała list do torebki, a z oczu jej płynęły strumienie łez, choć twarzy nie wykrzywił żaden skurcz; nerwy stępiały od nadmiaru bólu.

Ellen nie wiedziała, ile godzin tak przesiedziała w wagonie, nie oczekiwała zatrzymania się pociągu, bo i w jakim celu?

Dokąd jechała?

Niewiadomo poco dobyła nagle bilet z torebki; jęła odczytywać. Nie znała stacji wypisanej na bilecie — pocóż jej ta wiadomość? W jaki sposób bilet ten kupiła? czy ona go

kupowała? O! musiało to być bardzo dawno! nic nie pamięta!

Pociąg zaczął nagle zwalniać biegu. Ellen czuła, że cel jej podróży zbliża się. Wstała, bezwiednie poprawiając fryzurę i fałdy płaszcza. Torebkę trzymała kurczowo przy sobie. Pociąg zatrzymał się na jakiejś małej, nieznanej stacji. Ellen wysiadła, przycisnąwszy do piersi torebkę, a zapomniawszy o walizce. Szła przez dworzec, oddała machinalnie bilet; wołano za nią, lecz to jej nie interesowało. Przecisnąwszy się przez ciżbę podróżnych ominęła ulicę najbardziej ruchliwą, skręciła w bok, tak iż po chwili znalazła się już poza miastem.

Echo miarowego stukotu kół żelaznych dźwięczało jeszcze w skroniach dziewczyny i jęło kłócić się z nagłą a niespodziewaną ciszą. Od czasu do czasu zaturkotały koła wozów, potem krótkie świśnięcie przelatującego samochodu, tuman kurzu; znów cisza.

Ellen wydawało się, że nieustający rytm pędzącego wciąż jeszcze pociągu, wpruwający się w tę otaczającą ciszę, to pazur przeszłości, sięgający ją, a nie mogący uchwycić. Przyspieszyła kroku; niemal już biegła, a jednak straszliwy pazur był wciąż tuż, tuż...

— — — Wreszcie skołataną głowę dziewczyny otoczył kojący szum i cień.... To las! to może las!... Szła jeszcze Ellen czas pewien,

lecz nagle... tak! nagle owładnęło nią bezmierne osłabienie. A więc wreszcie poczuła swe ciało; to jej dało świadomość życia.

Przystanęła; rozejrzała się i niewiadomo dlaczego zboczyła w gąszcz lasu. Tam jęła przedzierać się przez gałęzie i liście, a z piersi jej dobywał się coraz cięższy oddech, coraz głośniejszy jęk. Wtedy usłyszała własny głos i dowiedziała się, że żyje, że siły ją nie opuściły, że idzie, idzie, idzie...

Aż oto zły korzeń, sterczący z ziemi, podstawił się pod strudzoną nogę dziewczyny; szarpnął, przyciągnął ku sobie. Na wilgotny kobierzec mchu padła Ellen bez czucia i bez świadomości, ściskając na piersi torebkę.

Echo miarowego stukotu kół żelaznych przymierało w tej chwili w czaszce półżywej dziewczyny. Kojący sen — oby był wieczny!...

— — — — — — — — — — — —

Gorącem dnia zrumieniony jeszcze księżyc wychylił się z poza błękitnej wstęgi falistego horyzontu. Chłód nocy przeleciał przez wioski, ogrody, łany, przez las i gęstwinę, że orzeźwiły się trawy, stuliły liście. Niebo przybrało barwę stali, udzielając miesiącowi swego chłodu, jako że sunął już w znacznej wysokości poprzez rozsiane, srebrne obłoczki.

Stracił więc księżyc swój rumieniec i bladem

obliczem spojrzał w gęstwę leśną; tam szukał czegoś, coby zawtórowało mu życzliwie pokrewnym odblaskiem. Ujrzał się w cichem zwierciedle bagna wśródleśnego. Nie zaciekawił go ten znany już aż do znudzenia, tani efekt natury. Księżyc wzrokiem szukał innego wrażenia — niecierpliwił się, jakoby chciał komuś odkryć coś nowego, pokazać coś ciekawego dlatego właśnie, że mu się to nie udawało.

Aż wreszcie! — Czyżby?!... Przystanął i chciał wołać, chciał pokazać! W gąszczu leśnym, w koronkowej, zroszonej aureoli paproci znalazł twarz, piękną, pokrewną... twarz, która w swej białości była w tej chwili wiernem jego twarzy odbiciem.

Miłosnem spojrzeniem wyczarował twarzy tej spojrzenie. Smutne oczy popatrzyły wprost w księżycowe oblicze.

Mówią, że ty wszystko wiesz, miesiącu blady, wszystko, co się zdoła ukryć przed słońca wrażym promieniem. I gdyby nie głupowaty twój smęt, który z oblicza twego wyziera w poniektórych chwilach nocy, tak! gdyby on nie zdradzał twojej istoty, trzebaby pytać się ciebie o przyczynę zła i jego tajemnicę i w tobie szukać zagadki wnętrznego smutku.

Ale bólu, który pochodzi z samego dna duszy, z rdzenia człowieczej istoty ty, miesiącu

blady, oszukać nie zdołasz. Pójdź swoją drogą, cofnij swe promienie sine, skoroś już zadość uczynił swej psocie, odsłaniając leśne schronienie skołatanej duszy. Raduj się i spiesz dalej po swym niebieskim szlaku — — — zdradziłeś już, tamten już wie, on tuż, tuż...

Schował się księżyc za czarną gałąź dębu i poszedł — — —

Ellen zamknęła powieki; życiodajny, kojący sen miał wrócić, gdy tylko oddalił się srebrny intruz z niebieskiego sklepienia. Ale nie danem było usnąć dziewczynie.

Czyjaś ręka łagodnie ujęła jej dłoń, a druga spoczęła na czole.

Ellen w rzeczywistości teraz dopiero zbudziła się. Chwyciła jakąś rękę, odepchnęła kogoś od siebie, zerwała się i siadła. W tejże chwili, poprzez próżnię gąszczu, zajrzał znów księżyc, oświetlając twarz mężczyzny, pochyloną nad twarzą dziewczyny.

Przy oniemiałej Ellen siedział Filip Kross.

— — — — — — — — — — — —

Żona leśnika często podglądała przez dziurkę od klucza osobliwą parę, zbłąkaną do jej chaty. Ciekawość jej zaznawała codzień zawodu, albowiem od tygodnia już prawie gosposia zawsze jedną i tę samą widziała sytuację w odnajętej podróżnym izdebce: młoda kobieta, jak martwa leżała na łóżku, towarzysz jej siedział przy niej zawsze w jednej, przygarbionej pozycji. Małżonkowie? Rodzeństwo? Narzeczeni? — Bóg raczy wiedzieć. Troskliwość, jaką otaczał przybysz chorą, rozczulała mimo wszystko żonę leśnika; a ponieważ gość płacił dobrze nie tylko za izdebkę, ale za każdy kubek mleka, ba! za najmniejszą usługę, więc gospodyni przestała zastanawiać się nad ustosunkowaniem się do siebie obojga przybyłych.

Leśnik mało bywał w domu i nie troszczył się o gości.

Filip Kross prawie nie spuszczał oka z nieruchomej twarzy ciężko chorej Ellen; opuszczał swe krzesło zrazu wtedy tylko, gdy niezbędne zabiegi około chorej tego wymagały; trzeciego dnia dopiero spróbował na chwilę przespać się w pozycji leżącej. Przemówił jego

rozsądek; przecież siły jego mogą być potrzebne nieszczęśliwej, ukochanej dziewczynie!

Sen Filipa nie trwał jednak nigdy długo, ani przystosowywał się do pory dnia lub nocy.

Kross odczuł pewną ulgę, gdy umysł jego zdolny był znów do rozpoznawania poszczególnych zdarzeń i przeżyć. Rozmyślania skracały mu czas czuwania nad łożem chorej. Gorączka Ellen pewnego dnia zaczęła opadać. Nadzieja wstąpiła w serce poety. Wtedy to, nie zmniejszając swej czujności, poruszał się Filip swobodniej, a mózg jego jął pracować żywiej i jaśniej. Poeta próbował zimnym rozumem i pamięcią ogarnąć sytuację. Ostatnie zdarzenia wstrząsnęły jego całem jestestwem; przecież nie był widzem tylko wstrząsającej tragedji rodziny Wisdorów, ale sam w niej wziął żywy i bezpośredni udział, choć prócz Ellen i niego nikt o tem nie wiedział. Żona? Ee! chyba nie. Luiza nie orjentowała się w niczem, widząc jeno przestrzeń między sobą a mężem i szukając, czemby ją wypełnić.

Filip jął w myśli przebiegać kolejność ostatnich wydarzeń:

Ellen nie przyszła pod fontannę w parku o godzinie trzeciej. Po dwugodzinnem czekaniu pobiegł Kross do kolegi, w którego mieszkaniu spędził był z Ellen noc na tragicznej roz-

mowie; tam dowiedział się o nagłej śmierci panny Nelly Wisdor.

Zrozumiał — — —

Od tej chwili jął zdala obserwować, co dzieje się w żałobnym domu Wisdorów.

A nuż Ellen posłucha go mimo nie dania obietnicy i opuści miasto?

O! jakie to prawdopodobne! Przy tym splocie powikłań wszystko było możliwe. Wszelkie niejasności przyczyn i dalszych możliwości znikały w nieugiętej logice jasnego umysłu poety.

Filip musiał być przygotowany na wszystko. Czujność swą podwoił, zdając sobie sprawę, że teraz przychodzi kolej na spełnienie obowiązku z jego strony. Cokolwiek uczyni Ellen, on stać będzie przy niej. To też niewidziany przez dziewczynę siadł do pociągu, do którego ona wsiadła. Nie wiedział dokąd jedzie, wiedział tylko, że musi na każdej stacji wlepić wzrok w drzwi przedziału, w którym ona jechała, że bliskość jego jest konieczna, aby na wszelki wypadek...

Ujrzawszy wreszcie wysiadającą na niewiadomej stacji Ellen, a spostrzegłszy ją bez walizki, wpadł do jej przedziału, zabrał jej rzeczy i pospieszył za nią. Odtąd szedł w pewnem oddaleniu,. ale na chwilę nie spuszczał z oka

szalejącej z rozpaczy i bólu dziewczyny. Gdy zaś zniknęła w gąszczu leśnym, jął biec za nią, nie bacząc już, czy go spostrzeże. Wreszcie padła w zaroślach w śmiertelnem znużeniu. Wtedy przypadł do niej, pochwycił znękane, drogie ciało, przycisnął do piersi i począł wołać jej imię. Ale Ellen straciła już przytomność.

Co począć? ciemny już wieczór, gdzie się obrócić, gdzie szukać pomocy? Zrzucił z siebie palto, na niem ułożył dziewczynę, otulił i spać pozwolił, czuwając nad przyśpieszonym pulsem w drogich, znękanych skroniach. — Gdy wreszcie wśród głuchej nocy w pewnej oddali doszło uszu Filipa raz i wtóry szczekanie psa, radość weń wstąpiła i nadzieja. A więc w pobliżu jest ludzka osada!

Czekał.

Po długiem, męczącem czuwaniu spostrzegł, iż Ellen oczy patrzą w księżyc. Uścisnął jej dłoń, pogłaskał czoło. Spojrzała na niego. Czy poznała? Przecież zerwała się — lecz po to tylko, by obsunąć się w jego ramiona i skłonić głowę na jego piersi. Ellen znów spała.

Poczęło świtać. Pies szczekał w oddali, posyłając daleko w las echo swego głosu, jakoby wołał wszemu leśnemu stworzeniu: czas wstawać!

Nad głową Filipa skrzeknęła sójka i zatrzepotała skrzydłami. Był to dla Filipa sygnał

do dalszej podróży. Otulił Ellen w palto, walizkę przysunął pod drzewo; nie czuł sił, by udźwignąć dziewczynę i bagaż równocześnie; po walizkę wróci, odnajdzie.

Ruszył z słodkim ciężarem na ręku. Szczekanie psa znaczyło kierunek drogi przez zarośla. O tej przeprawie wolał teraz Filip nie wspominać sobie, dość, że ostatkiem sił dowlókł się do zagrody leśnika. Tu zdziwienie, nieufność, niechęć. Gotówka zapłacona zgóry poskutkowała. Ellen obudziwszy się raz na chwilę, najwyraźniej poznała go. Rozpłakała się i wśród szlochu zasnęła. Odtąd przytomności nie odzyskała.

Kross patrząc nieustannie w oblicze chorej, od niedawnego czasu spostrzegł zmianę na lepsze; lekkie rumieńce przybierały barwę wracającego zdrowia. Filip czuł, że każdej chwili Ellen otworzy oczy, przemówi, ożyje... Od trzech dni płacząca słota pewnego wieczora zaczęła ustępować przed różowego światła pogodnym uśmiechem.

Tego to wieczora Ellen przebudziła się, wołając: jeść, jeść, jeść!

Dnia następnego obudził się Filip dość późno. Ellen zdała się czekać na chwilę jego przebudzenia. Smutny uśmiech rozjaśnił jej usta, a gdy Filip ucałował jej rękę, szepnęła:

— Czy dzisiaj wolno mi już mówić?

— Jak czujesz się, aniele?

— Dobrze. Daj mi pić. Tak! A teraz pozwól mi mówić; mam dość sił, dzisiaj wstanę.

— Ellen, to niemożliwe! A zresztą, zobaczymy. — — — O czem chcesz mówić?

— Chcę pytać.

— Ellen nie rozdrażniaj się, zaszkodzisz sobie.

— Najwięcej mnie męczy — rzekła cicho i wolno dziewczyna — najwięcej to, że nic nie mówię, i że nic nie słyszę. To mnie rozdrażnia. Czy wytłomaczysz mi?

— Wytłomaczę.

Ellen po chwili namysłu i skupienia:

— Czemu jesteś przy mnie?

— Nie mogłem inaczej...

Rozejrzała się po izbie, poczem spytała:

— Gdzie jestem?

— W chacie leśnika jesteśmy, daleko od stolicy.

— A czemu? — — — A tam co?

— Tam źle, tam straszno, tam żyć już nie możesz — ani ja...

Ellen znów po namyśle:

— Tak, tak! Wiem. Przypominam sobie: Nelly umarła! — — — Czy wiesz, że rozmawiałam z nią ciągle? Ona mnie kocha... Umarła... To było dawno... ach! to były straszne

chwile! Aha! nie myśl, że się rozdrażniam; nie mam się rozdrażniać... już nic...

Urwała. Chwila ciszy; z kuchni dolatywał stuk rądli i łyżek.

Ellen spojrzała w oczy Filipa:

— Pan Filip Kross!...

— Ellen, Ellen! Czemu tak mówisz? czy nie wiesz, że cię kocham? że pod moją jesteś opieką i — już zostaniesz?

— Aa! tak, wiem. Kochasz mnie... zostanę z tobą... Filipie! i ja pewnie cię kocham.

To tak! rozumiem teraz; wszystko doskonale rozumiem. Ale jak ty mnie kochać możesz, skoro Wera...

— Zapomnij Ellen! nie wspominaj. Kocham cię taką, jaką jesteś.

Ellen zamyśliła się. Włosy jęła przygładzać.

— Dawno tak leżę? — spytała.

— Tydzień prawie.

Rozejrzała się po pościeli, potem po pokoju, aż wzrok jej zatrzymał się na posłaniu Filipa.

— A ty tam spałeś... Tu, razem ze mną...

Spojrzała na czystą swą koszulę, pogładziła ją:

— A bieliznę kto na mnie zmieniał?

— Któż mógł się tobą opiekować w chorobie?

— I wszystko, wszystko ty?

— Tak, Ellen.

Wyciągnęła doń rękę, a gdy przybliżył się, wtedy przysunęła się do jego piersi i przytuliła jak biedne, bardzo biedne dziecko, mogące nagle zaufać:

— Ty mój — mąż...

Ledwie wymówiła te słowa, przeraziła się ich, odsunęła się i zasłoniła oczy.

Filip pogłaskał ją po włosach, szepcząc czule:

— I cóż? i cóż?... Spójrz na mnie.

Wtedy Ellen, nie odejmując rąk od twarzy, jęła mówić:

— Nic, nic! — Jeśli mnie kochasz, to masz mnie... Ale... O! jakże mogłam to wymówić. Po tem co było, co wiesz... Tak! przypominam sobie! teraz wiem już wszystko... Więc — — — czemu ja tak powiedziałam?!

— Pójdziesz teraz ze mną, Ellen! Nie wrócisz tam i ja nie wrócę...

Ellen patrzała w tej chwili smutna, a jednak z przebłyskiem nadziei, może już szczęścia nawet...

— Ty chcesz?

— Chcę i inaczej być nie może.

— Filipie! Mnie nie wolno...

Kross nic nie odpowiedział. Zaległa cisza. Na twarzy Ellen malowała się jej walka z własnemi myślami.

Filip czuł, że należy odprężyć zbyt nałado-

waną wybuchową siłą atmosferę. Począł krzątać się po pokoju i porządkować. Podał chorej szklankę mleka. W milczeniu mijały godziny.

Ozwała się Ellen:

— Czemu Wera?...

Filip położył palec na jej ustach; mówić nie pozwolił.

Pod rozłożystym bukiem siedzieli oboje w przeddzień opuszczenia chaty leśnika.

Zarówno Ellen jak Filip zdolni byli już rozmawiać o minionych ciężkich przeżyciach bez większych, wewnętrznych wstrząsów. Niekiedy tylko zaiskrzyły się oczy dziewczyny łzą, którą jednak umiała zatamować.

Nowe życie pełne troski i niepewnych perspektyw przepełniało duszę Ellen cichem ukojeniem i radością. Czuła, że teraz dopiero odnalazła sama siebie. Oddanie się z ufnością na całe życie w ręce Filipa stwarzało w Ellen uczucie silnego oparcia. Żadnych już nie miała tajemnic przed nim, bo i list siostry dała mu do przeczytania. Filip odczytywał słowa przedgzonne Nelly po kilka razy i dumał długo nad poszczególnemi zdaniami.

— Piękna to dusza — odezwał się jakby do siebie — ale słaba.

Ellen zaprotestowała, widząc w Nelly ogrom siły i zdolność do rzucenia swego życia pod złe stopy siostry.

— A jeśli chcesz pojmować rzecz filozoficznie — kończyła swe dowodzenia — w takim

razie ucieczka Nelly przed życiem spowodowana była pchnięciami w samo serce z dwóch stron równocześnie. Tak! Leonard i twoja żona!... Któż to wytrzymać zdolen? Źle mówię: Leonard i twoja żona, to dwa sztylety w mojem ręku! To ja ją zabiłam! Nie uniewinniaj mnie, Filipie!...

Na nagły wybuch płaczu, ostry przykaz Filipa. Ellen umilkła i uspokoiła się.

— Nie o tem mówmy, Ellen, ale spójrzmy na ten świat tam, który nas wydał oboje, wychował, zapewnił byt — a jednak! Zastanów się, czy to nie szczególne? — My oboje, każde z nas z powodów krańcowo odmiennych, musieliśmy opuścić ten świat, to środowisko... Tam spotkać się nie mogliśmy, Ellen, ten świat cały w swej obrzydliwości stał między nami i dopiero trzeba było tylu win, tylu krzywd, tylu cierpień, abyśmy mogli otrząsnąć się z tego środowiska, opuścić je, znaleźć się poza jego obrębem, aby się spotkać. W tem mieści się więcej sensu, aniżeli sami przypuszczamy... Może Sax, wielki artysta, miał podświadomie rację, malując „Dziurę w próżni“? Może dzieło jego teraz dopiero, powtórzone, jest naprawdę wielkie?

— Ellen! jak Sax umiał łbem przebić własny obraz, by przedostać się na drugą stronę, tak my oboje przebić musieliśmy ścianę, która

nas przegradzała. On ujrzał wizję nową swego pomysłu, my ujrzeliśmy nowe życie... Nie oglądajmy się poza siebie, jak nie obejrzał się Sax. Pójdźmy naprzód, zapatrzeni w przyszłość, trzymając się za ręce!...

Gdy mówię: „nie oglądajmy się“ — nie znaczy „zapomnijmy o Nelly“. Jej świetlana postać pójdzie z nami, tobie, Ellen, trzeba tej jasności...

Tak pójdziemy, trzymając się za ręce...

Filip umilkł, a myśl jego szła dalej, szukała sposobów wcielenia się w życie.

Ellen z oczu poety czytała jego myśli milcząca, oddana...

— Co teraz? — spytała szeptem.

— Pójdziemy — odparł krótko.

— — — — — — — — — — — —

....i poszli...

LALITA-LIANA

(BAŚŃ)

Nie pytajcie, gdzie działo się i kiedy; to co wam opowiem dzieje się zawsze i wszędzie, a uchwytne jest oczom, których nie oślepia żywy promień słońca, ni usypia łagodny cień nocy. Nadewszystko zaś obraz mej baśni widzialny jest w migotliwości promieni.

Alabaster z słońcem łączy się przyjaźnie, jako że nie stwarza ostrości złota dotkniętego słonecznym promieniem ani ponurej szarości granitu i nie poskąpi przyjaznego uśmiechu uśmiechowi słońca, lecz w mleczne swe łono wchłania pieszczotę Heliosa, by w połączeniu miłosnem zrodzić uśmiech Ziemi.

Na alabastrowej więc podłodze, wśród ścian utkanych z drgających promieni rozłożony kobierzec, starożytnych tkaczów rękoma zdziałany. Bezcenna tkanina wianem jest Lality-Liany.

Z pośród licznej młodzieży, z wszystkich świata stron bieżącej, iżby zdobyć serce dziewczyny a poślubić ją, Lalita-Liana upodobała sobie Aryona, jako że zdał się najbardziej pokrewnym promieniom słonecznym, ku którym tęsknie zwracało się jej spragnione łono z alabastru.

Wszelako nie umniejszona trwa moc zaklęcia wieków, tej mocy zadość uczynić musi ten, któremu Lalita-Liana będzie zaślubiona.

A zasię zaklęcie wieków jest takie: Lalitę-Lianę posiędzie, kto rozwiąże kobierca wnętrzną tajemnicę.

Klęcząc czyta Aryon znaki tajemne kobierca, a strudzon wielce bezowocnem szukaniem, spojrzy żałośnie ku dziewczynie, która przysiadła była na jednym z rozpiętych promieni, kołysząc się lekko, niby w czarownym powiewie nagromadzonych myśli i smętków.

Rzecze Aryon:

— Pozwól, o boska Lalito, że zmęczone czytaniem oczy zwrócę ku tobie. Niech odpoczną w lubości twoich kształtów.

— Trzeba, byś pierwej posiadł kobierca tajemnicę — odrzecze łagodnie Lalita-Liana. Czekam... Czy tobie nie śpieszno?

— Ach! — westchnie — Czy mi nie śpieszno, pytasz? Jakże mi jednak czytać te znaki obmierzłe, kiedy się wzrok mój czepia twej piękności! Raczejbym szukał zagadki twoich kształtów i pytał pszczołę... bo ona to pewnie z wosku ulepiła czar twego ciała a złoty pająk osnuł cię przędzą mgły jedwabnej.

Wolejbym odgadł tajemnicę twej piękności, niż ślęczał przymuszon nad znakami tego oto kobierca!

Zezwól, Lalito!

— Lalitę-Lianę posiędzie, kto rozwiąże kobierca wnętrzną tajemnicę — — — czytaj.

Aryon westchnie i czyta. Czyta, pilnie wodząc palcem w chaosie zygzaków puszystego kobierca.

Czyta półgłosem:

— Strzępione płaty rozłożystej muzy.

Trzy gałązki uśmiechniętych korali...

Tu wyszczerbiony oszczep z kamienia. W twardą godził pierś... Ha! zapomniane wytężenia wielkiej woli, minione triumfy, klęski, radości, rozpacze... W jednym zgubionym ostrzu kamiennym ileż mieści się z człowieka!

A ot i strumień...

Tu znów ostrość chybionego dnia przekreśla smęt ciągłości...

Tu zasię wiotki odruch łzawej ryby niespokojność czyni przymarłej na dnie myśli, że nie sposób skojarzyć oderwanie to z powszechnością czystego dźwięku...

Chaos!...

Ot — kropla spadła! Łza złamanego kwiatu, tęsknoty nieodgadniona słodycz...

Aryon czułą łzą nabiegłe oczy zwraca znów ku dziewczynie.

...Lekko przychmurzyło się jasne czoło Lality-Liany:

— O niepoprawny! Ilekroć poczynasz chwy-

tać wątek tajemnicy, odwracasz ku mnie niecierpliwą myśl... Jakże zdolen jesteś zadanie spełnić, Aryonie! Czekam.

Młodzian rozpacznie przetarłszy oczy i skronie, z przymusem czytać znów pocznie:

— Oto kwiat zamarł w bezruchu, a na nim jeszcze wyraźny ślad skoku smukłej łani...

Aryon znów niecierpliwie odsunie się.

— Jakże to dzieje się, że co dnia poprzez kobierca wszystkie tajemnice do tejże łani dochodzę ostatecznie, a potem?

Ot widzę żółtego łucznika, któremu łania jednorożna czoło stawia, że nie może ugodzić strzała jego w wezbraną od biegu pierś. Błądząca w swym ruchu strzała znaleźć nie może krągłej piersi spłoszonej łani. Niewiadome ostrze, oto ostateczność mego co dnia szukania...

Aryon ku Lalicie-Lianie popatrzy z żalem:

— A potem? — potem tylko rozpłynięcie się w niepamięci wszystkiej duszy; i jeno tęskna jakaś słodycz spływa... leniwy bezczyn szczęścia, jako że bliskość dnia onego czuję...

Aryon zerwie się nagle:

— A ty — nie spojrzysz nawet?!... Znużona moja dusza! Przekleństwo kobierca świeci mi prosto w twarz, że gubię się szukając, zapominam, wspominając... Lalito-Liano! czuję urągliwy szyd kobierca! śmiech jego rwie moją

myśl!... dopomóż! Bez ciebie — jakoż się ostoję?!

Wtedy osunie się dziewica z swego promienia i do młodzieńca zbliży się z zachętą:

— Szukaj!

— Szukam w najwyższej udręce i w największem ducha napięciu. Daremny trud!

— Tedy trud o mnie — daremny?

— Czy nie można odwrócić tego przykazu?

— Nie zdzierżysz Aryonie. Znasz zaklęcie przydane kobiercowi, który ślady mnogich wieków na sobie nosi.

Młodzian zerwie się z klęczek:

— Znam! Zdobędę cię mimo zaklęcia!

— Istotę tkaniny tej przepominasz, Aryonie. Tracisz wyczucie kształtów wczarowanych w kobierzec i wyczucie barw. Oczom twym blednie krasa jego, gdy wspomnisz roślinność przeglądającą się w wodach Gangesu, czy cichy sen Morskiego Oka, czy szmaragdowy smęt głębokości oceanu: a przecież wszystkie te czary w niedomówionem pięknie nie równają się czarowi kobierca.

Czynisz jak czynili oni wszyscy, którzy nie zdołali posiąść tajemnicy.

Aryon stoi bezradny. Myślą szuka wszystkie swe w znakach kobierca zdobycze, a pośpiesznie w głowie je układa. O! gdyby kobierca moc poznał utajoną i prawdę barw jego i wiecz-

nie żyjących form, to i nie dziwnoby mu było, że pokolenie przekazawszy pokoleniu cenną tkaninę wieść o niej podawało przyszłym wiekom coraz bogatszą, czem też mnożyła się krasa jej.

Że głośno było o kobiercu w wszystkim świecie, przeto bój trwał oń przez wszystkie wieki. Zwycięzca stawał się dzierżcą kobierca i czerpał zeń rozkosz — gdy umiał. Wszelako nie umiał, bo siłą lub podstępem skarb sobie był przywłaszczył. Że nie był zaś nikt przez długie wieki prawowitym skarbu posesorem a dziedzictwo zawsze z przemocy lub chytrości wywodziło się, więc umarła już pamięć o tym, który kobierca tajemnicę był posiadał. Nie troszczono się przecież o to, bo nie tajemnicy cennej tkaniny pożądano, ale jej włókien.

Lalita-Liana czytała z oczu Aryona każdą jego myśl; rękę na jego ręce położywszy, tak rzecze:

— Nie pójdź tamtych śladem, a w wianie oddam ci kobierzec ten.

Aryon przyklęknąwszy:

— Więc wspólnie czytajmy.

— Czytajmy.

Aryon po kobiercu palcem wodzi, sylabizując z ostrożna niewiadome znaki a co chwila szukając w oczach dziewczyny przytwierdzenia. Ona zaś jeno główką niekiedy zaprzeczy,

wreszcie odsunie go na kraj kobierca i bacznie śledzić przykaże każden ruch paluszka po miękkim puchu tkaniny.

— Patrzaj, Aryonie miły, że dotknę zwierzątka tego — to i ruszy się.

Oniemiał! ździwionemi oczyma pochłania srebrną jaszczurkę poruszającą się w deseniu pod zaklęciem różanego palca Lality-Liany.

— Istotnie!... — szepce raz wraz zdumiony.

Dziewczyna przyklęka:

— Patrzaj! że ucałuję orchideję — rozkwita...

Ciepłemi wargami ożywia Lalita-Liana kwiat w deseniu kobierca.

— Istotnie! — szepce oniemiały młodzieniec.

— Dotknij, pocałuj — zachęca dziewczyna — ożywisz kobierzec cały... Ha! całujesz bez wiary, dotykasz bez miłości... Daremny pocałunek. Zimnych warg złączenie z włóknem martwem...

Wzburzony zerwie się Aryon:

— Czarodziejko ty! Złym siłom czynisz mnie uległym, że kocham cię bez opamiętania.

Z uśmiechem odpowie dziewczyna:

— Chciej być tajemnicy panem; a czarodziejstwo będzie ci chlebem powszednim. Siądź na uboczu, wskażęć drogę. Zzuj mi sandałki.

Wysunęła nóżkę, a on obnażywszy obie

ucałował rozpalonemi wargi chłodną stopę dziewczyny. Lalita-Liana boso staje na kobiercu i pręży ciało, sposobiąc się do tanu.

W tejże chwili rozwiały się zwoje pajęcze, jakby chciały odsłonić każdy kształt dziewczęcego ciała, iżby zaświadczony był rytm sztuki, którą wykonać ma Lalita-Liana.

Patrzy Aryon wpółprzytomny w czarowne zjawisko i widzi dzieweczkę stąpającą powoli, ostrożnie, starannie wyczuwającą stopami linje i barwy kobierca.

Na pół śpiewny ozwie się głos Lality-Liany:

— Patrzaj! jakże przymilają się kwiaty stopom moim.

Patrzaj! wszystkie zwierzątka i ptaszki w żywem poruszeniu według ruchu moich stóp.

Aryonie! dreszcz rozkoszy przebiega moje ciało, że powolne staje się, uległe tej mocy, którą stwarza dotyk stóp moich tonących w miękkiej wełnie zaczarowanego runa. Ach! rozkosz to, dać życie rysunkom i barwom kobierca! Patrzaj! kwiaty przymilają się stopom moim, ziele wkrąg rozpina girlandy, ptaszki, zwierzątka igrają radosne... a oto tam — łucznik już wypuścił złotą strzałę z naciągnionego łuku... czuję ostrze strzały w stopie mej, czuję ją w sercu... Patrzaj, Aryonie! raduj się ze mną, żyj tem mojem życiem!...

— Czary! — szepcą wargi młodzieńca.

— Zetknięcie się życia z życiem, Aryonie.

W tej chwili Lalita-Liana czyni wokół siebie rękoma ruchy, zbierające rozrzucone — zda się — w powietrzu nici pajęcze, które znów otulają jej przejrzyste ciało a do spocznienia zdają się nakłaniać.

Dziewczyna z kobierca na alabastrową podłogę przechodzi, słodko uśmiechając się ku oniemiałemu młodzieńcowi:

— Oto wskazałam ci drogę... Wdziej mi sandałki.

Nie słyszysz? Miłością zlękniony? Ha, ha! taka twoja tęsknota?

Aryon otrząśnie się z wrażenia:

— Nie nękaj mnie, dziewczyno! — jęknie błagalnie, a Lalita-Liana niezmienna a słodka:

— Czemu nie bierzesz udziału w tworzeniu nowego życia? O biada! Kto nie stwarza nowego życia, ten ginie za jego przyczyną, gdy ono dokona się mimo niego.

Milczenie. W cichej przestrzeni snuje się tajemnica uśmiechu. Aryon odczuł uśmiech ten niewiadomy, spostrzegł, że właśnie osiadł cichy, lekki, ledwie dostrzeżony na ustach dziewczyny. Ona uśmiechem wyczarowuje dalszą ciągłość życia ożywionych w kobiercu istot.

Z wyrzutem ozwie się Aryon:

— O słodka, o boska Lalito-Liano! czemu

uśmiechasz się słodyczą ust twoich, które składasz do pocałunku temu tam chłopkowi malowanemu, co strzałą łanię ugodzić szuka? Czemu uśmiechasz się, gdy chłopiec malowany łuk napina, wpatrzony w łanię, a o ciebie nie dba?

Nie znika tajemny uśmiech z oblicza dziewczyny, a pyta jeno:

— Nic nie poznajesz? nic nie czujesz?

— Do kogo uśmiechasz się, że poczynam uśmiech ten nienawidzieć?

— Do mojego pożądania... Żywa strzała życiu nie przeczy... Śpiewa, przez powietrze wieść niesie zapomnianą.

W pieśni tej jestem onym chłopkiem, który wiecznie łuk napina.

To ja! To ja!

W łono swe kieruję ostrze strzały i jednorogiem chronię się przed pociskiem — ja spłoszona łania jednorożna. W igrach tych zdeptałam najpiękniejszy kwiat, ja spłoszona łania. A skoro żywa kropla z zranionej łodygi spadła na ziemię łzą lśniącą, poczułam się sokiem kwiatów, poprzez których krasę przeleciało wspomnienie łani i łucznika... Ostałam sama — ja opadła kropla soku kwiatowego.

Czy pojmujesz wszystkie życia?

Czy rozumiesz? czy czytasz z kobierca?

— Nie pojmuję, gdy obcy mi uśmiech twój.

— Szukaj mnie w tych kwiatach, w ptakach

i zwierzątkach, w wszystkiem stworzeniu kobierca — a pojmiesz mój uśmiech. One mnie czują i ja je czuję w wiecznem kołysaniu tajnego poszumu...

Słuchaj poszumu wiecznego. Wypłakawszy wszystką kwiatów słodycz i przebywszy mgieł długie bytowania, żyję w poszumie echem.

Ja — echo.

Czy słyszysz? Nie? nie? Jakoż możesz zrozumieć uśmiech mój? uśmiech echa?

Zerwie się nagle Aryon a wezbrane uczucia w niecierpliwości swej wybuchną z znękanej piersi lawą namiętnego protestu:

— Chcę cię, jaką cię widzę, niezmienną: żywszą nad łanię, kraśniejszą nad kwiat, słodszą nad miód lipowy, dźwięczniejszą nad echo! Słyszysz — moja ty!? Taką mi jesteś i taką cię pożądam.

Lalita-Liana paluszkiem ostrzega:

— Takiej mnie — strzeż się, Aryonie! Stwórz nowe życie, inaczej — biada! Strzeż się miłości mej, bom ukochała cię, więc strzeż się.

— Nie lękam się!

— Kochasz we mnie to, co cię zgubi. Chcę, byś pokochał to, co cię wyzwoli. Strzeż się!

— Moja! odepchnij majak tajemnicy. Usuń ten przeklęty kobierzec, który nas rozdziela... Niech on nam raczej służy za posłanie; nie

bądźmy przecież sługami kobierca... Lalito-Liano! nie usuwaj się z uścisku mych ramion, przyłóż skroń do serca mego i słuchaj, słuchaj, a wysłuchasz... A jeśli ten kobierzec jeszcze niepokoić cię będzie, jeśli w moim uścisku nie zaznasz ciszy serca, wtedy — na strzępy poszarpię szmatę tę przeklętą!

Uderzył grom.

Lalita-Liana cofnie się ze zgrozą, a ogromem swych oczu w okruch za chwilę śmiałka przemieni:

— Napastniku mojej wiary!

Lecz Aryon już się nie cofa:

— Uwierzysz, gdy dokonam — krzyknie i gwałtownie chwyciwszy kraj kobierca, oburącz drze go na poły.

Lecz w tejże chwili odskoczy, bo przeraźliwe kobierca przedarcie ognistą znaczone błyskawicą zdradziło nagle straszliwy sens życia zaklętego w kobiercu.

Równocześnie usłyszał Aryon srebrny śmiech dziewczyny, śmiech już nie gniewny ni szydzący, a pełen chwały, triumfu — i żalu zarazem.

Oczom zaś Aryona ukazują się dziwy zgoła nieoczekiwane. Oto z błyskawicy kobiercowego przedarcia sypią się skry, niby ogniowe fontanny i zygzakami znaczą prute powietrze w takt nagłych przeżyć i wrażeń dziewczyny

i młodzieńca. Oto zygzaki, żywe znaki kobierca, kwiaty, ptaszki, zwierzątka pląsają w urągliwym szydzie junactwu Aryona na przekór — a pośród migotliwych tych zjaw tańcujących staje łucznik i zda się przewodzić zygzakom.

— Hejże — hi! Hejże — hi! świszczą zygzaki do taktu.

— Hejże — hi!
Żylim my, jako ty!
Czynem karlim
w strzępy darlim
życie, jako ty.
Hejże — hi!
Żylim my, jako ty!
Marlim w sercu,
że w kobiercu
ostalim się, jako ty!
Hejże — hi!
Błysła tajemnica,
śmiech jej buchnął w lica
padlim — jako ty...
Hejże — hi!
Żyj jej, jako my!...
Jako znak w kobiercu
Rozgorzejesz w sercu
dziewczyny
Hejże — hi!... Hejże — hi!...

W poświst śpiewu tego i tańca wmiesza się rozpaczny Aryona głos:

— Precz! precz poczwary!

A odpowiedź zygzaków roztańczonych:

Hejże — hi!
W pałąk zegnij gnat!
Ty nam brat!
Hejże — hi!
Życie twe obrócim wspak.
Jeden na kobiercu znak!
Jeden znak!
Hiii!...

Powolnem łuku zakreśleniem uciszy łucznik niesforne zygzaki, chcąc snać sam wyrokować o losie Aryona:

— Ha, ha! młodzieńcze, ponoć dojrzałeś już stać się znakiem?

— Znakiem?

— Zygzakiem, jednym zygzakiem kobierca.

— Zygzakiem kobierca?

— Tak! zygzakiem w deseniu kobierca tak sobie, na uboczu, iżbyś ogólnej nie mylił harmonji, a przecież był przydatny.

— Komu?

— Innym znakom.

— A one?

— One potrzebne całemu rysunkowi.

— Nic nie pojmuję.

— Ho, ho! zrozumiesz, ale nie teraz... Kiedyś zrozumiesz...

— Posłuchaj — ciągnie łucznik nachyliwszy się do ucha Aryona. Jeśli treść utajona ma być czytana, trzeba jej formy — słyszysz? Znaki składają się na nią. Kto czytać nie umie, ten właśnie przejść musi przez wszystkie przemiany znaków, staje się cząstką formy, wbrew woli, przymuszon, narzędziem tych, którzy widzą, tych, którzy stwarzają. Forma pracuje dla życia, życie jeno treścią żywe, a w treści poznanie, to zdobycie tajemnicy.

Wdeptany więc stopą pożądanej dziewczyny, staniesz się nikłym znakiem kobiercowego rysunku.

— Zygzakiem? Znakiem? jak te znaki tańcujące? — szepcą wpółmartwe wargi Aryona.

— Tak współtworzyć będziesz wsłuchany w szelest spadającej kropli soku kwiecia zranionego niebaczną nogą spłoszonej łani. Wpatrywać się będziesz w błysk zarysowany ostrzem mojej strzały i według jej drgnień i obrotów bogacił formę własną w mozolnym trudzie stawania się.

I tylko raz wraz kornie ocałujesz stopę Lality-Liany, gdy po tobie, zygzaku, deptać będzie, szukając w kobiercu znaku życia. Pocałunek ten, to pokarm twój, iżbyś nie ustał w stawaniu się...

Raz jeszcze bunt rozpaczy owładnie Aryonem.

Młodzieniec pięści obie wzniesie ku górze z okrzykiem:

— Precz, złudny upiorze!

Aryon postąpi nagle ku dziewczynie opodal stojącej, lecz łucznik zastąpi mu drogę.

— Precz mi z drogi! — krzyknie młodzieniec, gotów do walki. W tejże chwili łucznik napiąwszy łuk wypuści strzałę, która oto z jękliwym śpiewem tonie w piersi Aryona.

Młodzieniec pada na środkową rozetę przedartego kobierca.

Rozeta ożywia się i podnosi swe fantastyczne ramiona, łodygi i liście. Oto sturamienny polip wznosi swe mace; już też w ich objęciach wije się rozpacznie ciało młodzieńca, a wokół rozety zygzaki znów poczynają swój piekielny taniec, witając nowego swego towarzysza, który odtąd służyć będzie stopom dziewczyny, wyczarowującej z kobierca jego tajemnicę.

— — — — — — — — — — — —

Zniknęły już czary i dziwy; one działają zawsze jeno w przeszłości, są dziećmi baśni; nie zna ich nigdy teraźniejszość. Jednak ślad ich działania zawsze jest teraźniejszości udziałem.

— — — — — — — — — — — —

Lalita-Liana, smętkiem urocza, a rozjaśniona lekkiego na ustach uśmiechu przebłyskiem, zszywa przedarty kobierzec i nuci piosenkę:

Czerwony haft...
Złotem słońca, włosów mych połyskiem
uwita nić —
Wezbranych uczuć łez wytryskiem
i sznurem westchnień urojonych żyć
uwita nić...
Czerwony haft...
Tkaniny świętej czar wzmożony
wśród świętych ech —
W takt serca rozdzwonione dzwony,
że ginie zapomniany śmiech
wśród świętych ech...
Czerwony haft...

TEGOŻ AUTORA UKAZAŁY SIĘ:

Djalogi estetyczne — Poznań 1910.

Samskâra — opowieść (wyczerpane) — Poznań 1918.

Kain — dramat (wydanie drugie) — Poznań 1920.

Wiano — bajka dramatyczna — Poznań 1921.

Śluby ziemi — dramat (w „Zdroju“) 1921.

Bolesław Śmiały — dramat — Poznań 1921.

ΕΓΩ ΕΙΜΙ — O ewangeljey Jezu Chrysta według spisania Janowego rzecz w duchu uyżrzana (wydanie drugie) Kościanki 1921.

Aruna — dramat — Poznań 1922.

Joachim Achim — dramat — Kościanki 1922.

Kratery — powieść — Poznań 1924.

PRZYGOTOWANE DO DRUKU:

Dzwonnik — baśń dramatyczna.

Kratery — dramat.

Kratery — powieść (wydanie drugie).

Oxymoron — powieść.

NAKŁAD KSIĘGARNI F. HOESICKA W WARSZAWIE.

Poezje.

	Zł.
Alberti Kazimiera. *Bunt lawin*	2·—
— *Mój film*	3·—
Bogusławski Antoni. *Honor i ojczyzna*	4·—
Braun Mieczysław. *Rzemiosła*	3·—
Choromański Leon. *Urna*	6·—
Denhoff-Czarnocki Wacław. *Włóczęga*	4·—
Géraldy Paul. *Ty i ja.* Przełożyła Róża Czekańska-Heymanowa	3·—
Grossek-Korycka Marja. *Pamiętnik liryczny.* 1928	
Hulewicz Witold. *Sonety instrumentalne.* 1928	
Iłłakowicz I. K. *Obrazy imion wróżebne*	4·—
— *Opowieść o moskiewskiem męczeństwie. Złoty wianek*	5·—
— *Płaczący ptak*	7·—
Kasterska Marja. *9/10 przeciw 1/10*	1·50
Koloniecki Roman. *Wschody i Zachody*	4·—
Łopalewski Tadeusz. *Piękna podróż.* 1928	
Miłaszewska Wanda. *Rok Boży*	2·—
Napierski Stefan. *Odjazd*	3·—
Pawlikowska Marja. *Pocałunki*	2·—
— *Wachlarz*	5·—
— *Dancing. Karnet balowy*	3·—
— *Oczy.* 1928	
Słonimski Antoni. *Z dalekiej podróży*	4·—
Stern Anatol. *Bieg do Bieguna*	4·—
Szpyrkówna M. H. *Poezje*	4·—
Tuwim Irena. *Listy*	2·—
Tuwim Juljan. *Słowa we krwi*	4·—
Wittlin Józef. *Hymny.* Wyd. II.	4·—
Zegadłowicz Emil. *Dom jałowcowy*	11·—

Dzieła sceniczne.

Grubiński Wacław. *Niewinna grzesznica.* Komedja współczesna i wieczna w 3 aktach	4·—
— *Księżniczka Żydowska.* Tragedja w 3 aktach	4·—
Nowaczyński Adolf. *Wojna wojnie.* Komedja	9·—
Słonimski Antoni. *Wieża Babel.* Dramat w 3 aktach wierszem	4·—
Zweig Stefan. *Jeremiasz.* Poemat dramatyczny w 9 obrazach. Przekład M. Wassermanówny	7·50

Varia.

Hagemann Karol. *Aktor i sztuka aktorska.* Przekład Dr. J. Wasserbergera	6·—
Hoesick Ferdynand. *Chopin.* Życie i twórczość. Wyd. II. 2 tomy	60·—
Siedlecki Franciszek *Helena Modrzejewska*	9·—
Sokół Cezary. *Giovanni-Battista Piranesi.* (40 plansz). 1928	
Trojanowski Wincenty. *Wyspiański. Artysta-Człowiek-Życie*	8·—
Wizel Adam. *Pamiętnik pacjentki.* Poprzedził wstępem i komentarzem opatrzył...	5·—